NIECHCIANE DZIECI
Zanim trafią do adopcji, zawiodą je wszyscy

ANTONI DUDEK
Naszej wojny o pamięć nie wygra nikt

ZDEPOLARYZUJ SIĘ!
Pokazujemy, jak opanować polityczne emocje

ANDRZEJ BURSA
Powrót polskiego buntownika z wyboru

Kraków 16 września 2018 nr 38 (3610) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Ojciec ADAM ŻAK, koordynator Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży:

W Kościele panuje zmowa milczenia

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

Kupując krajową prenumeratę przez stronę tygodnikpowszechny.pl masz możliwość zamówienia wydania specjalnego „TP" „Polska od nowa" – z dostawą do domu!

▪ Zastrzegamy sobie prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok

▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

KS. ADAM

Boniecki: *Przemoc w słowie*

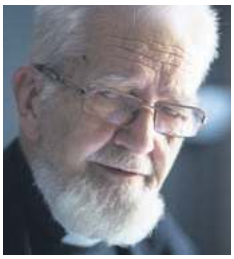

Gdybym był Konferencją Episkopatu Polski (*sit venia verbo*, czyli proszę mi wybaczyć bezczelność), napisałbym list pasterski posługując się jak ściągą artykułem Marcina Napiórkowskiego (który nie jest biskupem) o „cichym zabójcy demokracji" (s. 28) – list pasterski o politycznej polaryzacji. Napiórkowski wprawdzie nie pisze, że chodzi tu o grzech straszny i społeczny, za który, jak za każdy „grzech społeczny", ostatecznie odpowiadają konkretni ludzie. Nie pisze, że jest to grzech wielu ludzi, z których jedni grzeszą ciężej, bo świadomie, inni lżej, bo nie bardzo wiedzą, co czynią. Przed skutkami tego grzechu już św. Paweł ostrzegał Galatów pisząc: „Jeśli więc skaczecie sobie do oczu i szczerzycie kły, to uważajcie, bo się wzajemnie pozagryzacie" (Ga 5, 15).

W moim liście pasterskim powołałbym się na adhortację papieża Franciszka z 19 marca tego roku „Gaudete et exsultate. O powołaniu do świętości w świecie współczesnym", w której „jako wikariusz Jezusa" prosi chrześcijan, żeby przyjęli to, co mówi, a mówi – *toutes proportions gardées* – właściwie to, co Napiórkowski, choć oczywiście nieco inaczej, mianowicie, że musimy „budować ewangeliczny pokój, który nikogo nie wyklucza, ale włącza także tych, którzy są nieco dziwni, trudni i skomplikowani, tych, którzy wymagają uwagi, tych, którzy są inni"; że należy „przyjąć konflikt, rozwiązać go i przemienić w ogniwo nowego procesu". Papież zwraca też uwagę, że „również chrześcijanie mogą stać się częścią sieci przemocy słownej, tworzonej za pośrednictwem internetu i na różnych forach lub przestrzeniach wirtualnej wymiany opinii", oraz że „nawet w mediach katolickich może dojść do przekroczenia granic, tolerowania obmowy i oszczerstwa". Wyrzuca niektórym katolikom, że broniąc innych przykazań zapominają o ósmym: „Nie mów fałszywego świadectwa" – i bezlitośnie niszczą wizerunek bliźnich. „To pokazuje – pisze papież – że język pozbawiony wszelkiej kontroli staje się »przestrzenią zła«". Mechanizmy dochodzenia do tego, o czym pisze Franciszek, dobrze pokazuje Marcin Napiórkowski, ale żebyśmy mogli się przekonać, w jakim stopniu zło dotknęło także nas osobiście, a nie tylko – jak jesteśmy skłonni sądzić – naszych bliźnich, daje nam pomoc do rachunku sumienia. Nawet jeśli wygląda jak gra planszowa, którą nie jest, należy potraktować ją poważnie i jej użyć, a po sprawdzeniu wyników zbytnio się nie dziwić.

List pasterski nie może się ograniczać do pokazania okropności zła, które ludzie czynią świadomie lub w które dali się uwikłać, lecz musi też wskazywać drogę nawrócenia. W tym celu sięgnąłbym do tego fragmentu adhortacji, w której papież komentuje Kazanie na Górze („Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi"), i potem rozwinąłbym to, co u Napiórkowskiego jest w akapicie zaczynającym się od słów „Na koniec warto jeszcze wspomnieć, że nowe media mogą – w pewnych okolicznościach – rozładowywać polaryzację". Wezwałbym wszystkie katolickie redakcje i wszystkich katolików (nie wyłączając tzw. katolików kulturowych), którzy korzystają z mediów społecznościowych, do wielkiej, cierpliwej akcji rozładowywania polaryzacji politycznej, nawet jeśli ją do tej pory grzesznie doładowywali. Spowiedników namawiałbym, aby jako pokutę zadawali wykonanie „testu Napiórkowskiego" (nakłaniałbym do tego także samych spowiedników).

Nie będąc Konferencją Episkopatu Polski, listu nie napiszę. Więcej: artykułu o cichym zabójcy demokracji nie przeczytają ci, którzy „Tygodnika Powszechnego" – jako pisma liberalnego, żydowskiego, opłacanego przez obce mocarstwa itp. – nie czytają. Co innego, gdyby tak pojawił się list pasterski. Byle bez wskazywania źródeł. ©℗

TP

Ramka dobrych wiadomości

Z dumą informujemy, że reżyser **JAN KLATA** – którego felietony co tydzień znajdują Państwo w „Tygodniku Powszechnym" – został jednym z sześciu laureatów Europejskiej Nagrody Teatralnej Nowe Rzeczywistości Teatralne. Europejską Nagrodę Teatralną (Premio Europa per il Teatro) powołano do życia w 1986 r. pod auspicjami Komisji Europejskiej.

Od 1990 r. jury złożone ze specjalistów z całej Europy przyznaje również laur o nazwie Nowe Rzeczywistości Teatralne – wręczany jednemu lub kilku twórcom kreującym nowy język teatru. Wręczenie nagród nastąpi 17 listopada w Teatrze Aleksandryjskim w Petersburgu. W trakcie uroczystości zaprezentowany zostanie spektakl „Wróg ludu" w reżyserii Jana Klaty.

W tym samym tygodniu poeta **WOJCIECH BONOWICZ** trafił do finałowej siódemki Nagrody Literackiej Nike, do której nominowany jest za tom wierszy „Druga ręka". Felietony Bonowicza publikujemy co drugi tydzień, na zmianę z tekstami Andrzeja Stasiuka.

NASZYM AUTOROM GRATULUJEMY I DZIĘKUJEMY!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Bitwa o Idlib INGA ROGG

6–9 Wiadomości / Komentarze

16 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

33 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

18 Wojny o pamięć nie wygra nikt
ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM, HISTORYKIEM

22 Cena bezpieczeństwa
RAFAŁ ZYCHAL: *Czy Polska wydała czeczeńskiego uciekiniera na tortury, a nawet śmierć?*

25 Mecenas chciałby szybciej
KALINA BŁAŻEJOWSKA *o Adamie Tomczyńskim, kandydacie do Sądu Najwyższego*

■ ■ OPINIE

28 Cichy zabójca demokracji
MARCIN NAPIÓRKOWSKI: *W Polsce trwa eskalacja politycznej polaryzacji. Czy na pewno chcemy iść tą drogą?*

■ ■ WIARA

34 Pytajcie biskupów
ROZMOWA Z O. ADAMEM ŻAKIEM SJ: *W Kościele panuje zmowa milczenia*

38 Kardynał solidarny
PIOTR SIKORA: *Reinhard Marx, biskup „od zadań specjalnych”*

38 Jesteśmy od siebie zależni
ROZMOWA Z KARDYNAŁEM REINHARDEM MARKSEM

40 Wolność, równość, przeżywanie
ANNA GARYCKA *o Kościele we Francji*

■ ■ ŚWIAT

44 Pani premier tańczy
PATRYCJA BUKALSKA: *Brexit się zbliża, niepewności coraz więcej*

BARBARA NIEWIADOMSKA

■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Życie w poczekalni
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Z pozoru wszystko wygląda dobrze: to kandydaci na rodziców ustawiają się w kolejkach, a większość przeznaczonych do adopcji dzieci znajduje domy. Tyle że wcześniej tysiące z nich przechodzi piekło.

14 Pałac z widokiem na dom
ROZMOWA Z TISĄ ŻAWROCKĄ-KWIATKOWSKĄ, PREZESKĄ ŁÓDZKIEJ FUNDACJI GAJUSZ:

Kiedyś myślałam, że leżące u nas dzieci mają najgorszy los. Teraz wiem, że bywa gorzej. Są tysiące takich, które zawiedli wszyscy dorośli: rodzice biologiczni, zastępczy, urzędnicy, dyrektorzy.

■ FELIETONY ■

27 ANNA DZIEWIT-MELLER
43 SZYMON HOŁOWNIA
55 WOJCIECH BONOWICZ
76 JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: O. ADAM ŻAK
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

48 Teatr kukiełek
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Po zamachu na lidera separatystów w Donbasie*

49 Królowie życia z Tijuany
MARTA ZDZIEBORSKA

52 Dwa oblicza saudyjskiego delfina INGA ROGG

54 Szczyt szczerości
DOMINIK HÉJJ: *Zbliżenie Budapesztu z Moskwą trwa*

■ ■ HISTORIA

56 Virtudes wraca do Rosji
KATARZYNA MOŁONIEWICZ: *W Rosji nadal żyją Hiszpanie wywiezieni podczas wojny domowej*

■ ■ NAUKA

60 Wyjątkowo długie dwie i pół minuty TOMASZ GUZIK: *Co łączy nasz wewnętrzny zegar ze skłonnością do używek?*

■ ■ KULTURA

64 Poeta kraju podwójnego
MICHAŁ OLSZEWSKI *o Andrzeju Bursie*

68 Czekając na zmierzch bogów
JAN BŁASZCZAK: *„Siostra bogów” – opera Aleksandra Nowaka z librettem Olgi Tokarczuk*

71 Ogród planetarny
PIOTR KOSIEWSKI *o wystawie Manifesta 12 w Palermo*

74 Taniec z karabinem
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Czarne Bractwo. BlacKkKlansman”*

75 Warto zobaczyć w TV

76 Wolność radykalna
LEKTOR *o książce „Żywego ducha”*

■ ■ WAKACJE

78 Negew, czyli lekcje pustyni
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

RUSZA BITWA O IDLIB

Asad i Rosjanie atakują ostatnią prowincję Syrii będącą w rękach rebeliantów. Zapowiada się nowy dramat i nowy uchodźczy exodus.

INGA ROGG ZE STAMBUŁU

W obawie przed nalotami Syryjczycy chronią się także w jaskiniach. Prowincja Idlib, 3 września 2018 r.

KHALIL ASHAWI / REUTERS / FORUM

Po trwającej kilka tygodni przerwie, w minionym tygodniu rosyjskie lotnictwo i syryjskie samoloty rządowe wznowiły intensywne naloty. Według Syryjskiego Obserwatorium Praw Człowieka – ma ono siedzibę w Londynie, ale informacje czerpie od współpracowników w Syrii – w sobotę i niedzielę, 8-9 września, miało miejsce 150 nalotów na miasteczka i wioski. Do akcji włączyła się też artyleria. Bombardowania i ostrzał wymierzone były w niemal całą południową część prowincji Idlib – położonej w północno-zachodniej części kraju, nad granicą z Turcją – oraz sąsiadujące z nią tereny w prowincji Hama.

Po siedmiu latach wojny to ostatni zwarty obszar pozostający pod kontrolą antyasadowskich rebeliantów (nie licząc terenów kurdyjskich). ONZ szacuje, że przebywa tam 3 mln ludzi, w tym setki tysięcy cywilów, którzy zostali tu deportowani z innych regionów (na mocy lokalnych układów, kapitulujący rebelianci i cywile z takich regionów jak np. Wschodnia Ghuta mogli udać się na północ do Idlib).

W nalotach użyto bomb beczkowych: budzących grozę pojemników wypełnionych materiałem wybuchowym i częściami metalowymi, mającymi razić po eksplozji. Zrzucane są z helikopterów i służą zwłaszcza do tego, aby budzić przerażenie i panikę wśród ludności. Według informacji lokalnych aktywistów, co najmniej 60 takich bomb spadło na szereg miejscowości; były ofiary wśród cywilów. Jednym z zaatakowanych w ten sposób miejsc było Khan Sheikhun, które w kwietniu 2017 r. stało się celem ataku z użyciem gazu bojowego.

Równocześnie rząd Asada przerzuca na północ kolejne siły lądowe. Asad od tygodni grozi, że wkrótce zacznie wielką ofensywę na ten ostatni bastion rebeliantów; w niedzielę potwierdził po raz kolejny, że ma zamiar

↦

odzyskać całą Syrię. Media zbliżone do rządu podały, że ataki w Idlib i Hama to początek zapowiadanej ofensywy. Natomiast rebelianci mówili o wojnie psychologicznej: w ich opinii rosyjskie naloty mają zwiększać na nich presję.

W istocie, choć rząd skoncentrował tam duże siły, ofensywa lądowa na razie nie ruszyła. Może to świadczyć, że naloty służą głównie do zwiększania nacisku oraz wzmocnienia pozycji Asada i jego sojuszników. Ale nawet doświadczeni obserwatorzy mieli w tych dniach kłopot z oceną sytuacji.

W każdym razie nie ma wątpliwości, że naloty zwiększają presję na Turcję, by skłoniła do ustępstw rebeliantów z Idlib (część z nich jest wspierana przez Ankarę), w tym rebelianckie grupy ekstremistyczne. W miniony piątek podczas spotkania w Teheranie prezydent Turcji Erdoğan usiłował przekonać prezydentów Rosji i Iranu, Putina i Rohaniego, do zawieszenia broni w Idlib, które obejmowałoby też dżihadystów – takich jak ugrupowanie Hayat Tahrir al-Sham (HTS). Powstałe na bazie syryjskiej odnogi Al-Kaidy, kontroluje ono znaczną część prowincji i przejścia graniczne z Turcją. Putin i Rohani odrzucili tę propozycję, poparli natomiast apel Erdoğana do grup ekstremistycznych, by złożyły broń. „Kwestia Idlib musi zostać rozwiązania politycznie" – oświadczył Erdoğan na Twitterze w nocy z piątku na sobotę, dodając, że Turcja nie zaakceptuje zabicia dziesiątków tysięcy cywilów. Jego rzecznik nazwał Idlib „tykającą bombą zegarową". Turcja przyjęła 3,5 mln Syryjczyków i chce zapobiec nowej fali uchodźców. W niedzielę odnotowano, że na skutek nalotów nowi uchodźcy ruszyli ku granicy tureckiej; miało to być kilkaset rodzin.

Także ONZ, organizacje humanitarne i zachodni przywódcy ostrzegali w minionych dniach, że jeśli Asad i jego sojusznicy zaczną ofensywę na Idlib, może dojść do wielkiej katastrofy humanitarnej. Dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi mogą zostać zmuszone do ucieczki z terenów ogarniętych walkami – mówił Fabrizio Carboni, regionalny dyrektor Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Jego organizacja obawia się, że nowy dramat może przyćmić to, co działo się wcześniej w Aleppo, Wschodniej Ghucie czy Rakce.

© INGA ROGG

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „NZZ", specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu.

„Idiota" w Białym Domu

PONURY OBRAZ funkcjonowania administracji prezydenta Trumpa wyłania się z książki reportera Boba Woodwarda, która w tym tygodniu trafia do księgarń; prasa w USA publikuje już jej fragmenty. Znany z ujawnienia afery Watergate w 1974 r. (doprowadziła do dymisji prezydenta Nixona) i portretów kolejnych prezydentów, Woodward twierdzi, że jego książka „Strach. Trump w Białym Domu" powstała w oparciu o liczne wywiady z urzędnikami. Wynika z nich, że otoczenie Trumpa ciągle hamuje szefa, a gdy to się nie udaje, sabotuje jego poczynania, które uważa za groźne; w relacjach Trump jawi się jako paranoik i ignorant. Woodward przytacza opowieści, jak szef Pentagonu Jim Mattis przekonywał Trumpa, że USA nie mogą zamknąć baz w Korei, choć są drogie; Mattis miał potem powiedzieć, że Trump ma umysłowość na poziomie „piąto- lub szóstoklasisty". Szef sztabu Białego Domu John Kelly miał mówić, że Trump to „idiota", który jest „poza kontrolą"; „nie ma sensu" przekonywanie go do czegokolwiek (obaj to dementują).

Równolegle „New York Times" opublikował artykuł, którego anonimowy autor – podobno wysoki urzędnik – pisze, że wielu w rządzie USA, w tym on sam, sabotuje pomysły Trumpa czekając, „aż przestanie pełnić urząd". Może to słaba pociecha, ale „Amerykanie powinni wiedzieć, że są tu [w rządzie] ludzie dorośli".

©℗ WP / DPA, AFP, NZZ

RICHARD ATRERO DE GUZMAN / NURPHOTO / EAST NEWS

ŻYWIOŁY PUSTOSZĄ JAPONIĘ. Trzęsienie o sile 7 stopni uderzyło w wyspę Hokkaido; kilkadziesiąt osób zginęło, w milionach domów wysiadł prąd, a w elektrowni atomowej Tomari włączono agregaty (na zdjęciu: osuwisko po trzęsieniu). Wcześniej kraj stawiał czoło najgorszemu od kilku dekad tajfunowi i cierpiał z powodu upałów, które też spowodowały liczne ofiary. ©℗ WP / DPA

Zabójcy z GRU

„JEŚLI KIEDYKOLWIEK WYJADĄ Z ROSJI, Wielka Brytania i jej sojusznicy ujmą ich i postawią przed prokuratorem" – zapowiada Sajid Javid, szef brytyjskiego MSW. Mowa o Aleksandrze Pietrowie i Rusłanie Boszirowie, znanych już z nazwiska agentach (tak twierdzą państwa Zachodu) Kremla, którzy w marcu w Salisbury usiłowali zabić toksycznym nowiczokiem Siergieja Skripala, b. funkcjonariusza GRU, i jego córkę, obywateli brytyjskich. Po tym, jak śledztwo odtworzyło szczegóły pobytu agentów, politycy na Wyspach mówią już otwartym tekstem: za usiłowaniem zabójstwa Skripalów – podobnie jak za zestrzeleniem w 2014 r. nad Ukrainą malezyjskiego boeinga – stoi Władimir Putin. Więcej na blogu Anny Łabuszewskiej. ©℗ ŻYM

Burberry rzuca palenie

„WSPÓŁCZESNY LUKSUS oznacza społeczną i ekologiczną odpowiedzialność" – to słowa Marca Gobbettiego, prezesa firmy odzieżowej Burberry, która pod naciskiem opinii publicznej nie będzie już niszczyć niesprzedanych produktów.

W ub. roku Burberry spaliła odzież i akcesoria warte ok. 40 mln USD. Brytyjski producent od lat pozbywał się w ten sposób towaru, który mógłby trafić na rynek wtórny, obniżając prestiż marki. Protesty konsumentów skłoniły również firmę do wycofania futer z kolekcji.

Burberry to jedna z najstarszych brytyjskich marek odzieżowych. Kilka lat temu, po przeniesieniu większości produkcji poza Wyspy, Pałac Buckingham odebrał jej prestiżowy tytuł oficjalnego królewskiego dostawcy. ©℗ MR

Kruche przywództwo Schetyny

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Konwencja wyborcza Koalicji Obywatelskiej, stworzonej przez PO i Nowoczesną, była oczywistą odpowiedzią na wcześniejszy podobny wyborczy spektakl PiS z udziałem Jarosława Kaczyńskiego. To przewidywalne, że Grzegorz Schetyna próbuje się ścigać z PiS na obietnice socjalne – takie dziś jest oblicze polityki. Analiza owych obietnic nie ma jednak większego sensu, bo często w ogóle nie dotyczą one działalności samorządu.

Ważniejsze w tej konwencji było jednak co innego. Po pierwsze twardy, antypisowski przekaz. Mimo iż wybory lokalne rządzą się innymi prawami od sejmowych, to Schetyna chce je maksymalnie upolitycznić.

Uderzeniem w PiS mieli być także niektórzy zaprezentowani kandydaci. Antoni Pikul to działacz opozycji antykomunistycznej, oskarżony w stanie wojennym przez prokuratora Stanisława Piotrowicza, dziś czołowego posła PiS. Adrian Glinka i Jakub Hartwich to z kolei twarze protestu niepełnosprawnych w Sejmie, który dał się we znaki rządowi. Oczywiście, masa w tym hipokryzji, bo niepełnosprawni protestowali także za rządów Platformy, a miejsc wyborczych wówczas od niej nie dostali.

Drugim ważnym sygnałem jest początek realnego przegrupowania na lewicy. Na konwencji pojawiła się Barbara Nowacka i oznajmiła, że jej Inicjatywa Polska stawia na współpracę ze Schetyną w wyborach sejmikowych. Dla lidera PO to cenny wizerunkowy nabytek. Będzie lewicową kontrofertą PO wobec Roberta Biedronia, który zaczyna budowę własnego ugrupowania.

Na progu maratonu wyborczego nie ma już wątpliwości: Schetyna pokonał konkurentów w wyścigu do przywództwa po stronie opozycji. Jednak to przywództwo kruche, oparte tylko na finansowej i organizacyjnej pozycji Platformy. I na błędach popełnionych przez Nowoczesną i lewicę. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

W SKRÓCIE

ODDECH. Robert Biedroń zadeklarował, że nie będzie ponownie ubiegał się o urząd prezydenta Słupska, i zapowiedział budowę ogólnopolskiego ruchu politycznego, który miałby odbierać głosy PiS. Lider PO Grzegorz Schetyna skomentował, że „nie czuje oddechu Biedronia na plecach".

LWICA. Być może to dobre samopoczucie wynika z faktu dołączenia do obozu PO Barbary Nowackiej. W innej epoce Nowacka z prezentującą się dziś na tzw. Zlocie Prawych Magdaleną Ogórek figurowały na okładce „Polityki" jako „Lwice lewicy".

WRAŻENIE. Inna sprawa, że wokół lidera PO i tak panuje daleko posunięty pluralizm: w prawach członka partii zawieszono właśnie sen. Macieja Grubskiego, który w wywiadzie dla portalu Sputnik zadeklarował, że jest „pod ogromnym wrażeniem" Władimira Putina i jest przeciwnikiem wspierania Ukrainy w sporze z Rosją.

DWÓR. Pluralizm panuje też ponoć w Kancelarii Prezydenta. Ze stanowiska rzecznika głowy państwa odszedł wprawdzie Krzysztof Łapiński, który – jak twierdzi „Do Rzeczy" – uwikłał się w wojnę o wpływy z „dworem krakowskim", ale zastąpił go Błażej Spychalski. „Dopełnia skład ministrów w Kancelarii (...) przede wszystkim dlatego, że pochodzi z bardzo małej miejscowości na Kujawach" – przedstawił go prezydent, więc z dworem nie ma nic wspólnego.

WĄŻ. Na warszawskiej ulicy policjanci złapali półtorametrowego boa tęczowego. Popularny wśród hodowców i niegroźny dla otoczenia wąż nie uczestniczył w kampanii Patryka Jakiego ani Rafała Trzaskowskiego.

LICZBA TYGODNIA

5,8

procent. Tyle, wedle wstępnych szacunków, wyniosła w sierpniu stopa bezrobocia. Po raz pierwszy w historii wolnego rynku w żadnym województwie odsetek bezrobotnych nie przekroczył 10 proc.

BOGUSŁAW TRYBUS / CC-BY-SA-3.0

„GDY UROŚNIESZ, ZOBACZYSZ JĄ Z BLISKA", mówili tatowie, gdy, ledwo jeszcze sięgając stojaków z pocztówkami, wskazywaliśmy na te z sosną ze szczytu pienińskiej Sokolicy. Kilka dni temu, podczas akcji ratowniczej z użyciem śmigłowca, złamała się jej gałąź. Ale zapamiętamy ją z tamtych pocztówek – fantazyjnie wykrzywioną, jakby w naszym imieniu nachyloną nad przepaścią. I z głosem naszych mam, które zawsze krzyczały: „odejdź od barierki!". ©℗ ŻYM

Raport o stanie rodzicielstwa

ZBICIE DZIECKA jest w niektórych sytuacjach najbardziej skuteczną metodą wychowawczą" – uważa co piąty Polak. Niemal co czwarty twierdzi, że „lanie jeszcze nikomu specjalnie nie zaszkodziło", 43 proc. stoi zaś na stanowisku, że „są takie sytuacje, kiedy trzeba dziecku dać klapsa" (we wszystkich trzech odpowiedziach zdecydowanie częściej wybierano formułę ostrożną: „raczej tak"). Osiem lat po wprowadzeniu ustawowego zakazu bicia dzieci Rzecznik Praw Dziecka zaprezentował raport dotyczący postaw Polaków wobec przemocy. „Pokazuje niekorzystny sposób myślenia Polaków o dzieciach i o ich wychowaniu, oraz nie najlepszą jakość polskiego rodzicielstwa" – skomentował wyniki ustępujący ze stanowiska RPD Marek Michalak. ©℗ PW

W SKRÓCIE

GROŹBY. W ramach przygotowań do nadania autokefalii prawosławia na Ukrainie – uniezależnienia go od Cerkwi rosyjskiej – patriarcha Konstantynopola Bartłomiej mianował dwóch egzarchów (swych przedstawicieli) dla tego kraju. Przewodniczący Wydziału Zewnętrznych Kontaktów Cerkwi rosyjskiej metropolita Hilarion zagroził w odpowiedzi, że Patriarchat Moskiewski zerwie więzy z Konstantynopolem, jeśli autokefalia się dokona.

PROPOZYCJE. Rada Prawdy, Sprawiedliwości i Uzdrowienia – utworzona w 2013 r. przez australijski Episkopat w odpowiedzi na zarzuty wykorzystywania nieletnich – postuluje wprowadzenie na stanowiskach kierowniczych w instytucjach kościelnych mechanizmu kwotowego, zwiększającego udział kobiet. Najniższy odsetek nadużyć zanotowano w diecezji Adelaide, gdzie najwięcej kobiet pełni funkcję wikariuszy biskupich (mających władzę nad duchowieństwem). Z kolei szwajcarski Episkopat chce wprowadzić w seminariach zajęcia z wychowania seksualnego i zamierza z urzędu informować policję o przypadkach nadużyć seksualnych.

REFLEKSJE. W Castel Gandolfo odbyło się doroczne spotkanie dawnych uczniów Josepha Ratzingera. Na temat Benedykt XVI wybrał relacje Kościoła z państwem i społeczeństwem. „Zdaniem papieża seniora Kościół za bardzo dostosowuje się do świata, zamiast pozostać kreatywną mniejszością" – ujawnił koordynator „kręgu Ratzingera" ks. Stephan Horn (krąg powstał jeszcze w latach 70., gdy Ratzinger został arcybiskupem Monachium).

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN NAPIÓRKOWSKI, autor tekstu o emocjach w polityce (s. 28), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 12 września o godz. 15.40.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Więcej powołań

W SEMINARIACH DIECEZJALNYCH i zakonnych naukę rozpocznie 622 kandydatów. To o 45 więcej niż w zeszłym roku. „Wzrasta liczba powołań" – ogłosiły media. To zbyt optymistyczny wniosek. W 2002 r. do seminariów zgłosiło się 1367 kandydatów, w 2004 – 1400, lecz w 2010 – 860, w 2012 – 832, 2015 – 748.

– Od kilkunastu lat trwa tendencja spadkowa, ale w ostatnich latach przyhamowała – mówi o. dr Grzegorz Prus, paulin, wiceprzewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Seminariów Duchownych i rektor seminarium na Skałce. – Bądźmy jednak ostrożni z liczbami, choćby ze względu na różnice w formacji w poszczególnych zakonach.

Część seminariów, zgodnie z „Ratio fundamentalis institutionis sacerdotalis", watykańskim dokumentem z 2016 r. opisującym nowe zasady formacji seminaryjnej, wprowadziła rok propedeutyczny poprzedzający studia. – Na razie jest nieobowiązkowy. Stanie się obligatoryjny po wydaniu polskiej aplikacji „Ratio". Prymas abp Wojciech Polak zapowiedział nam, że stanie się to do 2019 r. – tłumaczy o. Prus.

Istotnym tematem zakończonego 5 września spotkania rektorów było „wychowanie do celibatu i prewencji nadużyć seksualnych wobec małoletnich ze strony księży". – To zagadnienie obecne na każdym ze zjazdów – zapewnia o. Prus. Dodaje, że do ośrodka edukacyjno-formacyjnego w Gnieźnie co roku przyjeżdżają na szkolenia z tego zakresu wychowawcy seminaryjni. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Więcej: powszech.net/seminaria

Schönborn broni papieża

ARCYBISKUP WIEDNIA kard. Christoph Schönborn krytykuje „środowiska w Kościele", które „chcą pozbyć się papieża". Odnosząc się do zarzutów, jakie papieżowi stawia były nuncjusz w USA, i do żądań dymisji Franciszka, Schönborn pisze w felietonie opublikowanym w austriackim piśmie „Heute" i na stronie internetowej archidiecezji, że „Franciszek występuje bardzo zdecydowanie przeciw zjawisku molestowania seksualnego w Kościele. Akurat w tym punkcie atakują go jego przeciwnicy. (...) Krytyka ta wychodzi z tych środowisk w Kościele, które możliwie jak najszybciej chcą się pozbyć tego papieża".

Franciszek „przeżywa dziś ciężkie dni" – pisze Schönborn. – „Otwarty sposób, w jaki nazywa rzeczy po imieniu, nie wszędzie spotyka się z sympatią. Także w Watykanie". Gdy pięć lat temu został papieżem, Franciszek wpuścił „świeże powietrze do Kościoła" i pokazał nowy styl „ubogiego Kościoła dla ubogich". Schönborn przypomina, że papież potrafi przyznać się do błędów. Decydujące jest, by uczyć się na błędach, a „to Franciszek pokazał". „Dziękuję Bogu za tego papieża, za tak przekonującego pasterza" – pisze Schönborn. ©℗ WP

Kathpress, erzdioezese-wien.at

FELIPE TRUEBA / EPA / PAP

DO NEUZELLE W BRANDENBURGII, NAD GRANICĄ Z POLSKĄ, PO 200 LATACH WRÓCILI CYSTERSI. Klasztor, założony w 1268 r., w wiekach XVII i XVIII przebudowany w stylu barokowym, został w 1817 r. zsekularyzowany przez władze pruskie; dziś jest chętnie odwiedzanym zabytkiem. Na zaproszenie biskupa Görlitz Wolfganga Ipolta cystersi przysłali do Neuzelle sześciu mnichów. Docelowo chcą wybudować tam nowy mniejszy klasztor, który zapewni im monastyczne warunki życia. ©℗ MM

ANNA MARIA MOES / IAM

Polska wyróżniona na London Design Biennale

WYSTAWA „MATTER OF THINGS” reprezentująca Polskę podczas drugiej edycji London Design Biennale zdobyła wyróżnienie Honourable Mention.

Na wystawie (na zdjęciu: jedno z jej pomieszczeń) zaprezentowano repliki dziesięciu przedmiotów symbolizujących kolejne dekady stu lat polskiej niepodległości, m.in. właz do kanału upamiętniający powstanie warszawskie, żółte firanki, za którymi uprzywilejowani członkowie komunistycznej nomenklatury robili zakupy w PRL, łóżka polowe charakterystyczne dla wczesnej fazy polskiego kapitalizmu, sznur papieru toaletowego czy sławojki (toalety, które w polskim krajobrazie pojawiły się od 1928 r. i były wtedy przejawem postępu cywilizacyjnego). Obiektom towarzyszą unikatowe zdjęcia i kadry z filmów.

Autorka ekspozycji, Małgorzata Wesołowska, zamiast ikon wzornictwa wybrała przedmioty poza Polską nieznane, ale manifestujące zmieniające się na przestrzeni stulecia „stany emocjonalne” Polaków. Komisja konkursowa doceniła komiksowość ekspozycji, ułatwiającą zwiedzającym zapoznanie się z polską historią.

Główna nagroda londyńskiego biennale trafiła do Egiptu. Wystawę w zabytkowym Somerset House można oglądać do 23 września. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Najstarsze sery

TO NIEZWYKŁE, ILE MOŻNA WYCZYTAĆ ze starego niedomytego naczynia ceramicznego. 5 września w czasopiśmie „Nature” ogłoszono odkrycie najstarszych europejskich śladów produkcji sera. Naczynia (na zdjęciu obok), w których znaleziono tłuszcz z fermentowanych produktów mleczarskich (sera, ale być może również jogurtu), pochodzą sprzed 7700 lat, co stanowi nowy rekord dla naszego kontynentu, tuż po o paręset lat młodszym znalezisku z Kujaw.

Wynika z tego zaskakująco dużo. Produkcja sera to ważny krok na drodze „oswajania” mleka. O ile małe dzieci mogą być dokarmiane mlekiem krowim (i prawdopodobnie to tak zaczęła się relacja naszego gatunku z bydłem domowym), wielu dorosłych nie toleruje laktozy. Fermentacja mleka ułatwia jego strawienie, znalezisko chorwackie to więc ważny wkład w naszą wiedzę o prehistorii relacji człowiek–krowa. Po drugie, okazuje się, że praludzie stosowali odrębne, inaczej ozdabiane naczynia wyłącznie na ser. Rozwój kulinariów i estetyki dokonywał się więc równolegle już w szóstym milenium p.n.e.

SIBENIK CITY MUSEUM / MAT. PRASOWE

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Mądra pamięć

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Planty latem, w słońcu były dla niego obrazem raju. Od niedzieli Andrzej Wajda ma tam, koło Teatru Słowackiego w Krakowie, swój skwer. Więc można i tak: uczcić jednego z największych naszych artystów skromnie, ale znacząco, bo w centrum i w miejscu, które kochał. Bez zmieniania nazw ulic ku udręce mieszkańców, bez „wstęg pamięci” niszczących otoczenie Wawelu, bez zaśmiecania przestrzeni miejskiej kolejnym dziełem pewnego płodnego rzeźbiarza.

Trzy dni wcześniej ogłoszono konkurs na adaptację i rozbudowę XVIII-wiecznego Składu Solnego na krakowskim Podgórzu. Znajdzie się tam Centrum Literatury i Języka „Planeta Lem” – ośrodek i wystawa, którym patronuje autor „Solaris”, kolejna po Fabryce Schindlera, MOCAK-u i Cricotece instytucja kultury na prawym brzegu Wisły. No i, podobnie jak istniejący już Ogród Doświadczeń, kolejny znak pamięci o wielkim pisarzu. A wkrótce nową siedzibę w dawnym zajeździe na rogu Krakowskiej i Węgłowej otrzyma Biblioteka Kraków. Oby tak dalej! ©℗

USA: książki pokolenia masakr

GDY ŚWIAT OBIEGŁY ZDJĘCIA klatek, w których służby USA umieściły dzieci zabrane meksykańskim imigrantom, autorzy literatury dziecięcej błyskawicznie skrzyknęli się za pośrednictwem mediów społecznościowych. W ciągu zaledwie 24 godzin zebrali ponad 4 tys. podpisów pod petycją przeciwko stosowaniu przez administrację Trumpa praktyk rodem z dystopii, a następnie zgromadzili 240 tys. dolarów na pomoc prawną dla rozdzielonych rodzin.

Literatura młodzieżowa w Stanach coraz częściej porusza temat uprzedzeń i przemocy, także tej związanej z bronią palną. Tylko w ostatnich miesiącach pojawiło się kilkanaście nowych tytułów, wiele z nich trafia na listy bestsellerów. ©℗ MOC

ŻYCIE W POCZEKALNI

Z pozoru wszystko wygląda dobrze: to kandydaci na rodziców ustawiają się w kolejkach, a większość przeznaczonych do adopcji dzieci znajduje domy. Tyle że wcześniej tysiące z nich przechodzi piekło.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI | ILUSTRACJE BARBARA NIEWIADOMSKA

Witają na ryneczku z kilkoma kawiarenkami i sklepikami. Państwo J.: tuż po czterdziestce, wykształceni, pracujący. Własnych dzieci mieć nie mogli. Więcej – zwłaszcza imion i nazwisk – nie podadzą. Podobnie jak inni rodzice adopcyjni, z którymi się skontaktuję, chcą chronić dziecko.

Franek (imię zmienione), drobny i żywiołowy dwuipółlatek z gęstą czupryną, za moment zaprzeczy stereotypowi „zahukanego dziecka z adopcji". W kawiarni, w której zje lody waniliowe, będzie słychać głównie jego, a spuszczony na moment z oczu wdrapie się na sąsiedni stolik.

Jego historia jest gęsta od zdarzeń. Tak jakby nie chodziło o 30 miesięcy, ale co najmniej o 30 lat życia.

Mamy nie ma w domu

Na świat przychodzi w maju 2016 r. Jest piątym dzieckiem swojej matki, ale ma innego ojca niż rodzeństwo. Mama znika

z domu nawet na kilkanaście dni. Pije. Wtedy dzieci zostają z dziadkami, też nadużywającymi alkoholu.

Wrzesień 2016: dzieci zostają interwencyjnie odebrane z domu, bo ktoś zauważył pijanego dziadka oraz nieobecność mamy. Od narodzin Franka do reakcji urzędników mijają więc cztery miesiące. Mimo że rodzina jest pod opieką Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej na długo przed jego narodzinami.

Ogniwo pierwsze: pomoc społeczna

Te cztery miesiące to i tak nie najgorzej. Późne reakcje służb na – stanowiące przesłankę do odebrania dzieci – „zagrożenie życia lub zdrowia" dziecka to jeden z grzechów głównych systemu. Wynika zwykle z dwóch przyczyn.

Pierwsza: nie reagują ludzie. Krewni, znajomi, sąsiedzi. Druga: zwlekają urzędnicy. Np. z obawy o posądzenie, iż zbytnio ingerują w sprawy rodziny. Zwłaszcza że w ostatnich latach media obiegły informacje o przypadkach „odbierania dzieci za biedę"; informacje podsycane przez polityków. Premier Beata Szydło mówiła nawet w *exposé*, że jej rząd wprowadzi zakaz takich praktyk.

Wszystko dlatego, że sądy oznaczały wcześniej w statystykach kategorię „ubóstwo" jako przyczynę interwencji. – Tymczasem tak naprawdę chodziło o sytuacje, w których bieda była tylko czynnikiem towarzyszącym – zapewnia Dorota Hildebrand-Mrowiec, sędzia rodzinna z Zamościa, prezes Stowarzyszenia Sędziów Rodzinnych w Polsce. – Instytut Wymiaru Sprawiedliwości przebadał akta spornych spraw. Bieda w żadnym z przypadków nie była wyłączną przyczyną interwencji.

Urzędnik daje telefon

Tuż po odebraniu z domu Franek wraz z rodzeństwem zostaje umieszczony w rodzinie zastępczej. W ten sposób dzieci trafiają do systemu pieczy zastępczej. To z założenia rodzaj awaryjnego mostu, z którego dzieci powinny jak najszybciej dostać się na jeden z „brzegów rzeki": albo wrócić do rodziny, albo pójść do adopcji. Tyle że jego rodzeństwo zostanie na tym moście 9 miesięcy, a Franek – 14.

– Trudno nawet opisać, co się przez ten czas działo – mówią państwo K., byli rodzice zastępczy dzieci. – Jeden z chłopców nie radził sobie z agresją, bił rodzeństwo. Bywało, że musiałem przytrzymywać go przez 40 minut, prosząc, by się uspokoił. Kiedy wpadał w furię, udawało mu się naderwać futrynę. Jego siostra miała chyba wszystkie możliwe zaburzenia. Zauważyliśmy ciężkie objawy syndromu poalkoholowego. Podejrzewano u niej autyzm. Miała objawy potraumatyczne. Np. gryzła się do krwi. Nie spaliśmy w nocy, bo potrafiła się obudzić i usiłowała wyskoczyć z łóżeczka. ↦

↦ Jakie wsparcie dostali od Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, a więc instytucji, która odpowiada za rodzicielstwo zastępcze?

– Żadnego – mówią K. – Terminy do psychologa były odległe, w dodatku pani z PCPR kazała nam na wizyty jeździć we własnym zakresie. Proszę to sobie wyobrazić: piątka bardzo różnych dzieci, z rozmaitymi problemami, w dodatku kilkumiesięczny Franek, a urzędniczka wyznacza nam termin i miejsce, z którymi nie można dyskutować. Kiedy powiedzieliśmy, że z dziewczynką jest coraz gorzej, jedynym wsparciem, jakie uzyskaliśmy, był numer telefonu do psychiatry. W ten sposób funkcjonowaliśmy przez niemal rok, mimo że przynajmniej jedno z dzieci powinno być w specjalistycznej rodzinie zastępczej, czyli takiej, która opiekuje się dziećmi ze szczególnymi potrzebami. PCPR jednak takiej rodziny nawet nie szukało.

Ogniwo drugie: centrum pomocy rodzinie

To i tak nie najgorszy wariant. Polski system pieczy zastępczej od lat ma dziury i pęknięcia. Mimo wielu prób reform, wśród których są i te częściowo skuteczne. Np. w jakiejś mierze udało się odejść od instytucjonalnych molochów – na rzecz rodzin.

Nie wszędzie się to udaje. Nieco ponad dwa lata temu opisaliśmy w „Tygodniku" łódzki dom dziecka dla niemowlaków. Istniejący wbrew prawu, które zabrania już umieszczania w instytucjach tak małych dzieci (opiekunki z łódzkiego domu opowiadały, że niektóre dzieci przestały płakać, bo nauczyły się, że nikt na ten płacz nie zareaguje).

Łódzkie domy istnieją nadal (choć nie przyjmują już noworodków). Mimo że rok temu nowe kierownictwo MOPS wydało im wojnę: – Domy dziecka bronią się przed likwidacją – mówi dyrektor Piotr Rydzewski. – Były nawet pikiety przed urzędem. Placówkom zależy na obecności tu dzieci, bo to uzasadnia ich istnienie. Ale przez ostatni rok udało nam się znaleźć aż 234 kandydatów na rodziny zastępcze, czyli więcej niż w całej Polsce w tym czasie, więc placówki będą doprowadzane do standardów ustawowych, a te dla najmłodszych wygaszane. W domu dla małych dzieci nowy dyrektor został zatrudniony trzy miesiące temu i widać już pierwsze tego efekty: praca z rodzinami, nierozdzielanie rodzeństw czy współpraca z prawnikami w celu uregulowania sytuacji dzieci.

Pieczę zastępczą opuszcza dramatycznie mało dzieci.
Przez dwa i pół roku z 75 tys. znajdujących się w tym systemie do adopcji skierowano 6 tys.

Nadal jednak w wielu miejsach w Polsce dramatycznie brakuje kandydatów na rodziny zastępcze. Powód? CPR-y nie potrafią ich skutecznie pozyskiwać, a pracującym już rodzinom nie dają wsparcia. Skutek? Sytuacje takie jak w rodzinie K.: piątka dzieci, przez niemal rok pod jednym dachem, nie dostaje – mimo najlepszych chęci – dostatecznej opieki.

Sędzia nic nie wie

Choć Franek i jego rodzeństwo trafili do pieczy we wrześniu 2016 r., dopiero w grudniu w ich sprawie zbiera się sąd. – Na tym etapie nie było w ogóle mowy o odebraniu praw rodzicielskich matce – mówią K. – Być może dlatego, że sąd nie miał informacji o alkoholu i przemocy w tej rodzinie. A nie miał, bo ani MOPS, ani PCPR takich informacji nie dostarczył. Przez trzy miesiące nie zdarzyło się na linii PCPR-MOPS-sąd praktycznie nic, co mogłoby posunąć sprawę dzieci do przodu.

Przez kolejne miesiące widać postęp, choć powolny. Sąd gromadzi dokumenty, biegli badają rodzinę i dzieci. Ale terminy są odległe, więc kolejne posiedzenie zostaje wyznaczone na czerwiec. Zanim przyszli rodzice adopcyjni Franka dowiedzą się o jego istnieniu, minie kolejnych kilka miesięcy.

Ogniwo trzecie: sąd rodzinny

To i tak nie najgorzej.

Na początku sierpnia Najwyższa Izba Kontroli ogłosiła raport o adopcji. Jeden z głównych wniosków: polską pieczę zastępczą opuszcza dramatycznie mało dzieci. Od początku 2015 do końca pierwszego półrocza 2017 r. z 75 tys. znajdujących się w tym systemie dzieci do adopcji skierowano 6 tys.

Reformę pieczy chce kontynuować Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Ale widać też wyraźnie inny kurs, którym resort chce podążać: pomoc ma być nakierowana na wsparcie rodzin biologicznych. Tak, by dzieci w ogóle nie musiały trafiać do pieczy. Ministerstwo zapowiada zmiany prawne (chodzi m.in. o wzmocnienie profilaktyki pomocowej, np. przez zwiększenie liczby wspieranych rodzin czy upowszechnienie placówek dziennego pobytu dla dzieci).

Ale jeśli wierzyć przedstawicielom różnych ogniw systemu, na razie widać jedną zmianę: większy nacisk, by jak najrzadziej odbierać dzieci i by jak najdłużej dawać rodzinom szansę na poprawienie kryzysowej sytuacji. A to niekoniecznie przekłada się na większe wsparcie.

Potwierdza to zatrudniona przez MOPS w dużym mieście na południu Polski asystentka rodzinna (a więc urzędniczka pomagająca wyjść rodzinom z kryzysu): – Podam przykład: placówki wsparcia dziennego, czyli np. świetlice socjoterapeutyczne, płacą pracownikom głodowe pensje, w dodatku zatrudniając ich na tzw. umowy śmieciowe, efektem czego jest ciągła rotacja. Jak w takiej sytuacji mają się odnaleźć dzieci, które potrzebują stabilizacji? Niewiele się też zmienia, jeśli chodzi o codzienną pomoc. Znowu przykład: od dawna wnioskujemy o diagnozę u specjalistów sądowych rodziny w głębokim kryzysie. Bezskutecznie. W innej rodzinie od ośmiu lat trwa stagnacja, polegająca na

nadzorze kuratorskim, ale w sprawie przemocy czy nadużywania alkoholu nic się nie zmieniło. Rozmawiałam niedawno z koleżanką asystentką, która usłyszała od kuratora: „Wie pani, teraz nie ma klimatu na odbieranie dzieci".

– Od dawna istniał nacisk na wsparcie rodzin, teraz ten nacisk jest większy. Pracownicy socjalni, asystenci robią wszystko, by nie doszło do odebrania dzieci, a sądy bywają ostrożniejsze w decyzjach – potwierdza sędzia Hildebrand-Mrowiec. – Wynika to z różnych przyczyn. Czasami rodzice rzeczywiście biorą się w garść, z korzyścią dla dziecka. Ale częściej bywa odwrotnie. Sytuacja nie rokuje, a sąd musi szybko podjąć decyzję.

Hildebrand-Mrowiec wyznaje: nigdy nie zdarzyło jej się żałować decyzji o odebraniu praw rodzicom: – Być może dlatego, że wkrótce potem podejmuję decyzje o adopcjach. Na sali sądowej widzę wzruszenie nowych rodziców, a potem monitoruję ich losy. Wiem, że adopcja wyszła dzieciom na dobre – mówi.

PCPR załatwi po swojemu

Gdy pod koniec czerwca 2017 r. sąd odbiera biologicznej matce Franka prawa rodzicielskie, przed chłopcem otwiera się droga do adopcji. Pozornie prosta: Franek jest zdrowy, nie ma objawów traumy, za to ma jedynie kilkanaście miesięcy. To po takie dzieci ustawiają się kolejki (problem jest z dziećmi chorymi i starszymi).

Ale jeszcze dwa dni przed rozprawą rozpoczyna się batalia, która cały proces wydłuży o kolejne miesiące. Kierowniczka PCPR oświadcza zajmującym się Frankiem rodzicom zastępczym K., że znalazła inną rodzinę. Też zastępczą.

– Uczyniła to przed rozprawą, wiedząc, że sąd odbierze prawa matce, a wtedy będzie trzeba zgłosić Franka do adopcji – opowiadają K. – Przyczyna była prosta: kandydaci na nowych rodziców byli znajomymi urzędników. Wzięliby Franka jako rodzina zastępcza, a potem, zresztą zgodnie z prawem, mieliby pierwszeństwo do adopcji. W ten sposób omija się w Polsce procedury oczekiwania na przysposobienie. By plan urzędników się powiódł, mieliśmy zgodnie z ich instrukcjami zeznać w sądzie, że nie dajemy już sobie rady.

K. zeznają inaczej. Sąd w drugiej połowie lipca zgłasza dziecko do ośrodka adopcyjnego. By procedura ruszyła, potrzebny jest jeszcze wniosek z PCPR. Ten jednak zwleka do 1 września.

– PCPR liczyło, że uda się rozwiązać z nami umowę, a następnie umieścić dziecko w zaprzyjaźnionej rodzinie interwencyjnie. To się nie udało. Żaden z urzędników PCPR nie poniósł do dziś konsekwencji swoich działań – opowiadają K.

1 września państwo J. – czyli kandydaci na rodziców adopcyjnych – dostają długo wyczekiwany telefon. Z Frankiem po raz pierwszy widzą się tydzień później. Są zachwyceni, widzą piękne, zdrowe dziecko. Zaprzyjaźniają się z rodzicami zastępczymi. Zabierają Franka do domu.

Ale zanim zostanie wyznaczona data rozprawy o adopcję, dociera do nich informacja: o Franka stara się też jego ciocia.

– Mieliśmy już przyszykowany pokój, łóżeczko, fotelik, ubranka – opowiadają J. – Zaczął się czas lęku: co będzie, jeśli Franek do nas nie trafi. Podczas rozmowy sędzia rodzinna uzmysłowiła nam, że to ewidentne zaniedbanie PCPR-u i ośrodka adopcyjnego. I nie chodzi nawet o zatajenie informacji, że ktoś inny stara się o Franka, ale o to, że w ogóle nie powinniśmy byli się z nim spotykać, dopóki nie wyjaśni się status cioci. Ona w końcu zrezygnowała, uznając, że nie da sobie rady z opieką nad Frankiem. Ale nikt nas do dzisiaj za całą sytuację nie przeprosił.

Ogniwo czwarte: ośrodek adopcyjny

NIK podaje, że procedura adopcyjna trwa w Polsce średnio dwa lata. W raporcie Izba zwraca uwagę na systemowe problemy: brak jednolitych dla całego kraju kryteriów wyboru rodziców, braki w dokumentacji, a nawet ryzyko korupcji. Według ankiety, jaką NIK przeprowadziła wśród uczestników procedur adopcyjnych, najważniejsza bariera znajduje się poza systemem adopcyjnym. 26 proc. odpowiedziało, że jest nią „brak dzieci o uregulowanej sytuacji prawnej".

H., rodzice dwójki adoptowanych dzieci z centralnej Polski, uważają, że ani funkcjonowanie ośrodków, ani długa procedura nie są w Polsce głównymi problemami. – Przeciwnie, ten czas oczekiwania na dziecko jest potrzebny – mówią. – Podczas kursu w naszym ośrodku, prowadzonym przez warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, wiele się nauczyliśmy: przede wszystkim tego, jak wsłuchać się w potrzeby dzieci i jak ważna jest jawność adopcji. Byliśmy też długo obserwowani, ale to przecież jest zgodne z dobrem dziecka. Problem tkwi w tym, że jest coraz mniej dzieci do adopcji, o czym przekonaliśmy się, czekając trzy lata na nasze drugie przysposobienie.

To samo mówią inni rodzice adopcyjni – z południa Polski. G. wychowują 4-letnią córkę, na którą czekali niecałe dwa lata. Teraz ubiegają się o drugie dziecko. Bezskutecznie od trzech lat. – Państwo nie patrzy teraz na dobro dziecka, tylko na bliżej nieokreślone dobro rodziny biologicznej – mówią. – A dzieci pozostają w zawieszeniu. Również dlatego, że zgłaszają się po nie nagle krewni. Nie bez znaczenia jest fakt, że państwo oferuje teraz większe środki dla rodzin: do zasiłków doszło świadczenie 500 plus.

– Moglibyśmy przeprowadzić nawet sto adopcji rocznie, a do końca doprowadzamy mniej niż połowę tej liczby – potwierdza szefowa ośrodka adopcyjnego, w którym zarejestrowani są G. – Rodzicom biologicznym daje się szansę raz, drugi, piąty. Tyle że nikt nie liczy się z tym, że to dziecko ma teraz dwa lata, a za chwilę będzie miało pięć. Sytuacja komplikuje się często nawet na etapie rozprawy adopcyjnej, bo rodzice albo np. babcia składają wniosek o przywrócenie praw. To problem systemowy. Moim zdaniem początek rozprawy adopcyjnej powinien już zamykać drogę do składania takich wniosków.

Szefowa ośrodka opowiada historię czekającego na adopcję dziecka w wieku szkolnym. Procedura ruszyła w kwietniu, ośrodek chciał, by od nowego roku szkolnego dziecko było w nowej rodzinie. Ale do sądu wpłynęło złożone przez krewnych odwołanie. Sąd je uchylił, jednak minęły kolejne miesiące. – Proszę sobie wyobrazić psychikę dziecka: mówi już „mamo" i „tato" do rodziców adopcyjnych, nadal ma tych zastępczych, a dodatkowo zjawia się babcia lub ciocia – mówi szefowa ośrodka adopcyjnego. – Takie historie zdarzają się nam coraz częściej.

Czternaście miesięcy w próżni

Franek trafia do państwa J. w listopadzie 2017 r. Czyli po 14 miesiącach od rozdzielenia z rodziną. I trzy lata po tym, jak J. zgłosili się do ośrodka adopcyjnego. – Choć nasza historia i historia Franka – mówią – i tak zakończyła się szczęśliwie.

Czy podobnie skończy się historia jego rodzeństwa, nie wiadomo. Trójka braci Franka trafiła do krewnych. Jego siostra mieszka w ośrodku opiekuńczo-leczniczym. Na adopcję na razie nie ma szans.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pałac z widokiem na dom

TISA ŻAWROCKA-KWIATKOWSKA, PREZESKA FUNDACJI GAJUSZ:

Kiedyś myślałam, że leżące u nas dzieci mają najgorszy los. Teraz wiem, że bywa gorzej. Są tysiące takich, które zawiedli wszyscy dorośli: rodzice biologiczni, zastępczy, urzędnicy, dyrektorzy.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: To zdjęcie uśmiechniętych młodych ludzi...

TISA ŻAWROCKA-KWIATKOWSKA: ...to moje dzieci. Córka, wkrótce młoda matka, i trójka dorosłych już synów.

Wśród nich Gajusz.

Ten najbardziej zarośnięty. Dokuczam mu czasem, że przypomina dzikusa (*śmiech*).

Dwadzieścia jeden lat temu, tuż po porodzie, zachorował.

Wada szpiku z podejrzeniem choroby genetycznej lub rzadkiej odmiany nowotworu. Pierwszy rok spędzaliśmy głównie w szpitalach. A Gajuszowi nie dawano szans na przeżycie. Potem, pracując w fundacji, spotykałam dzieci z podobnymi wadami. Żadne nie przeżyło.

Wtedy, dwie dekady temu, próbowała Pani wyprosić cud.

Poszłam do kościoła. Powiedziałam, że założę fundację, tylko chcę, żeby moje dziecko było zdrowe. Minęły trzy dni, przyszły prawidłowe wyniki. Kiedy zdarzało mi się o tym opowiadać, znajoma psycholog, specjalistka od traumy, mówiła: „Tisa, ty się zastanów, co mówisz. Bo czy to aby nie oznacza, że rodzice, których dzieci umarły, za mało obiecywali albo za mało je kochali?". Więc teraz jestem ostrożniejsza: Gajusz wyzdrowiał, choć jego historia mogła się potoczyć inaczej.

Leżąc z nim w szpitalu, przeżyła Pani coś jeszcze.

Naprzeciwko nas umierała dziewczynka z domu dziecka. Miałam odruch, żeby się nią zajmować, choć była śmiertelnym zagrożeniem dla Gajusza, który nie miał odporności. Wyszliśmy ze szpitala przed świętami, wróciliśmy w samą Wigilię. Ta dziewczynka już nie żyła. Umierała sama.

Działała już wtedy fundacja.

W tamtym czasie zajmowaliśmy się głównie wysyłaniem wolontariuszy do chorych, opuszczonych przez rodziców dzieci. A w 2002 r. miało miejsce kolejne przełomowe wydarzenie w moim życiu. Jechałam samochodem do Skierniewic, by pożegnać się z inną dziewczynką, którą pokochałam. Dominika, poznałam ją w łódzkim szpitalu. To było trzecie odejście dziecka w ciągu krótkiego czasu, byłam wizytą u Dominiki bardzo zestresowana. I jadąc do tych Skierniewic skręciłam w miejscu, w którym nie było wolno tego robić. Mogłam zabić siebie i innych, ale na szczęście nikomu nic się nie stało. Choć obrazy zostały: z auta leje się benzyna, ja nie mogę wyjść...

Wróciłam do domu i stwierdziłam, że nie poradzę sobie psychicznie.

I znowu Pani życie prywatne wpłynęło na zawodowe.

Koleżanka poradziła mi, żebym zarejestrowała niepubliczny zakład opieki zdrowotnej o profilu psychologicznym, dodając, że to się przyda i dzieciom, i rodzicom, i przy okazji mnie. Powstała poradnia.

Dwa lata później stworzyliśmy hospicjum domowe dla dzieci. Za tym też stała historia osobista: miałam ciężko chorującego chrześniaka. Poznałam też w tamtym czasie kolejną nieuleczalnie chorą dziewczynkę. Jej mama była prostytutką. Przyjmowała klientów niemal w jej obecności, a sąd rodzinny nie miał gdzie jej wysłać... W dodatku ta mama nie życzyła sobie wizyt hospicjum domowego, mimo że jej córka miała rdzeniowy zanik mięśni.

Ta dwójka bliskich mi dzieci zmusiła mnie w zasadzie do stworzenia hospicjum stacjonarnego. Tyle że nie mieliśmy nawet pieniędzy na remont budynku, który w międzyczasie dostaliśmy na potrzeby fundacji. Poszłam do dyrektora więzienia, mając nadzieję, że znajdą się tam fachowcy-wolontariusze. I się znaleźli: glazurnik i ogrodnik!

Budynek był wyremontowany, ale nadal nie było pieniędzy. Złożyliśmy wniosek o grant w fundacji Velux, ale szanse na wygraną w konkursie ocenialiśmy na niewielkie. Facet z tej organizacji przyjechał, zrobił zdjęcia, pojechał. A dwa tygodnie później, kiedy myślałam, że to już jest koniec i fundacji, i mojego funkcjonowania, zadzwonili, że zostaliśmy wybrani, i dostaniemy – uwaga – 800 tys. euro! To były takie pieniądze, że mogłam zrealizować marzenie: nie tylko zrobić remont, ale zatrudnić superprofesjonalistów.

Hospicjum powstało na jesieni 2013 r.

Dzisiaj mamy dziesięć łóżek, choć akurat teraz leży u nas trzynastka dzieci – poza wyjątkami nieuleczalnie chorych i opuszczonych.

Trudno o większe nieszczęście.

Też tak kiedyś myślałam, a teraz wiem, że się myliłam. Obracając się przez lata w systemie pieczy zastępczej, kontaktując się z urzędnikami, słuchają historii z Łodzi i nie tylko, poznawałam losy dzieci, które zawiedli wszyscy napotkani po drodze dorośli. Wszyscy! Rodzice biologiczni, zastępczy, opiekunowie, urzędnicy, dyrektorzy.

U nas są nieszczęścia, ale jest też nadzieja. Weźmy Marcina. Jego matka spowodowała po pijanemu wypadek, stając się osobą niepełnosprawną i niezdolną do opieki nad nim. Marcin trafił do nas, bo ma ciężkie porażenie. Dostał do opieki wolontariusza – pracownika dużej firmy informatycznej. Wolontariusz pokochał Marcina. I przestał być wolontariuszem, bo rzucił swoją firmę, zatrudniając się u nas jako opiekun. Jest przy Marcinie od kilku lat.

Albo Kasia, która trafiła do nas ze szpitala, mając pół serca – nieuleczalną wadę wykluczającą przeszczep. Znaleźliśmy dla niej specjalistyczną rodzinę zastępczą. Była też chora Marysia pozostawiona przez rodzinę biologiczną.

Pewnego dnia zorganizowaliśmy w naszym budynku szkolenie dla rodzin zastępczych z pierwszej pomocy. Po szkoleniu kilka osób zapytało, czy mogą zejść na dół i zobaczyć Pałac.

Pałac?

Tak nazywamy nasze hospicjum. Kiedy ci ludzie zeszli na dół, jedna z par zobaczyła Marysię. Kilka dni temu dziewczynka wróciła wraz z nimi z wakacji nad Balatonem...

Więc te nasze dzieci chyba jednak nie mają najgorzej: jeśli ich stan nie zwiastuje rychłego odejścia, to robimy wszystko, by znaleźć dla nich dom. Wtedy odwiedzamy je w ramach hospicjum domowego.

Ale nie wszystkie znajdują rodziny.

Jednego z chłopców, leżącego u nas od dłuższego czasu, widział pan, gdy przechodziliśmy korytarzem. Bartuś trzymał w rękach dwa samochody. Ma dwa lata i ciężką genetyczną chorobę. Na razie jest w dobrej formie, choć wiemy, że ta choroba źle przebiega... Bartuś ma ulubioną wolontariuszkę, z którą spędza prawie cały czas. Chłopiec pochodzi z biednej, wielodzietnej rodziny, która nie potrafiła się już nim zajmować.

Rodzice biologiczni przychodzą?

Jedni przychodzą, inni nie. Ale nawet ci, którzy zjawiają się rzadko albo w ogóle, nie są bezdusznymi potworami. Nigdy ich tak nie traktujemy – za dużo wiemy o ich życiu. Mieliśmy tu małe dziecko zmasakrowane przez rodziców. Pierwsza myśl: za takie rzeczy powinna być kara śmierci. A potem urzędniczka opowiedziała nam historię życia tej matki. Nie mogę jej opowiedzieć – za dużo w niej szczegółów, które mogłyby tę kobietę zdemaskować. Ale gdy poznałam wszystkie straszne rzeczy, jakie ją spotkały, inaczej spojrzałam na to, co się wydarzyło.

Pani fundacja prowadzi też ośrodek preadopcyjny „Tuli Luli". Niektórym mamom, które zrzekły się praw do dzieci, organizujecie pożegnania.

Przychodzą, fotograf robi zdjęcie. Niektóre z nich piszą liścik, inne decydują się na nagranie filmiku.

Co mówią?

To są ciężkie spotkania. Dla dzieci też.

Ciężkie dla kilkutygodniowych dzieci?

Spędziły dziewięć miesięcy w brzuchu. Nawet jeśli ten czas był trudny, to przecież stanowił większość ich dotychczasowego życia. Więc gdy taka mama się zjawia, dziecko zaczyna się zachowywać inaczej.

Po co te spotkania?

Za kilka, kilkanaście lat mogą się okazać dla tych dzieci ważne. Może dzięki nim dotrze do nich, że nie są anonimowymi „podrzutkami". Że za tymi decyzjami stały jakieś powody, jakieś dramaty.

MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

TISA ŻAWROCKA-KWIATKOWSKA
od 1997 r. kieruje Fundacją Gajusz w Łodzi. Z wykształcenia filmoznawczyni. W 2008 r. została odznaczona Orderem Uśmiechu.

Te historie są na swój sposób szczęśliwe: matka zrzeka się praw, dzięki czemu może dojść do adopcji. Najgorsze są historie na granicy: niewydolna rodzina, przemoc, alkohol, rodzice zachowują – przynajmniej częściowo – prawa. Panuje opinia, że urzędnicy dają w nieskończoność szanse rodzicom biologicznym. Kosztem dzieci.

Dają czas, zamiast mądrego wsparcia. Znam przypadek, gdzie rodzice przez cztery lata nie robili nic, by poprawić swoją sytuację, i nikt na to nie reagował.

Zdarzają się też decyzje krzywdzące rodziny biologiczne. Pamiętam, jak dyrektor domu dziecka uznał, że dziadek trójki dzieci nie może dobrze wypełniać roli spokrewnionej rodziny, bo... nie dysponuje wystarczającą liczbą łóżek. Zrobiliśmy na Facebooku „pokazówkę", publikując apel o pomoc. Nie dosyć, że znalazło się tych łóżek kilkadziesiąt, to ludzie pisali listy pytając, jakie ten dziadek ma jeszcze marzenia...

Bywa też często tak, że dylemat – rodzina biologiczna, zastępcza czy adopcja – jest nierozstrzygalny. W takich sytuacjach sędzia może rzucić monetą i każde rozstrzygnięcie będzie tak samo dobre jak złe. Ale nawet taki „rzut monetą" jest lepszy niż przeciąganie spraw w nieskończoność.

Takie przeciąganie to chyba najcięższy grzech urzędników. Dlaczego?

Nie wiem, i nawet nie chcę tworzyć w swojej głowie mechanizmu, który pozwoliłby mi to zrozumieć. W Wielkiej Brytanii jest podobno zasada, że jeśli firma ubezpieczeniowa nie zlikwiduje po wypadku samochodowym szkody w określonym czasie, to płaci taką karę, że trudno się jej pozbierać. Coś podobnego przydałoby się w odniesieniu do urzędników decydujących o losach dzieci.

W jednym z domów dziecka dyrekcja, zamiast robić wszystko, by podopieczni trafili do adopcji, pisała: „Dalszy pobyt w placówce uzasadniony". A kierowniczka pytana, dlaczego tak pisze, odpowiedziała, że przecież dziecko trafiło do tego domu dziecka decyzją sądu, więc ona postępuje tylko zgodnie z wyrokiem...

Co robić, żeby nie niszczyć dzieciom najważniejszych lat?

Działać. My na przykład, pracując z rodzicami biologicznymi, ustalamy sobie krótkoterminowe cele. Czasami chodzi o podjęcie terapii, innym razem o znalezienie pracy. A jeśli okazuje się, że w ciągu trzech miesięcy nie udało się zrobić nawet połowy zaplanowanych rzeczy, to próbujemy im uzmysłowić, że tym bardziej nie będą ich w stanie zrealizować, opiekując się 24 godziny na dobę dziećmi... Działając, odkryłam też inną zadziwiającą rzecz: 30 proc. rodziców biologicznych oddzielonych od dzieci mogłoby je odzyskać niemalże od ręki. Trzeba ich tylko wesprzeć.

Wróćmy do Pani zobowiązania. Po ponad dwu dekadach traktuje je Pani tak samo?

Tak, ale ta praca daje mi przede wszystkim poczucie sprawczości, przekonanie, że „da się". A od jakiegoś czasu widzę też światełko w tunelu, jeśli chodzi o współpracę z niektórymi urzędnikami.

Co znaczy Fundacja Gajusz dla Gajusza?

Bywał dzieckiem trudnym i zbuntowanym, również przeciwko mnie. Ale gdy w szkole kazali mu stworzyć pracę o autorytetach, to napisał, że dla niego autorytetem jest matka. I to z jakiego powodu!

Z powodu fundacji.

Zawsze dobrze o niej myślał, ale dzięki tej szkolnej pracy zrozumiałam, jak bardzo fundacja – dla mnie tak jakby kolejne dziecko – jest ważna również dla niego.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PS. Imiona dzieci zostały zmienione.

PAWEŁ

Śpiewak:
Płacz Boga

Dzisiaj niech mówią midrasze. W tej opowieści zasadnicze miejsce zajmuje płacz Boga nad losem, który sam sobie zgotował. Uczynił tak w poczuciu klęski moralnej narodu wybranego i niemal zerwania przymierza. Kara, jaka spadła na Judę, była też karą wygnania Boga z ziemskiej siedziby. Poczuł się zdradzony, oszukany. Pozostał mu tylko lament, choć wiemy, że gdyby łza Boga spadła na ziemię, świat przestałby istnieć, powrócił do stanu pierwotnego chaosu, zwanego w Torze *tohu-wa-wohu*.

A wszechmocny, Pan Zastępów, nawoływał w owym dniu do płaczu i skargi (Iz 22, 12). Gdy Święty Jedyny miał zburzyć Świątynię, powiedział: „Tak długo, jak jestem w niej, ludy ziemi nie będą mogły jej tknąć. Jednak gdy zamknę oczy i przysięgnę, że nie mam z nią nic wspólnego aż do czasów przyjścia Mesjasza, niech przyjdą nasi wrogowie i ją zniszczą". Tak też przysiągł kładąc za sobą prawą rękę. Natychmiast wdarli się do świątynnej sali wrogowie i ją podpalili. Święty Jedyny rzekł: „Znowu nie mam swej siedziby na ziemi. Muszę zabrać ze sobą swoją Obecność i przenieść do dawnego domu". Zapłakał Święty Jedyny i rzekł: „Biada mi, biada. Cóż ja zrobiłem? Dla dobra Izraela swoją obecność umieściłem na dole. Ale dlatego, że Izrael grzeszył, wracam do swojego dawnego domostwa. Niech Niebiosa się obruszą, ale stałem się obiektem kpin narodów i celem szyderstw śmiertelnych". Wtedy pojawił się Metatron i rzekł przed Świętym Jedynym: „Pozwól mi płakać, ale ty płakać nie musisz". Wtedy Bóg odpowiedział: „Jeśli nie pozwolisz mi płakać, pójdę do tego miejsca, gdzie nie wolno ci wchodzić, i tam będę łkał". Tak mówił, co wiemy z Księgi Jeremiasza. „A jeżeli tego nie usłuchacie, moja dusza w ukryciu płakać będzie" (Jr 13, 17). I nakazał swoim aniołom, by poszli z nim do Jego miejsca w Górze i zobaczyli z wysokości Jego dom i co się z nim stało. Widok był straszliwy i Bóg wołał: „Co się stało z moimi Lewitami? Gdzie są moje dzieci? Cóż innego mogłem zrobić, ostrzegając ich wielokrotnie, ale oni nie potrafili zdobyć się na skruchę".

Wtedy Bóg rzekł Jeremiaszowi: „Jestem dzisiaj jak człowiek, który niespodziewanie stracił syna, a Ja przygotowywałem mu małżeński alkierz. Nie okażesz mi i mojemu ludowi współczucia? Idź, wezwij Mojżesza, Abrahama, Izaaka, Jakuba z ich grobów. Oni wiedzą, jak należy płakać". Jeremiasz na to: „Nie wiem, gdzie znajdę grób Mojżesza". Święty Jedyny: „Idź na brzeg Jordanu i wykrzyknij: Synu Amrama, synu Amrama, wstawaj i spójrz na swoją trzodę, którą wrogowie niszczą".

Praojcowie pomogli płakać Bogu, a ten i tak wołał: „Przekleństwo temu, komu powodzi się za młodu, a kto nie radzi sobie na starość". Bóg czuł się stary. Bezsilny.

I wtedy przybyli raz jeszcze praojcowie i pramatki, prosząc o zmiłowanie dla swego ludu. Ale o tym już opowiada kolejny midrasz. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Klerykalni apostołowie

W czasie wędrówki po Galilei Jezus przygotowywał Dwunastu na czas kryzysu. Ewangelista Marek mówi: „Uczył bowiem swoich uczniów i mówił im, że Syn Człowieczy będzie wydany w ręce ludzi. Oni Go zabiją, lecz zabity po trzech dniach wstanie z martwych. Uczniowie jednak nie rozumieli tych słów, lecz bali się Go pytać".

Skąd ten lęk? Można się domyślać, że apostołowie wciąż jeszcze bardziej wierzą sobie, swoim wyobrażeniom o Jezusie, niż Jezusowi. Wciąż jeszcze usiłują wkomponować Jezusa w świat swoich dotychczasowych wyobrażeń o Mesjaszu, a więc i marzeń, które ma on spełnić. Poświęcili przecież dla Jezusa wszystko, więc teraz Jego kolej. Piotr wyraźnie to formułuje: „Oto my zostawiliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą. Co za to otrzymamy?". Dlatego gdy podczas galilejskiej wyprawy Jezus zapytał ich: „O czym to rozprawialiście po drodze?", oni „milczeli, bo w czasie drogi sprzeczali się ze sobą o to, kto z nich jest największy". Po latach, kiedy apostołowie wyjdą z wielkopiątkowego kryzysu przemienieni, będą się zmagać z podobnym kłopotem pierwszych gmin. Apostoł Jakub napisze w liście: „Skąd wojny i walki między wami? Czy nie z pożądliwości, które walczą w waszych ciałach? Pożądacie, a nie posiadacie; zabijacie i zazdrościcie, a nie możecie osiągnąć; toczycie boje i wojny, a nic nie zyskujecie, bo się nie modlicie! Modlicie się, a nie otrzymujecie, bo się źle modlicie. Pragniecie zaspokoić tylko własne namiętności". To ostatnie zdanie jest również kluczem do dzisiejszych kłopotów chrześcijan, a pewnie wyznawców innych religii i ateistów również.

Dlatego warto posłuchać, co na ten temat ma do powiedzenia następca, a raczej kilku ostatnich następców, Piotra Apostoła.

Papież Franciszek w „Liście do Ludu Bożego" napisał: „Nie sposób wyobrazić sobie nawrócenia działania kościelnego bez aktywnego udziału wszystkich członków ludu Bożego. (...) Ukazuje się to wyraźnie w niewłaściwym sposobie rozumienia władzy w Kościele (...), jakim jest klerykalizm. (...) Klerykalizm, któremu sprzyjają zarówno sami kapłani, jak i świeccy, tworzy rozłam w ciele eklezjalnym, który sprzyja i pomaga w popełnianiu wielu złych rzeczy, które teraz potępiamy. Powiedzenie »nie« wobec nadużycia oznacza stanowcze odrzucenie wszelkich form klerykalizmu".

Wygląda na to, że trzeba będzie zmienić zakres znaczeniowy słowa „antyklerykalizm". W obecnych czasach nabiera ono znaczenia pozytywnego. A swoją drogą, chciałbym nieśmiało zapytać, czy dzisiaj Episkopat Kościoła w Polsce nie ma nic do powiedzenia ojcu świętemu Franciszkowi? Przecież jeszcze niedawno tak ochoczo deklarował swoje synowskie posłuszeństwo jego poprzednikom. Skąd to milczenie? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Grzeszny Rybak

Im głębiej żyje w Bogu, tym bardziej jest zdolna do przyjmowania. Im bardziej pożąda, tym bardziej jest spragniona.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA

Kto chce rzeczy niemożliwej, skazuje się na ból rozgoryczenia. Na tego zaś, kto wolny jest od oczekiwań, wszędzie czeka nieustanna pomyślność.

ŚANTIDEWA

Wiele razy czytałem tę perykopę. Wielokrotnie też komentowałem ją podczas rozmaitych rekolekcji, szczególnie dla kapłanów. Kiedy sięgnąłem po nią w ostatni czwartek, miałem w sobie pragnienie, by Pan otworzył ją przede mną jeszcze w inny, nowy sposób. Po chwili zmagania przyszła odpowiedź...

Chodzi o fragment Ewangelii Łukasza, zatytułowany zwykle „Powołanie pierwszych uczniów" (Łk 5, 1-11). Jezus prosi Szymona Piotra: „Wypłyń na głębię", a następnie wypełnia w cudowny sposób rybami sieci jego i jego wspólników, Jana i Jakuba. Na ten widok Piotr, pochylając się do Jezusowych stóp, mówi: „Wyjdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiekiem grzesznym". Pan odpowiada: „Nie bój się, odtąd (dosł.) będziesz łowiącym ludzi" (w. 8 i 10).

Właśnie ten dialog mnie uderzył. Nie powiedział mu: „Nie jesteś grzesznikiem". Nie powiedział mu także: „Nie jesteś aż takim grzesznikiem. Idź, posługuj w Kościele". Przeciwnie, kiedy Szymon klęknął przed Nim z pełną świadomością swojego grzechu, Jezus roztoczył mu przed oczami zlecaną misję.

Jakby mu mówił: „Tak. Wiem, że jesteś grzesznikiem. I jako grzesznik będziesz głosił Królestwo Boże. Musisz to unieść. Musisz unieść napięcie między świętością i wielkością przesłania a własnym grzechem. Musisz mieć dość pokory, by nie udawać, że nie ma tego napięcia. Jest i zawsze będzie".

To nie zgoda na grzech. To miłość do grzesznika. To pokora Boga, który swoje Słowo, Czyny i Miłość składa w nasze grzeszne serca, usta i ręce.

Kilkanaście dni temu jeden z amerykańskich arcybiskupów zwrócił się do papieża Franciszka z apelem, by odwołał Synod biskupów na temat młodzieży i zdolności Kościoła do towarzyszenia młodym ludziom w rozeznawaniu, odkryciu i realizacji życiowego powołania. „Nie jesteśmy wiarygodni" – stwierdzał arcybiskup. Popełniliśmy wiele (zbyt wiele?) grzechów przeciw młodym ludziom. Straciliśmy moralny tytuł, by ich prowadzić.

Wielu ludzi pytało mnie, co sądzę o tym apelu. Rozumiem wrażliwość i uczciwość nadawcy listu (którego zresztą dane mi było kiedyś poznać). Myślę jednak, że Ewangelia podpowiada inną drogę: trzeba jasno – jak Piotr – wyznać swój grzech. I przyjąć jego potwierdzenie ze strony Jezusa. A potem, z nieudawaną pokorą stanąć przed młodymi – a także przed całym Kościołem – i powiedzieć: „Jesteśmy grzesznikami! Nie chcemy udawać kogoś innego. Mieliśmy dla was być »Skałą«, na której moglibyście się oprzeć; a staliśmy się zawadą i »kamieniem potknięcia«. Mieliście się na nas budować, a zostaliście zgorszeni. Mieliśmy być dla was pośrednikami świętości, a wciągnęliśmy was w nasz własny grzech. To wszystko prawda... Ale wierzymy, że w waszym życiu Ewangelia zaowocuje lepiej niż w naszym. Że zbudujecie doskonalszy – bardziej ewangeliczny – Kościół niż ten, który wam przekazaliśmy".

Potrzebne jest wyznanie grzechu. I przyjęcie konsekwencji. Nawrócenie, pokuta i zadośćuczynienie. Pokora. I wierność misji. A nie rezygnacja. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 IX)

24. niedziela zwykła: Iz 50, 5-9a; Ps 116; Jk 2, 14-18; Mk 8, 27-35;
Poniedziałek: 1 Kor 11, 17-26. 33; Ps 40; Łk 7, 1-10;
Wtorek: Mdr 4, 7-15; Ps 148; Łk 2, 41-52;
Środa: 1 Kor 12, 31 – 13, 13; Ps 33; Łk 7, 31-35;
Czwartek: 1 Kor 15, 1-11; Ps 118; Łk 7, 36-50;
Piątek: Ef 4, 1-7. 11-13; Ps 19; Mt 9, 9-13;
Sobota: 1 Kor 15, 35-37. 42-49; Ps 56; Łk 8, 4-15;
25. niedziela zwykła: Mdr 2, 12. 17-20; Ps 54; Jk 3, 16 – 4, 3; Mk 9, 30-37.

Wybrał PIOTR SIKORA

WOJNY O PAMIĘĆ NIE WYGRA NIKT

PROF. ANTONI DUDEK, HISTORYK I POLITOLOG:

Jesteśmy w momencie kluczowym. Przed przewróceniem stolika, który Polacy postawili w latach 1989–1991.

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Gdy Joanna Szczepkowska powiedziała, że 4 czerwca 1989 r. skończył się komunizm, wszyscy przyklasnęli. Wychodzi jednak na to, że nie miała racji.

ANTONI DUDEK: Miała rację, bo tego dnia komunizm skończył się jako system rządów oparty na monopolistycznej władzy PZPR. Z drugiej strony wielkie procesy społeczne i ustrojowe nigdy nie zaczynają się ani nie kończą jednego dnia. System słabł już przez całe lata 80., a zarazem wiele jego elementów przetrwało rok 1989.

Politycy obozu rządzącego chyba nie są pewni, kiedy upadł komunizm: w 1989, 1991, a może nawet w 2015 r.

To zależy od tego, co uznamy za moment narodzin państwa demokratycznego. Między rokiem 1989 a 1991 rozciąga się okres przejściowy: to już nie jest PRL, ale jeszcze nie III RP, bo brak demokratycznie wybranego parlamentu. Nie przypadkiem Sejm wybrany w październiku 1991 r. nazwano sejmem I kadencji.

W II RP też mieliśmy czas powstawania zrębów państwa od 11 listopada, kiedy przekazano Piłsudskiemu władzę nad wojskiem, poprzez likwidację Rady Regencyjnej, wyłonienie rządu Jędrzeja Moraczewskiego, aż po styczeń 1919 r., kiedy odbyły się wybory do Sejmu. Wtedy okres przejściowy trwał trzy miesiące. W przypadku III RP niestety dłużej.

I był bezkrwawy, co zdaniem prezydenta Andrzeja Dudy miało swoją cenę.

To niefortunna wypowiedź. Lepszego rozwiązania w 1989 r. nie było, choć nie było ono doskonałe. W regionie krwawy przebieg miał tylko upadek reżimu w Rumunii. Nie sądzę, żeby prezydent stawiał za wzór Rumunię – zwłaszcza jak się patrzy na późniejszą historię tego kraju.

W słowach prezydenta dostrzegam tęsknotę części społeczeństwa, którą wyraził Jarosław Marek Rymkiewicz. Wieszania prawdziwego, chwała Bogu, nie było, ale symboliczne by się przydało. Choćby – wyrok sądowy dla Wojciecha Jaruzelskiego już na początku lat 90.

Ale chciano go zdegradować i prezydent postawił weto.

I dobrze. Degradowanie nieboszczyka to absurd. Prezydent jest rozdarty – czasem stąpa po ziemi i ratuje swój obóz przed ośmieszeniem, a czasem zaczyna szybować i mówi, że szkoda, iż nie polała się krew.

Czy Bronisław Geremek był „współtwórcą demokratycznej Polski", czy tylko „aktywnym uczestnikiem przemian demokratycznych w Polsce", jak twierdzi dyrektor Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN Adam Siwek?

Zdecydowanie współtwórcą. Pan Siwek miał oczywistą intencję deprecjonowania Geremka. Miałem inne poglądy niż Geremek, ale jako historyk nie mogę zaprzeczać faktom. Rola Geremka, jako doradcy strajkujących w 1980 r. i potem Solidarności, jest trudna do zakwestionowania. Także jego znaczenie przy Okrągłym Stole i tworzeniu podstaw polityki zagranicznej III RP. Wreszcie mamy jego udział w wejściu Polski do NATO i w pierwszej fazie wchodzenia do Unii Europejskiej. Wszystko

MICHAŁ DYJUK / FORUM

Prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, 1 marca 2018 r.

to razem czyni go współtwórcą demokratycznej Polski.

Można się zastanawiać, na którym byłby miejscu, gdybyśmy chcieli stworzyć ranking „ojców III RP", tak jak dziś dyskutuje się, kto był współtwórcą II RP. Niewątpliwie byli nimi Piłsudski, Dmowski, Witos. A kto potem? Może Daszyński albo Korfanty? A może abp Teodorowicz? Ale to jest właśnie ta liga ludzi, bo mówimy o pierwszej dziesiątce.

Problemy są też z upamiętnieniem Tadeusza Mazowieckiego. W Lublinie radna PiS mówiła o Mazowieckim: „stalinowiec, agent NKWD, kolaborował z okupacyjną, bolszewicką władzą". Nie przeprosiła i synowie premiera pozwali ją do sądu. Czy nasza debata o historii naprawdę tak musi wyglądać?

Jestem przeciw temu, żeby sądy rozstrzygały spory historyczne. Oczywiście powinny rozstrzygać, czy konkretne sformułowanie jest obraźliwe, czy nie, ale np. kolejne odsłony procesu Wałęsy i Wyszkowskiego już ocierały się o absurd. Nie da się zadekretować ocen historycznych.

Roli Tadeusza Mazowieckiego też nie da się podważyć, a jego rząd był gabinetem przełomu. Miał jednak swoje ograniczenia i w pewnych sferach zakonserwował system, co się potem zemściło. ↦

Co się zemściło?

Gdy przyjrzymy się zmianom w sądownictwie z przełomu 1989 i 1990 r., trudno nie mieć wrażenia pewnej przypadkowości i chaosu. W efekcie powstał układ personalny, który dziś PiS pokazuje jako patologiczny.

PiS zachowuje się, jakbyśmy byli w roku 1990, i chce przeprowadzić rewolucję w obszarach, gdzie się nie dokonała. Zgadzałem się z Jarosławem Kaczyńskim, gdy na początku lat 90. przekonywał, że trzeba dokończyć zmiany w sądownictwie. Tego nie zrobiono. Teraz, trzy dekady później, przychodzi PiS i mówi, że zdekomunizuje sądownictwo, ale tam dokonała się wymiana biologiczna i poza wyjątkami nie ma już kogo dekomunizować.

Problemem nie jest to, iż znajdzie się pojedynczy sędzia, który orzekał w stanie wojennym, jak choćby nieszczęsny sędzia Józef Iwulski, którego jako zastępcę wskazała niefortunnie prezes Małgorzata Gersdorf. Istotne jest, że mamy niesprawne sądownictwo, z czym sobie kolejne rządy nie poradziły. PiS zdołał jednak zamienić problem organizacyjny w problem personalno-historyczny, ale ich reforma w dotychczasowym kształcie niczego nie usprawni.

Co ojcowie III RP mogli zrobić, by dziś PiS ich tak nie potępiał? A może nie ma znaczenia, co by zrobili, bo PiS musi potępiać III RP zgodnie z logiką walki politycznej?

O ile działalność Kaczyńskiego na początku lat 90. była związana z krytyczną diagnozą początków III RP, to w przypadku PiS mamy do czynienia ze stosowaniem „broni historycznej". To próba zanegowania przeszłości, aby tworzyć nowy kapitał. Gdyby PiS zaczął niuansować, jego przekaz byłby nieczytelny. Ludzie chcą jasnej odpowiedzi – „to ten Mazowiecki był w końcu dobry czy zły?". Pokazywanie złożoności problemu i wyjaśnianie, że Mazowiecki podejmował dobre i złe decyzje, ale bilans jest raczej pozytywny, w przekazie politycznym byłoby nieskuteczne.

Tak samo dyskutuje się o „żołnierzach wyklętych". Przekaz PiS brzmi, że to byli bohaterowie, i nie wspomina się o tym, że niektórzy partyzanci dokonali zbrodni, bo to psułoby schemat.

Nie tylko PiS tak robi. Część opozycji nie chce przyjąć do wiadomości, że Lech Wałęsa ma w biografii wydarzenia, które mu chluby nie przynoszą. Jego współpraca z SB na początku lat 70. nie jest sprawą oszczerstwa, lecz udokumentowanej prawdy historycznej. To zarazem nie oznacza, że należy usunąć Wałęsę z historii.

> Efektem awantury o ostatnie lata, którą urządzają nam politycy i niektórzy historycy, będzie stopniowa **ucieczka Polaków od historii najnowszej.**

Prezydent Duda w rocznicowych wystąpieniach raz go wymienia, a raz nie.

Jeśli się uważa pierwszą Solidarność za coś pozytywnego – a PiS tak uważa – nie da się opowiedzieć jej historii bez Wałęsy. Trwają karkołomne próby, w czym przoduje prof. Sławomir Cenckiewicz, by przekonywać, że Solidarność była wprawdzie dobra, ale na jej czele stali zdrajcy. Udało mu się, i tego nie kwestionuję, udowodnić, że Wałęsa był współpracownikiem SB na początku lat 70. Tyle że Solidarność narodziła się w 1980 r. i próba udowodnienia, że Wałęsa był wówczas też sterowany przez bezpiekę, natrafiła na problem braku dowodów. Mamy natomiast liczne dowody, że było odwrotnie. Na poziomie poważnego mówienia o historii narracja Cenckiewicza tu się załamuje i zamienia w serię rozmaitych aluzji i sugestii. Z tego się też biorą problemy pana prezydenta, który historykiem nie jest i pojmuje przeszłość w sposób uproszczony. Raz zatem próbuje jakoś Wałęsę ulokować w dziejach Solidarności, a raz go usuwa.

Zauważmy jednak: nie ma sztywnej doktryny PiS w kwestii Wałęsy, jest natomiast powszechna niechęć, podsycana zresztą jego różnymi skandalicznymi wypowiedziami.

Podobnie jest z Okrągłym Stołem.

Bracia Kaczyńscy zawsze mówili, że negocjacje były dobre, ale źle, że nie nastąpiło odejście od umowy, gdy komuniści już byli słabi. A prezes IPN Jarosław Szarek właśnie porównał Okrągły Stół do Jałty. Jeśli pójdziemy tym tropem, musimy uznać, że ludzie, którzy zasiedli przy nim – w tym bracia Kaczyńscy – byli agentami albo „pożytecznymi idiotami". Za chwilę prezes Szarek będzie miał problem z bronieniem Solidarności, której dziedzictwo, jak deklaruje, uważa za ważne. Ktoś mu powie np. tak: „na czele każdego komitetu strajkowego w Sierpniu stali agenci SB – w Gdańsku, Szczecinie i na Śląsku – więc cały ruch był wydmuszką".

Czym jest dziś IPN? Narzędziem jednej partii?

IPN nie robi nic, by takiemu wizerunkowi zapobiegać. Nie potrafię wskazać ani jednej wypowiedzi prezesa Szarka, która by się w jakikolwiek sposób różniła od linii historycznej PiS. Najgorzej to wyglądało podczas sporu o nowelizację ustawy o IPN. Prezes Instytutu powinien zdawać sobie sprawę, jakie konsekwencje ona wywoła. Rozumiem, że nie mógł jej zapobiec, bo jego poprzednicy także nie mogli zapobiegać różnym decyzjom polityków, ale oni przynajmniej, jak się szykowały złe zmiany, protestowali. Prezes Szarek milczał. Dopiero gdy w obozie rządowym padły głosy, że to poszło za daleko, potwierdził, że rzeczywiście nowelizacja nie jest najlepsza. To pokazało, że nie wykazuje się on tym, o czym mówi jeden z artykułów ustawy o IPN: prezes powinien być niezależny od innych organów władzy.

Protestował Pan przeciw określeniu „historyk IPN" pisząc: „cel tego zabiegu był oczywisty – chodziło o stworzenie przekonania, że obok normalnych, profesjonalnych historyków z tej czy innej uczelni istnieją też »historycy IPN«". Przybywa nam „historyków IPN" czy jednak „historyków z IPN"?

Tych drugich. Oczywiście są także i w IPN ludzie mylący rolę naukowca z rolą propagandzisty, ale to kwestia ogólnej atmosfery, która udziela się wielu historykom, także tym o liberalnych poglądach. Niektórzy porównywali rządy PiS do Polski z lat 1945-48, co uważam za oderwane od twardych faktów.

W IPN pojawiają się publikacje, które budzą moje zastrzeżenia, ale tak zawsze było, bo była to instytucja pluralistyczna wewnętrznie. I dalej jest, lecz część badaczy, która nie zgadza się z linią prezesa Szarka, w trosce o swoje zatrudnienie milczy.

W IPN są historycy, którzy piszą świetne prace na ciekawe tematy. Nie podam nazwisk, żeby im nie zaszkodzić, ale kto ma

wiedzę historyczną, bez trudu odnajdzie ich prace.

Był Pan krytykiem podejścia do historii pierwszych rządów III RP, twierdząc, że „w katastrofalny sposób zaniedbano w III RP edukację najmłodszych Polaków w zakresie historii najnowszej, układając szkolne programy". Czego brakło?

Solidnego kursu historii po roku 1945. Nauczyciele mieli pewne opory, których nie przełamano. Niektórzy unikali tematu, bo nie czuli się kompetentni, gdyż w szkołach wyższych nie wszędzie ten okres traktowano z należytą uwagą. A potrzeba było szkoleń oraz takiego ustawienia programu, żeby ten okres było im trudno ominąć.

Brakło też przemyślanej polityki historycznej. Zaczęło się to zmieniać dopiero za sprawą IPN, ale został on od razu wciągnięty w gigantyczny spór i stał się stroną. Mnie uznano za zwolennika PiS, bo broniłem IPN, którego PiS też bronił. „Gazeta Wyborcza" zwalczała IPN, zanim powstał. Przekaz był taki, że archiwa zawierają nieprawdę, bo SB kłamała i wylanie się tego „szamba" zatruje Polskę na dziesięciolecia. Gdy archiwa zostaną otwarte, życie polityczne się załamie, dojdzie do fali samobójstw. Nic takiego nie nastąpiło. Dostęp jest szeroki, skala nadużyć nieduża. Powstały świetne książki oparte na tych archiwach, które udowodniły swoje znaczenie historyczne. Krytycy IPN nigdy się do tego nie odnieśli słowem...

Teraz już nie muszą, bo IPN wpisuje się w narrację PiS, więc można go w całości atakować jako część obozu rządzącego.

Ale czy po dwóch dekadach istnienia IPN możemy powiedzieć, że dzięki teczkom historię przełomu trzeba pisać na nowo? Może dominująca od początku narracja była prawdziwa?

Musielibyśmy zdefiniować, co rozumiemy pod tym pojęciem, ale ogólnie rzecz biorąc „dominująca" narracja zawsze była dla mnie prawdziwa. IPN ją wzbogacił, wypełnił liczne białe plamy, ale niczego fundamentalnie nie zmienił. Potwierdził, że PRL była państwem policyjnym, że różne środowiska były penetrowane, ale nie dał dowodów na to, że cała opozycja była sterowana.

Pewnych rzeczy się nie dowiedzieliśmy, bo spora część archiwów z lat 80. została zniszczona, jednak archiwa to system naczyń połączonych i nie dało się zatrzeć wszystkich tropów nie niszcząc całości. Gdyby Solidarność była sterowana, to mielibyśmy na to dowody. A było odwrotnie: przy znacznej penetracji opozycja – dzięki pluralizmowi i decentralizacji – nie dała się zinfiltrować całkowicie.

PiS nazywa wrogów komunistami, ale opozycja też mówi, że zamiast IV RP powstała PRL-bis, a Kaczyński to wypisz wymaluj Gomułka.

Ciekawsze są porównania do sanacji. Są podobieństwa na poziomie etatystycznej polityki gospodarczej i kultu szefa. Tam był komendant, tu jest prezes. Zwłaszcza otoczenie zachowuje się podobnie. Są też różnice – jesteśmy w lepszej sytuacji geopolitycznej i nie musimy wydawać na obronę tyle, ile przed wojną. I dobrze, bo nasz system socjalny zupełnie by się już załamał. Wiem, że analogie z Piłsudskim mogą oburzać wielu piłsudczyków, którzy powiedzą, że to nie ten format, ale wszelkie porównania historyczne są ułomne.

W porównaniach do PRL celują politycy starszego pokolenia. Gdy odejdzie ze sceny pokolenie, które było aktywne w PRL, one stracą nośność.

Pokolenie „żołnierzy wyklętych" dawno odeszło, a temat okazał się nośny.

Zgoda, jestem nawet zdziwiony, że w stulecie niepodległości obóz rządzący tak słabo odwołuje się do tradycji Legionów i woli dalej uprawiać kult „żołnierzy wyklętych". Ale temat już traci temperaturę. Pewną rolę gra brak nowych sukcesów działań ekshumacyjnych prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Wcześniej ekshumacje, identyfikacje i uroczystości wręczania potomkom not identyfikacyjnych były ważnym elementem budowania tego kultu. Prof. Szwagrzyk był krytyczny wobec poprzedniego kierownictwa Instytutu, twierdząc, że mu się wiąże ręce. Od 2016 r. jako wiceprezes ma nieograniczone możliwości, a jednak liczba identyfikacji znaczących postaci gwałtownie spadła.

Kto dziś wygrywa bitwę o pamięć Polaków?

Nikt. Efektem awantury o dzieje najnowsze, którą nam urządzają politycy i niestety także niektórzy historycy, będzie stopniowa ucieczka Polaków od historii najnowszej. Niedawno dwie instytucje sondażowe przeprowadziły niezależne badania, pytając o najlepszych premierów od Mazowieckiego po Morawieckiego. W obu badaniach wyraźnie wygrali Tusk i Mazowiecki – tyle że obaj dostali poparcie na poziomie kilkunastu procent, a prawie 40 proc. wybrało opcję „nie mam zdania". Myślę, że ten trend będzie się nasilał.

Jeśli jednak szukać formalnego zwycięzcy „bitwy o pamięć", to będzie nim triumfator czwórboju wyborczego, który nas czeka – od wyborów samorządowych po prezydenckie w 2020 r. Historia będzie w nim odgrywać rolę. Oglądając „Wiadomości" TVP dowiedziałem się właśnie, że matka Rafała Trzaskowskiego była zarejestrowana jako źródło informacji SB. To skandal. Czy to mama Trzaskowskiego kandyduje?

Dziadek z Wehrmachtu...

Dokładnie. Z drugiej strony Wałęsa w co trzecim swoim poście dotyczącym Cenckiewicza – co zresztą zapewniło mu już międzynarodowy rozgłos – wypomina, że jest ubeckim wnukiem.

Wybory pokażą, jakie podejście do historii i jaki styl uprawiania polityki wygra. Jesteśmy w momencie kluczowym: przed przewróceniem stolika, który Polacy postawili w latach 1989-91. Niektórzy uważają, że ten stolik już przewrócono, bo PiS złamał Konstytucję, jednak uważam, że on wciąż stoi, choć się chybocze. Ten czwórbój zdecyduje, czy stolik przetrwa. Jeśli wyniki wyborów zostaną policzone rzetelnie i strony sporu nie będą ich kwestionować, to przebrniemy przez ten okres jako demokracja – liberalna lub nieliberalna – i przetrwamy jako mocno podzielona, ale wciąż wspólnota. Jeśli jednak któraś strona uzna, że wybory sfałszowano i nie ma już prawomocnej władzy w Polsce, to znajdziemy się w największych od czasu upadku PRL tarapatach.

©℗ Rozmawiał ANDRZEJ BRZEZIECKI

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AG

PROF. ANTONI DUDEK
politolog i publicysta, w latach 2006–2016 związany z IPN jako doradca prezesa i członek rady Instytutu, autor kilkunastu książek poświęconych historii politycznej II poł. XX w. (ostatnio „Instytut. Osobista historia IPN", „Historia polityczna Polski 1989–2015"). Profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

ANDRZEJ ZGIET / POLSKA PRESS / GAZETA WSPÓŁCZESNA / KURIER PORANNY / EAST NEWS

Proces Czeczeńców oskarżonych o pomoc terrorystom przed sądem w Białymstoku, 2016 r.

Cena bezpieczeństwa

RAFAŁ ZYCHAL

Czy Polska wydała czeczeńskiego uciekiniera na tortury, a nawet śmierć? Deportacja Azamata Bajdujewa rozpaliła na nowo debatę: ile jesteśmy w stanie oddać za wizję bezpiecznego kraju.

34-letni Czeczeniec został wydalony z Polski pod koniec sierpnia. Polską granicę po raz pierwszy przekroczył ponad dekadę temu. W 2007 r. został objęty ochroną ze względu na sytuację panującą w jego ojczyźnie. Sam twierdził, że w Rosji był prześladowany i torturowany. Jego rodzina przed laty walczyła o niepodległość Czeczenii. Wkrótce nad Wisłą dołączyli do niego także najbliżsi. Potem jednak zdecydował się wyjechać do Belgii.

Tam Badujewa zatrzymano w zeszłym roku w związku z podejrzeniami, że może brać udział w przygotowywaniu zamachów terrorystycznych. Informacje na ten temat Belgowie mieli dostać od służb francuskich. Ale nie został on tam skazany, nie usłyszał nawet zarzutów. Został za to odesłany do Polski. Tu wydarzenia potoczyły się już błyskawicznie. Najpierw stracił ochronę ze strony naszego państwa, by następnie zostać z niego wyrzuconym.

To wyrok śmierci

„W Polsce wydano wyrok śmierci w trybie administracyjnym" – tak zaczął swój wpis Marcin Ludwik Rey, twórca facebookowej strony „Rosyjska V kolumna w Polsce", który jako jeden z pierwszych opisał historię wydalenia Azamata Bajdujewa z Polski. „Ocena samego Azamata Bajdujewa nie powinna rzutować w jakikolwiek sposób na ocenę faktu, że go odesłano w łapska oprawców Kadyrowa. Wydanie kogokolwiek Kadyrowowi jest tożsame z wyrokiem śmierci, i to śmierci w męczarniach (...) Nie powinno być żadnych ekstradycji do Rosji, a zwłaszcza do Czeczenii. Jeśli, o czym też nie przesądzam, uzasadnione było jego przetrzymywanie w areszcie, to w porządku. Ale kim by nie był Azamat Bajdujew, urzędnik, który go wysłał do Rosji / Czeczenii, ma potencjalnie jego krew na rękach". Rey również dodaje, że Kadyrow i jego służby swoich przeciwników często nie tylko nazywają terrorystami, ale nierzadko starają się ich wrabiać w takie zarzuty przy pomocy prowokacji.

Kolejne wątpliwości pojawiły się wraz z dalszymi szczegółami. W drodze na lotnisko Bajdujew próbował podciąć sobie żyły. To nie zatrzymało całej procedury i po krótkiej wizycie w szpitalu machina ruszyła dalej. Ostatecznie trafił na pokład samolotu lecącego do Moskwy. Tam czekała go rozmowa z przedstawicielami służb i droga do rodzinnej miejscowości.

W nocy z 1 na 2 września około stu uzbrojonych ludzi, najprawdopodobniej

przedstawicieli rosyjskich struktur siłowych, najpierw okrążyło dom jego krewnych, a potem zabrało i wywiozło Bajdujewa w nieznanym kierunku. Bliscy stracili z nim kontakt. Tak przebieg wydarzeń w wiosce Szałachy opisał Ahmed Gisajew z organizacji Human Rights Analysis Center. Zasugerował też, że służby torturami będą chciały wymusić zeznania od deportowanego. I w tym momencie ta historia się praktycznie urywa. Próżno szukać kolejnych faktów – poza oficjalnymi komentarzami tamtejszych służb.

Przedstawiciele czeczeńskiego MSW zdementowali tę wersję wydarzeń, choć jednocześnie potwierdzili, że Bajdujew został zatrzymany. Trwa też wobec niego postępowanie, służby podejrzewają go bowiem o członkostwo w zbrojnym ugrupowaniu. Mężczyzna rzekomo miał się już przyznać do wyjazdu do Syrii, gdzie zasilił szeregi rebeliantów, a nawet odniósł rany. Grozi mu kara do 15 lat więzienia. Tyle wiemy dziś.

O tym, że niebezpieczeństwo wiszące nad Bajdujewem jest realne, świadczyć może także apel 15 członków Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dosłownie dzień przed jego wydaleniem z Polski zażądali oni śledztwa w sprawie naruszeń praw człowieka w Czeczenii. Zgodni są również eksperci: jeśli Bajdujew podpadł reżimowi Kadyrowa, to jego sytuacja może być naprawdę bardzo poważna.

Utajnione prawa człowieka

Głos w sprawie Czeczeńca szybko zabrały organizacje stojące na straży praw człowieka. Amnesty International wezwało rosyjskie władze do natychmiastowego ujawnienia miejsca jego pobytu. „Trudno byłoby o lepszy przykład, który obrazowałby, jak niebezpieczne jest wydalanie czeczeńskich uchodźców do Rosji" – skomentował Denis Krywoszejew z AI. I jak dodał, Polska odsyłając Bajdujewa do kraju, w którym jego życie i bezpieczeństwo są zagrożone, naruszyła międzynarodowe zobowiązania.

Eksperci Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka przypominają podobną sprawę sprzed kilku miesięcy: wtedy chodziło o odesłanie z Polski obywatela Algierii, małżonka polskiej obywatelki. Także on miał stanowić zagrożenie terrorystyczne. HFPC postanowiła wtedy walczyć na drodze sądowej o jawność materiałów, na podstawie których takie decyzje zapadają. Ich zdaniem narusza to prawo takich osób do obrony. Sąd jednak nie popartego stanowiska. Przedstawiciele fundacji liczą teraz na skargę kasacyjną. A chyba nawet bardziej – na orzeczenie Trybunału w Strasburgu, który już zajmuje się podobną sprawą przeciwko Polsce.

Decyzje MSWiA rodzą wiele pytań. Zdawkowa reakcja polskich władz nie uspokaja. Marcin Rey mówi wprost: Joachim Brudziński ponosi co najmniej polityczną odpowiedzialność za tę decyzję. Z kolei szef Human Rights Analysis Center Ahmed Gisajew apeluje, by minister wyjaśnił, jakich gwarancji bezpieczeństwa udzieliła Rosja w sprawie deportowanego Bajdujewa. Tajemnicą wciąż są objęte praktycznie wszystkie materiały dotyczące sprawy czeczeńskiego uchodźcy. Powód? Kwestie bezpieczeństwa. ↦

REKLAMA

Mistrz anegdoty,
legenda polskiego teatru
po raz pierwszy
wyznaje.

PREMIERA: 19 WRZEŚNIA

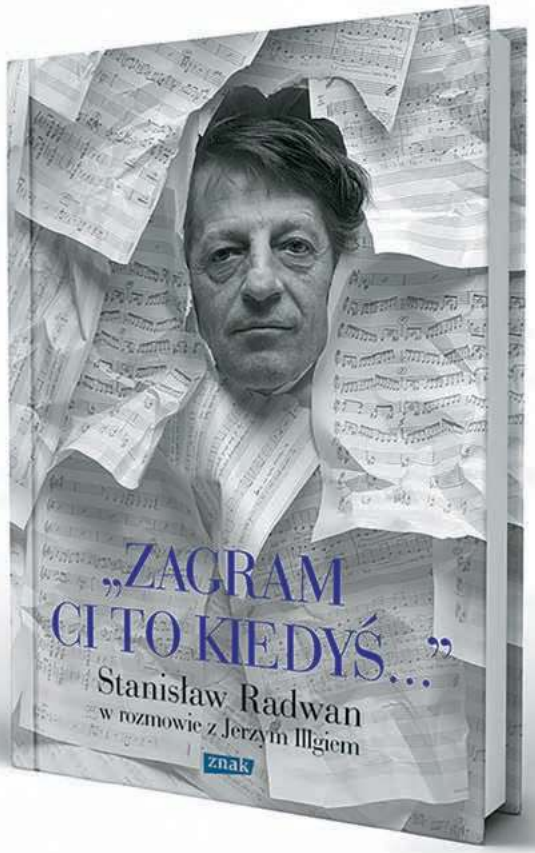

Pozbyć się zagrożenia

↦ A teraz przyjmijmy punkt widzenia państwa i jego służb. Resort spraw wewnętrznych pytany o kulisy tej decyzji odpowiada, że do MSWiA wpłynął wniosek uprawnionego organu o wydanie decyzji o zobowiązaniu do powrotu do kraju pochodzenia obywatela Federacji Rosyjskiej. Minister się do niego przychylił, gdyż uznał, że Bajdujew stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego w naszym kraju.

Podstawa prawna? Artykuł 329a ustawy o cudzoziemcach. Przepis ten został wprowadzony ustawą o działaniach antyterrorystycznych z 2016 r. Co to dokładnie oznacza? Nasze służby podejrzewają, że Czeczeniec mógł prowadzić działalność terrorystyczną lub szpiegowską. Wniosek na biurko Joachima Brudzińskiego trafił z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Sama decyzja podlega natychmiastowemu i przymusowemu wykonaniu. A jak zwykle w podobnych przypadkach działają instytucje państwa?

– Jestem przekonany, że służby miały formalne podstawy, by taką decyzję podjąć. Najprawdopodobniej były to materiały o charakterze operacyjnym. One przyszły zapewne za nim, choćby z Belgii. Swoją część dorzuciły pewnie i nasze służby. Widocznie całe to dossier było na tyle wystarczające, że jednak zapadła decyzja o wydaleniu Bajdujewa z Polski – twierdzi dyrektor Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas Krzysztof Liedel.

> Podejrzenia o związki z terroryzmem zwykle bazują na informacjach operacyjnych, których nie da się przełożyć na dowody procesowe. **Dla służb najprościej jest wtedy podejrzanego deportować.**

Czy w obliczu możliwego zagrożenia najpierw belgijskie, a za nimi polskie służby postanowiły odsunąć je z dala od swojego terytorium?

– Oba kraje być może chciały pozbyć się potencjalnego zagrożenia – dodaje Liedel.

Jak tłumaczy dalej, podejrzenia o związki z organizacjami terrorystycznymi zwykle opierają się na informacjach zdobytych drogą operacyjną. Ze względu na sposób ich pozyskania nie da się ich przełożyć na dowody procesowe. A to oznacza jedno: ciężko w ten sposób również oskarżyć i skazać.

– Wtedy najprostszym sposobem na odsunięcie zagrożenia jest właśnie deportacja – podkreśla Liedel.

Sprawdzanie szczelności

Czeczeńcy cieszą się w Polsce opinią mniejszości, która potrafiła się zasymilować, choć trzeba pamiętać, że najlepiej zadomowiali się nad Wisłą przedstawiciele pierwszych fal emigracji, uciekający z Czeczenii jeszcze w trakcie trwającej tam wojny.

Eksperci, którzy na co dzień zajmują się tą problematyką, podkreślają, że dziś dla wielu Czeczeńców jesteśmy przystankiem w dalszej drodze do Europy Zachodniej. Także ze względu na ich mobilność trudno dokładnie określić, ilu Czeczeńców przebywa obecnie w Polsce, zapewne jednak nie więcej niż kilkanaście tysięcy. Kiedyś uciekali z kraju pogrążonego w wojnie, dziś głównie przed terrorem, jaki zaprowadził tam Ramzan Kadyrow.

Obywatele Federacji Rosyjskiej od lat utrzymują się na szczycie listy osób składających wnioski o udzielenie ochrony międzynarodowej w Polsce. Wśród nich najliczniejszą grupę zwykle stanowią osoby narodowości czeczeńskiej. Eksperci, którzy śledzą zachowania tej społeczności, zwracają także uwagę na to, że spora część takich wniosków kończy się umorzeniem. Dlaczego? Także dlatego, że część z tych osób, jeszcze w trakcie postępowania, które zwykle zajmuje kilka miesięcy, rusza dalej na zachód.

Obecnie Polska nie przeżywa wielkiego oblężenia wschodniej granicy przez uchodźców z Czeczenii. Ostatnią dość liczną falę dało się zaobserwować tuż po kryzysie migracyjnym w Europie. Została zatrzymana, gdyż polskie władze po prostu postanowiły tych osób nie wpuszczać. Decyzja wywołała wtedy ogromny sprzeciw, m.in. organizacji zajmujących się obroną praw człowieka.

– Moim zdaniem ta fala nie była przypadkowa. Podejrzewam, że zapadła decyzja polityczna, żeby ci uchodźcy pojechali w naszą stronę i sprawdzili, na ile granica jest szczelna – mówi jeden z ekspertów, który chce zachować anonimowość.

Listy potencjalnych problemów nie wyczerpuje jednak sama liczebność czeczeńskiej mniejszości. Pozostałe to ekstremizm islamski, pospolita przestępczość oraz infiltracja tej mniejszości przez rosyjskie służby. Niedawno głośno było o sprawie Czeczeńców, którzy stanęli przed sądem oskarżeni o zbieranie środków, które miały trafić do tzw. Państwa Islamskiego. Ostatecznie jednak sąd nie podzielił wniosku prokuratury, wskazał też na błędy w akcie oskarżenia. Ale

POŻEGNANIE

5 sierpnia 2018 r. w wieku 82 lat odszedł do Pana

Ś.† P.

Andrzej Zachara

dr inż. mechanik, absolwent Politechniki Łódzkiej,
długoletni pracownik IPPT PAN

Kochany i kochający Mąż, Ojciec, Dziadek, Pradziadek, Brat i Wujek,
z pokorną miłością służący Bogu i ludziom,
wytrwały czytelnik „Tygodnika Powszechnego".
Pochowany 10 sierpnia w Warszawie na Cmentarzu Komunalnym Północnym.

Z nadzieją zmartwychwstania w Jezusie Chrystusie,
silniejszą niż ból rozstania

Rodzina

trzech z nich zostało w czerwcu tego roku skazanych za wspieranie bojowników Emiratu Kaukaskiego. Powołał go jeszcze w 2007 r. Doku Umarow, jako kontynuację Czeczeńskiej Republiki Iczkerii. W ten sposób chciał połączyć rosyjskie republiki północnego Kaukazu w jeden fundamentalistyczny islamski kraj. Zarówno Rosja, jak i Stany Zjednoczone uznały to *quasi*-państwo za organizację terrorystyczną. Jego działań nie popiera też czeczeńska emigracja z Ahmedem Zakajewem na czele.

– Fakt, że Czeczeńcy są w znacznej części przeciwnikami Rosji, nie czyni z nich od razu przyjaciółmi Polski. Oni są na pewno głęboko infiltrowani przez Rosjan – dodaje kolejny z ekspertów, znów prosząc o anonimowość. I przypomina, że zachodnie służby badały już wątki czeczeńskie w zamachach przeprowadzonych na tamtym terytorium. W tym kontekście przywołują choćby zamach podczas bostońskiego maratonu w 2013 r.

Państwo na kruchym lodzie

Jak wyważyć te sprzeczne racje? Nie jest to wcale nowy dylemat. Dyskusja na temat tego, jak wiele wolności jesteśmy w stanie poświęcić za cenę bezpieczeństwa, wraca po każdym kolejnym akcie terroru.

Wizja bezpiecznego kraju nie jest wartością absolutną, na ołtarzu której można złożyć wszystkie inne. Taki scenariusz byłby nie tylko wygodny dla władzy, ale i groźny, bo daje jej poczucie bezkarności. A i tak całkowitego bezpieczeństwa nigdy nie osiągniemy. Służby muszą czuć, że nie działają w próżni i że nie mogą wszystkiego. Nawet jeśli nie zgodzą się na pełną jawność, to powinny pamiętać, że ona tylko wzmacnia ich argumenty. Jasny przekaz jest także w ich interesie.

Wątpliwości, jakie narosły wokół sprawy Azamata Bajdujewa, pokazują, że w tak delikatnych sytuacjach państwo naprawdę stąpa po kruchym lodzie. Urzędnicy muszą więc pamiętać, że arbitralność czy odpowiedzialność zbiorowa nie rozwiąże żadnego z problemów, z którymi w ten sposób będą walczyć. © RAFAŁ ZYCHAL

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

Mecenas chciałby szybciej

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Kandydat do Sądu Najwyższego obawia się, że publikacje „Tygodnika" zaszkodzą mu w karierze.

Dzień dobry wszystkim, niech słoneczko zaświeci Polsce i każdemu z nas" – wita się na Twitterze mecenas Adam Tomczyński, mający przed sobą słoneczną przyszłość sędziego Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Tylko podpis prezydenta dzieli go od stanowiska, na którym za 28 tys. zł brutto miesięcznie będzie mógł realizować marzenia o „oczyszczeniu wymiaru sprawiedliwości". Rozmowa kwalifikacyjna w Krajowej Radzie Sądownictwa poszła mu znakomicie. Na zadane na Twitterze pytanie „jak było?" odpowiedział: „DOBRZE tzn moglo byc tylko gorzej, lepiej chyba nie. O sędziach rozmawialismy i odp dysc, więc znalem temat :):):) Pytan podchwytliwych brak, poseł Piotrowicz o nic sie nie zapytal buuuuuuuuu" (pisownia oryginalna). Tomczyński wygrał zaciętą rywalizację: z 92 zgłoszeń KRS wybrała tylko 12 osób. Miejsc do obsadzenia w Izbie Dyscyplinarnej jest 16, jego nominacja wydaje się więc formalnością.

Dobry humor radcy zakłóca jedynie „Tygodnik Powszechny", a konkretnie teksty „Mecenas po przejściach" (nr 14/2017) i „»Wieloletni sędzia« też chce do SN" (opublikowany na portalu „Tygodnika" 3 sierpnia 2018 r., obydwa dostępne na powszech.net/tomczynski). Opisywałam w nich przeszłość Tomczyńskiego i szybką karierę eksperta prorządowych i rządowych mediów. 30 sierpnia Adam Tomczyński zamieścił na Twitterze „Oświadczenie w związku z powtarzanymi wobec mnie zarzutami, opartymi głównie na tekście w Tygodniku Powszechnym". Żeby nie być oskarżoną o manipulacje, przytoczę je w całości, odnosząc się do kolejnych fragmentów.

■ 1) Postępowania upadłościowe wymienione w tekście lub do których tekst nawiązuje (Kasprzak, Cliff, Mysiadło, Leda) NIE [wszystkie podkreślenia pochodzą od autora oświadczenia – red.] były prowadzone przeze mnie. Po ogłoszeniu upadłości postępowanie nadzoruje JEDEN sędzia i on podejmuje wszystkie kluczowe decyzje w sprawie, takie jak interpretacja przepisów, tryb sprzedaży, wybór oferenta, akceptacja ceny sprzedaży. W „moich" postępowaniach nigdy nie zginęła złotówka, a wszelkie postępowania wyjaśniające zawsze potwierdzały bezzasadność zarzutów upadłych.

Nigdy nie twierdziłam, że Tomczyński prowadził wymienione postępowania. Pisałam, że razem ze skompromitowanym sędzią Dariuszem Czajką orzekał kontrowersyjne upadłości spółki CLiF i gospodarstwa Eko-Mysiadło, i że w żadnej z tych spraw nie wyraził zdania odrębnego (informacja z biura prasowego warszawskiego Sądu Rejonowego). Upadłość wartego 130 mln zł CLiF-u została uchylona w 2003 r. przez Sąd Najwyższy.

■ Oczywiście nigdy też nie wszczęto wobec mnie jakiegokolwiek postępowania dyscyplinarnego i nie miałem żadnego problemu z wpisem na listę radców prawnych. Sprawy upadłościowe dotyczą czasem kilkusetmilionowych majątków i dla ich ochrony uciekano się do różnych metod włącznie ze straszeniem syndyka i kradzieżą jego samochodu. Dodatkowe komplikacje związane są z niejasnym prawem, często nie chroniącym wystarczająco pewnych grup wierzycieli. Ochrona umów deweloperskich wprowadzona do prawa była skutkiem jednej ze spraw upadłościowych, a po raz pierwszy taka ochrona została zastosowana w nadzorowanym przeze mnie postępowaniu kilka lat wcześniej, gdzie dzięki dobrym decyzjom o dokończeniu budowy w upadłości (wtedy to ewenement) udało się ograniczyć straty lokatorów.

Skoro Adam Tomczyński był takim dobrym sędzią, dlaczego zrezygnował z wykonywania tego zawodu? Warto przypomnieć, że zrobił to w kilka dni po rezygnacji Dariusza Czajki, który w ten sposób wyprzedził wyrok dyscyplinarny Sądu Najwyższego. ↦

↦ ■ Akta spraw wymienionych powyżej są w archiwach sądowych i dziennikarze mogli do nich dotrzeć weryfikując prawdziwość tekstu. Gdyby tylko chcieli...
Nota bene sądzę, że do tych dokumentów dotarła Krajowa Rada Sądownictwa. Cały czas są w zasięgu ręki.

Wiara w dociekliwość i rzetelność Krajowej Rady Sądownictwa w obecnym, „zreformowanym" składzie jest co najmniej naiwna. Ta sama KRS do Izby Dyscyplinarnej SN rekomendowała m.in. prokuratora stosującego tortury, prokuratora bez wymaganego ustawą 10-letniego stażu oraz radczynię prawną z wyrokiem dyscyplinarnym (informacje „Rzeczpospolitej" i „Gazety Wyborczej").

■ 2) Orzeczenie w sprawie Lechii z 2010 dotyczyło CAŁOŚCI nieprawidłowości na stadionie, w tym złego zachowania kibiców, a nie patriotycznych transparentów. Treść uzasadnienia tej decyzji jest do wglądu w Komisji Ligi. Komisja Ligi działała w składzie kolegialnym (6-9 członków). W żaden sposób mój głos nie mógł przeważyć o treści tej decyzji.

Przypomnijmy: pisałam, że Tomczyński przewodniczył Komisji Ligi Ekstraklasy, gdy ta nałożyła na Lechię Gdańsk karę za transparent „17.09.1939 – czwarty rozbiór Polski", i że decyzję krytykował sam Jarosław Kaczyński.

Na moją prośbę o przytoczenie decyzji „manager ds. komunikacji" Ekstraklasy odpowiedział następująco: „treść komunikatu nie wniosłaby nic do tematu, gdyż była lakoniczna i nie było tam informacji, za co konkretnie ukarana zostaje Lechia". Nie podał również, jak głosowali poszczególni członkowie.

Dotarłam za to do komunikatów, zamieszczonych na archiwalnej stronie Komisji Ligi. Ten z 17 września 2009 r. brzmiał: „Na klub Lechia Gdańsk nałożono karę finansową w wysokości pięciu tysięcy złotych w związku z incydentami podczas meczu 6. Kolejki Ekstraklasy Lechia Gdańsk–Wisła Kraków: wywieszenie transparentów bez zatwierdzenia i niezwiązanych z meczem oraz wniesienie i odpalenie racy świetlnej". Z kolei 24 września 2009 Komisja wydała oświadczenie, w którym przytoczyła „wyciąg z orzeczenia Komisji Ligi z dnia 17 września 2009". Jest on nie tylko wyjątkowo mętny, ale też bardzo obszerny, ograniczę się zatem do fragmentu: „Podczas meczu kibice gości wnieśli na stadion i wywiesili transparenty o treści »Better Dead Than Red« z symbolem sierpa i młota i podpisem: »17. 09. 1939 – czwarty rozbiór Polski«, »Ultras Lechia – precz z komuną« oraz »Polski Bastion Prawicy«. (...) W ocenie Komisji Ligi wszystkie transparenty są sprzeczne z obowiązującymi przepisami w tym sensie, że nie uzyskały akceptacji Wydziału Bezpieczeństwa oraz prezentują hasła nie związane bezpośrednio z meczem piłkarskim. Niezależnie od oceny słuszności tych haseł, liga piłkarska powinna być wolna od manifestacji ideologicznych czy narodowościowych. (...) Pomimo tego wszystkiego na co wskazano powyżej, Komisja Ligi nie widzi możliwości ani potrzeby ukarania Lechii za wywieszenie transparentu (fragmentu transparentu) dotyczącego napaści na Polskę przez ZSRR".

Czytelnikom należy się więc sprostowanie: Komisja Ligi ukarała Lechię za niedozwolone transparenty, ale nie za fragment niedozwolonego transparentu o „czwartym rozbiorze Polski".

■ Zdając sobie sprawę z pewnego konfliktu pomiędzy przepisami prawa związkowego bezwzględnie nakazującymi karanie za brak porządku na stadionie (transparenty o treści nieuzgodnionej z klubem), a patriotyczną wymową banerów na stadionie Lechii, niezwłocznie zrezygnowałem z zasiadania w Komisji.
Ciekawostką jest fakt, że żadne z kilku wcześniejszych orzeczeń Komisji Ligi, w których NIE znalazła podstaw do ukarania klubów w podobnych sytuacjach, przeszły zupełnie bez echa.

„Niezwłocznie" oznaczało w tym przypadku: po dziewięciu miesiącach (Tomczyński pełnił funkcję do czerwca 2010). Wersja o patriotycznym porywie serca nie zgadza się też z wersją rzecznika Ekstraklasy, która brzmi: „Adam Tomczyński przestał być przewodniczącym Komisji, gdyż wygasła mu kadencja i na nową został powołany nowy przewodniczący w ramach standardowej procedury".

■ 3) Zasiadanie w Sądzie Najwyższym byłoby dla mnie największym zaszczytem i swoją pracę traktowałbym jako SŁUŻBĘ dla POLSKI. Jeśli takiej możliwości nie uzyskam będę pracę wykonywał tak jak teraz - zawsze uczciwie służąc radą i pomocą tym, którzy sami niełatwo radzą sobie z sądowymi przeciwnościami. Dla mnie praca w Sądzie Najwyższym NIE JEST finansową synekurą, jest natomiast szansą na lepsze sądownictwo i na lepszą, silniejszą, bardziej skierowaną ku zwykłemu obywatelowi POLSKĘ.

Piękne słowa – szkoda tylko, że nie mogą pójść za nimi czyny. Kodeks pracy zabrania rezygnacji z wynagrodzenia, dlatego nawet traktując swoją pracę jako służbę dla Polski, a nie synekurę, Tomczyński będzie zmuszony pobierać wysoką pensję. Inna sprawa, że mecenas ma problemy z odróżnieniem służby Polsce od służby partii.

■ Byłoby pewną ironią losu, gdyby stanęły temu na przeszkodzie dziennikarskie opowieści, w których cudze postępowania są traktowane jak moje własne.

Pewną ironią losu jest fakt, że człowiek zawsze gotowy do publicznego wychwalania Zjednoczonej Prawicy i krytykowania opozycji ma być niezawisłym i apolitycznym sędzią Sądu Najwyższego.

Na przeszkodzie wcale nie muszą stawać „dziennikarskie opowieści" – wystarczą wypowiedzi samego Tomczyńskiego. Chociażby opinia wyrażona 2 września w twitterowej dyskusji o konwencji Zjednoczonej Prawicy: „a ja się na razie ciesze tym co zostalo zrobione przez prawie 3 lata. I jestem zadowolony. Chcialo by się szybciej lepiej,ale sytuacja latwa nie jest".

Nowy Sąd Najwyższy powinien ją ułatwić.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

ANNA

Dziewit-Meller:
Gra o tron

Niesamowita jest nowa afera w Białym Domu – „New York Times" opublikował tekst anonimowego wysokiego stopniem pracownika administracji prezydenta Trumpa, który już we wstępie jasno rzekł: ja i podobni mi ludzie prowadzimy swego rodzaju działania dywersyjne wobec pomysłów naszego zwierzchnika, chcemy bowiem uchronić kraj przed upadkiem i ocalić nasz demokratyczny system przed rozmontowaniem. Uzasadnieniem dla tego typu działań (których urzędnik ów nie chce w żadnym razie nazywać sabotażem, używając raczej sformułowań typu „postawa propaństwowa" i „obrona ideałów republikańskich") jest wyzucie z moralnych zasad, jakie prezentuje obecna amerykańska głowa państwa. „Każdy, kto z nim pracuje, wie, że nie jest przywiązany do żadnych zasad, którymi mógłby się kierować, podejmując decyzje" – pisze anonimowo ów człowiek, obiecując jednocześnie obywatelom: „zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby prowadzić administrację we właściwym kierunku, dopóki – w ten czy inny sposób – to się nie skończy".

A zatem przede wszystkim idzie o wartości. *Wow*! Można pozazdrościć Ameryce propaństwowych polityków po konserwatywnej stronie. Bez ironii.

Niemniej walka ta jawi mi się coraz bardziej jako batalia Don Kichota, i to nie dlatego, że Trump jest niereformowalny. Ważniejsze bowiem jest to, że on doskonale przystaje do czasów, w których przychodzi mu rządzić Ameryką – czasów, w których amoralna postawa jest po prostu *sexy*. A to, jak wiadomo, kategoria kluczowa we wszystkich dziedzinach. Weźmy pierwszą z brzegu.

Nie dalej jak wczoraj, oglądając kolejny odcinek drugiego sezonu serialu „Ozark" (do zobaczenia na nielubianym przez Dorotę Wellman Netfliksie), kolejny raz doszłam do wniosku, że amoralność jest jednym z najważniejszych motywów wielu oglądanych w ciągu ostatnich lat seriali. I nie chodzi mi tu o jednoznacznie złych bohaterów, których znamy od czasów eposów greckich i którzy zawsze byli potrzebni do tego, by dobro zwyciężało. Idzie mi o szarą strefę – tę niby jaśniejszą obwódkę wokół mroku prawdziwego Zła.

Pierwszy raz poczułam to oglądając „Rodzinę Soprano" – utożsamiając się z mordercą i gangsterem Tonym. Jego sesje terapeutyczne przeżywałam życząc mu wyprostowania psychicznych ścieżek. Potem wsiąknęłam w kultową niegdyś „Trawkę" i kibicowałam kobiecie, która zostając wdową, z braku innych pomysłów na utrzymanie dotychczasowego poziomu życia zaczyna handlować narkotykami. Lubiłam ją i bawiła mnie, choć była przecież zdemoralizowana.

Ten typ amoralnych bohaterów niedługo później zaludnił masowo ekrany – wspomnę chociażby dwójkę rosyjskich szpiegów w „Zawód: Amerykanin", którzy funkcjonują na co dzień jako typowa kochająca się amerykańska rodzina, w pracy operacyjnej jednakowoż nie jest im obca żadna mokra robota. Im też się kibicuje, cóż począć. Na tle jednoznacznie niemoralnego Franka Underwooda jego żona Claire prezentowała się zawsze znacznie lepiej, i cóż – w czasach owej moralnej transgresji, jak ją chcą nazywać amerykańscy konserwatywni publicyści – trzymało się za nią kciuki, nawet wówczas, gdy pozbywała się kochanka, który wiedział stanowczo zbyt wiele, by móc dalej żyć.

Chory na raka nauczyciel, który zaczyna domowym sposobem produkować narkotyki i tym samym wpada w świat zbrodni w serialu „Breaking Bad"; och, no cóż, sprzyjałam mu przez wiele sezonów. „Dexter"? Psychopatyczny morderca, którego zbrodnie traktujemy jak nie przymierzając zdobywanie medali na olimpiadzie, słuchając wywodów na temat innych przestępców, których tropi pracując jako technik kryminalny w policji. Byliśmy po jego stronie, nim się serial straszliwe skiepścił, czyli długo. Obecnie kibicuję co wieczór rodzince nieudaczników z „Ozark" – na razie ma czyste ręce, ale na liczne serialowe trupy patrzy tym właśnie spojrzeniem tak bardzo nadużywanym przez scenarzystów – obojętnym, jakby patrzyli na zepsute meble.

Donald Trump zatem – pamiętajmy, że do Białego Domu przeszedł niemalże prosto z telewizji – jest idealnym produktem epoki, w której do scenariusza na podstawie krwawej przecież książki George'a R.R. Martina trzeba było dopisać scenę spalenia żywcem dziecka, by publiczność „Gry o tron", okrzepła już przy gwałtach i torturach, żywiej zareagowała. Jest niemoralny i właśnie dlatego najpewniej wygra kolejne wybory. Zobaczycie.

Głośny zaś apel Doroty Wellman o wyłączenie Netfliksa (i innych podobnych serwisów) okazuje się mieć moim zdaniem zupełnie inne znaczenie. Znacznie bardziej metafizyczne. ©

TP *Strona Świata*

AUTORSKI SERWIS WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

Gruzja, Kirgistan, Afganistan, Pakistan, Mali, Sri Lanka, Uganda – o tych miejscach tylko w ciągu ostatnich miesiący pisał na naszych łamach jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów, pisarz, były korespondent wojenny, a od września 2017 r. – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", Wojciech Jagielski.

Zapraszamy do śledzenia jego wpisów w autorskim serwisie Strona Świata, dostępnym bezpłatnie pod adresem: **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

GRAŻYNA MAKARA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OPINIE

CICHY ZABÓJCA DEMOKRACJI

To ostatni moment, żeby zastanowić się nad tym, dokąd prowadzi nas w Polsce eskalacja politycznej polaryzacji. Czy na pewno chcemy iść tą drogą?

TEKST MARCIN NAPIÓRKOWSKI
INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

No to jesteśmy! Po latach eskalacji dotarliśmy do punktu, gdy motywowana politycznie przemoc nie tylko pojawia się w przestrzeni publicznej, ale wręcz przestała być czymś wstydliwym i powszechnie potępianym.

1 września, podczas obchodów Dnia Weterana Walk o Niepodległość RP, grupa demonstrantów skandowała zza barierek: „Konstytucja, konstytucja". Współorganizująca uroczystość wolontariuszka (w pracy zawodowej związana ze Śląskim Urzędem Wojewódzkim) uderzyła w twarz jedną z protestujących kobiet. „Zachowała się tak, jak wymagała sytuacja", napisała na Twitterze dziennikarka Dorota Kania. „Przemoc w przestrzeni publicznej jest niedopuszczalna. Ale na swojej krótkiej liście mam trzy nazwiska do wypłacenia z liścia", wtórował jej Cezary Gmyz. W „Gazecie Polskiej Codziennie" czytamy: „Spadł na nią patriotyczny liść". Internauci komentują: „Karma wróciła"; „»Ruda z KOD« tym razem została potraktowana tak, jak ona zwykła traktować innych".

Co nas czeka, jeśli wszyscy w Polsce uwierzymy, że nadzwyczajna sytuacja wymaga podobnych, „nadzwyczajnych" działań?

Filtr polaryzacyjny

Demokrację zwykle przeciwstawiamy różnym formom autorytaryzmu i totalitaryzmu. Boimy się podporządkowania wszystkich głosów w debacie publicznej jednej „prawomyślnej" ideologii. Tymczasem, jak pokazywał m.in. włoski politolog i badacz mediów Giovanni Sartori, równie niebezpieczny dla demokracji może być pluralizm spolaryzowany, polegający – najprościej mówiąc – na podziale na wrogie obozy, których nic już nie łączy. W społeczeństwie spolaryzowanym rozkład opinii w istotnych kwestiach zamiast krzywej Gaussa (dużo niezdecydowanych i umiarkowanych poglądów, mniej postaw skrajnych) zaczyna przypominać literę „U" (dominują postawy skrajne, brak centrum). W dodatku opinii na poszczególne tematy wyborcy (i politycy) nie wyrabiają sobie oddzielnie, lecz łączą je w „tożsamościowe pakiety" ściśle powiązane z etykietami partyjnymi. To właśnie efekt plemion.

Podczas obchodów miesięcznicy smoleńskiej, Warszawa, 10 sierpnia 2017 r.

OMAR MARQUES / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

W spolaryzowanym społeczeństwie dominuje zasada: „kto nie z nami, ten przeciw nam". Dialog, debatę, a nawet zapoznawanie się z opinią przeciwników postrzega się jako zdradę, uległość, kunktatorstwo. Nie ma miejsca dla niezdecydowanych, niezabierających głosu czy nawet umiarkowanych. Ich miejsce w debacie publicznej zajmują „symetryści", czyli ci, których oskarża się o próbę zrównania dwóch niemożliwych do pogodzenia stanowisk.

Polaryzacja polityczna, której nasilenie badacze od kilkunastu lat odnotowują w wielu krajach demokratycznych, to cichy zabójca demokracji. Podstępna choroba, której objawy z łatwością dostrzegamy u przeciwników, lecz nigdy u siebie samych. A kiedy już zajdzie tak daleko, że nawet u ulubionych polityków, bliskich znajomych czy w preferowanych mediach zaczniemy dostrzegać objawy radykalizacji – będziemy skłonni usprawiedliwić je wyższą koniecznością: „Owszem, nowa kampania billboardowa mojej partii opiera się na manipulacji i grze na emocjach, nie przedstawia też żadnego pozytywnego programu. Ale przecież chodzi o to, żeby za wszelką cenę pokonać tych drugich...".

Zamieszczony na kolejnych stronach test to propozycja konfrontacji z poziomem własnego uwikłania w polityczną polaryzację. Pytania zostały tak pomyślane, by zachęcić do refleksji nad różnymi wymiarami politycznej polaryzacji. Zapraszam teraz do wykonania testu. Zachęcam do szczerych odpowiedzi. Poniżej znajduje się krótka analiza najważniejszych mechanizmów politycznej polaryzacji, a także propozycja „ćwiczeń depolaryzacyjnych".

Emocje zamiast argumentacji

Badacze nowych masowych ruchów protestu zwracają uwagę na ich silne zakorzenienie emocjonalne. Współczesna polaryzacja opiera się na dyktaturze emocji. Dlatego właśnie w konstruowaniu pytań testowych wykorzystałem m.in. narzędzie zwane termometrem uczuć, z powodzeniem stosowane przez badaczy uprzedzeń rasowych, religijnych, a coraz częściej także politycznych. Rozpiętość emocjonalnych ocen poszczególnych obozów politycznych daje nam pierwszą wskazówkę dotyczącą stopnia emocjonalnego zaangażowania w politykę.

Niektórzy czytelnicy mogą być zaskoczeni faktem, że cenne szpalty poświęciliśmy na stworzenie dwóch „symetrycznych" kwestionariuszy. Czy nie wystarczyło określenia „PO", „PiS", „rząd", „opozycja" zastąpić po prostu neutralnymi kategoriami „partia, którą preferuję", „partia, na którą nie głosuję"? Otóż badania potwierdzają, że znaczna część reakcji emocjonalnych odbywa się na poziomie nieświadomym. Dlatego, gdyby w pytaniach nie pojawiły się nazwy partii politycznych, odpowiedzi mogłyby być inne.

Negatywne reakcje ujawniają się na sam widok nielubianych polityków lub dźwięk ich nazwisk. Potwierdza to np. Test Utajonych Skojarzeń. W jednym z szeroko wykorzystywanych badań respondentom wyświetla się na ekranie twarze i nazwiska polityków oraz przedmioty o pozytywnych i negatywnych konotacjach, prosząc o posegregowanie ich za pomocą przycisków. Badania wykazały istotnie szybszy czas reakcji w przypadku, gdy ten sam przycisk przypisano lubianym politykom i pozytywnym przedmiotom. Naukowcy przypuszczają, że dzieje się tak dlatego, że mózg nie musi wówczas tracić czasu na radzenie sobie z dysonansem związanym z przemieszaniem kategorii.

Dyktaturę emocjonalnych odruchów wzmacnia sposób, w jaki prowadzona jest dziś polityka. Coraz szersze jest przyzwolenie na używanie w codziennych rozmowach, a nawet w przekazie medialnym negatywnych etykiet takich jak „mohery", „platfusy", „totalna opozycja", „pisiory" i wiele znacznie dosadniejszych. Dehumanizują one politycznych przeciwników, podporządkowując ich ocenę wyłącznie reakcji emocjonalnej. Na podobnym mechanizmie bazują emocjonalne manipulacje w rodzaju publikowania niekorzystnych, wykrzywionych grymasem zdjęć politycznych przeciwników lub czysto emocjonalnego zestawiania haseł bez wykazania związku przyczynowo-skutkowego. Doskonałego materiału do analizy tego rodzaju nadużyć dostarcza trwająca właśnie na naszych ulicach wojna billboardowa. Kto i skąd „wziął miliony" i jaki ma to związek z tym, że wszystko drożeje? Jakim złodziejom „zabrano pieniądze" i czy były to te same, które trafiły do dzieci? Jakie zdjęcia towarzyszą krzykliwym, tabloidowym sloganom?

Nowe i stare media

Wiele mówi się o związkach politycznej polaryzacji z nowymi mediami. Facebook i Twitter zamiast położyć kres autorytaryzmowi i krzewić na świecie demokrację, ↦

↦ jak naiwnie przewidywano jeszcze kilka lat temu, sprzyjają radykalizacji języka. Zalew fałszywych wiadomości, płatnych trolli i botów powielających propagandowe przekazy jest ściśle powiązany z narastającą polaryzacją.

Ciekawym głosem w tej sprawie jest wydana w zeszłym roku książka Cassa R. Sunsteina „#Republic: Divided Democracy in the Age of Social Media". Sunstein pokazuje, że dzięki nowym technologiom spełniło się marzenie, by każdy z nas dostawał tylko te informacje, które go interesują. Facebook dostarcza nam spersonalizowaną dawkę wiadomości, doskonale przykrojoną do naszych preferencji. Bo po co tracić czas na czytanie o czymś, co nas nie interesuje? Otóż Sunstein pokazuje, że „DailyMe" – porcja informacji dobrana specjalnie dla mnie przez algorytmy – prowadzi nie tylko do utrwalania już wyznawanych poglądów, ale też do stopniowej ich radykalizacji. Dawniej osoba, która miała wyraźnie sprecyzowany pogląd na jakąś kwestię, zmuszona była konfrontować się przynajmniej od czasu do czasu z opinią myślących inaczej. Sprzyjało to przesuwaniu się poglądów w kierunku centrum i utrzymywaniu w skali społeczeństwa rozkładu bliskiego gaussowskiemu. Tymczasem internet wzmacnia mechanizmy „komór pogłosowych" (ang. *echo chambers*), w ramach których użytkownicy otrzymują głównie takie informacje, które utrwalają ich własne opinie. Jeżeli jakieś medium publikuje informacje, na które reagujemy pozytywnie (podajemy dalej, lubimy, czytamy dłużej) – algorytm będzie nam podsuwał więcej tego rodzaju treści. Jeżeli jakieś źródło prezentuje poglądy, z którymi się nie zgadzamy – po prostu wykluczamy je z naszej spersonalizowanej bańki informacyjnej.

Z kolei dzięki sekcjom komentarzy pod artykułami ostatnie słowo mają zawsze czytelnicy. Jeżeli nawet o cierpieniach uchodźców albo zaletach szczepionek pisze ekspert w danej dziedzinie, to na opinię czytelnika wpłynie nie tylko treść jego przekazu, lecz także – a może nawet przede wszystkim – to, co przeczyta pod artykułem. W końcu autorowi artykułu ktoś zapłacił, miał w tym jakiś interes, reprezentował odległą od nas grupę... Komentarze postrzegamy natomiast jako dzieło „zwykłych użytkowników" takich jak my, nie zastanawiając się za bardzo, co też miałoby to oznaczać. Tymczasem, jak pokazują badania, w komentarzach nadreprezentowane są postawy skrajne. Interpretując ich treść jako „głos ↦

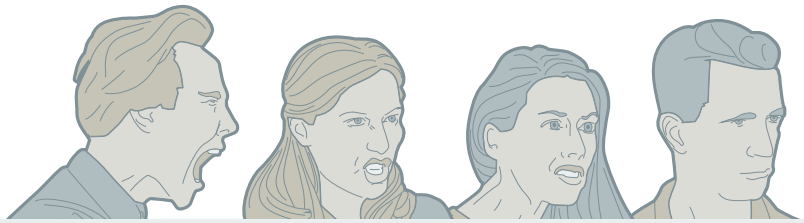

Jak opisze Pan/Pani swoje uczucia względem obecnego rządu?

-3	-2	-1	0	1	2	3
Bardzo zimne, negatywne uczucia			Neutralne uczucia			Bardzo ciepłe, pozytywne uczucia

Jak opisze Pan/Pani swoje uczucia względem opozycji?

-3	-2	-1	0	1	2	3
Bardzo zimne, negatywne uczucia			Neutralne uczucia			Bardzo ciepłe, pozytywne uczucia

Proszę przesunąć pionek o tyle pól w górę skali, ile wynosi różnica między odpowiedziami na powyższe pytania.

Proszę możliwie szybko odpowiedzieć na poniższe pytania, po każdym przesuwając pionek o jedno pole w górę lub w dół skali w zależności od udzielonej odpowiedzi.

☑ zgadzam się ☒ nie zgadzam się ☐ nie korzystam (brak ruchu) ▲ ruch o 1 pole w górę ▼ ruch o 1 pole w dół

1. Zmartwiłbym/zmartwiłabym się, gdyby ktoś z mojej rodziny postanowił wejść w związek z wyborcą PiS.
☑ ▲ ▼ ☒

2. Nie potrafię wskazać żadnego dobrego pomysłu ani działania rządu PiS.
☑ ▲ ▼ ☒

3. W Polsce są tylko dwa obozy polityczne. Kto kwestionuje działania opozycji lub podważa jej jedność, tak naprawdę wspiera PiS.
☑ ▲ ▼ ☒

4. W walce z PiS dozwolone są nawet środki niedemokratyczne, ponieważ PiS zagraża demokracji.
☑ ▲ ▼ ☒

5. Czasem zgadzam się z czymś, co mówi polityk PiS.
☑ ▼ ▲ ☒

6. Potrafię wskazać konkretnego polityka PiS, którego szanuję i chętnie słucham.
☑ ▼ ▲ ☒

7. Odczuwam negatywne uczucia na sam widok polityków PiS.
☑ ▲ ▼ ☒

8. Wyborcy PiS są głupsi od wyborców opozycji.
☑ ▲ ▼ ☒

9. Zdarza mi się używać określeń takich jak „pisiory", „mohery", „lud smoleński".
☑ ▲ ▼ ☒

10. Nie czas teraz na dyskutowanie o programie. Priorytetem powinno być odsunięcie PiS od władzy.
☑ ▲ ▼ ☒

11. Nie lubię spotykać się z osobami, które mają inne poglądy polityczne.
☑ ▲ ▼ ☒

12. Warto poznać zdanie i argumenty wyborców PiS.
☑ ▼ ▲ ☒

13. Czasem czytuję czasopisma zwykle popierające rząd, takie jak np. „Sieci", „Do Rzeczy" czy „Gazetę Polską".
☑ ▼ ▲ ☒

14. Rządy PiS są najgorsze w historii Polski.
☑ ▲ ▼ ☒

15. Warto czasem obejrzeć TVP.
☑ ▼ ▲ ☒

16. To możliwe, że w mediach zwykle popierających opozycję (np. „Gazeta Wyborcza", „Newsweek") pojawiają się artykuły nierzetelne.
☑ ▼ ▲ ☒

17. Z osobami, które głosują na PiS, chętnie dyskutuję o polityce.
☑ ▼ ▲ ☒

18. Czułbym się niezręcznie, gdyby mój najbliższy współpracownik był wyborcą PiS.
☑ ▲ ▼ ☒

19. W mediach społecznościowych śledzę także polityków partii rządzącej i media prorządowe.
☑ ▼ ☐ ▲ ☒

20. Usuwam lub rozważam usunięcie ze znajomych osób, które w mediach społecznościowych otwarcie popierają PiS.
☑ ▲ ☐ ▼ ☒

21. Bez obaw powierzyłbym swoje pieniądze wyborcy PiS, gdybym nie miał powodów, by wątpić w jego uczciwość.
☑ ▼ ▲ ☒

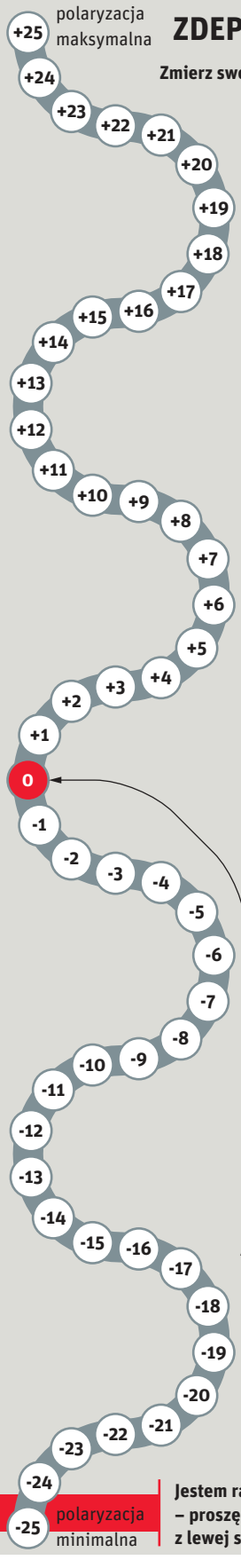

ZDEPOLARYZUJ SIĘ!

Zmierz swoją polaryzację polityczną.

Nasz miernik polaryzacji politycznej jest tylko zabawą. Nie ma charakteru obiektywnego naukowego narzędzia, nie został skalibrowany i przetestowany zgodnie z regułami naukowej rzetelności. Dlatego zdecydowaliśmy, że będzie miał raczej charakter gry planszowej niż badania, które – jak to czasem czynią „psychotesty" w czasopismach – podszywa się pod metodę naukową.

Choć rozwiązanie zadania nie pozwoli nam miarodajnie ocenić naszej polaryzacji, to może zwrócić uwagę na wpływające na nią mechanizmy. Towarzyszący grze artykuł przybliża nieco wykorzystane w układaniu pytań narzędzia i stojące za nimi założenia teoretyczne. Opisuje także szerzej zjawiska mające według naukowców największy wpływ na stopień polaryzacji politycznej społeczeństwa.

Życzymy udanej zabawy i pogłębionej refleksji!

Proszę ustawić pionek na polu „0".

Startujemy!

Jestem raczej zwolennikiem rządu – proszę przejść do kwestionariusza z prawej strony

Jestem raczej zwolennikiem opozycji – proszę przejść do kwestionariusza z lewej strony

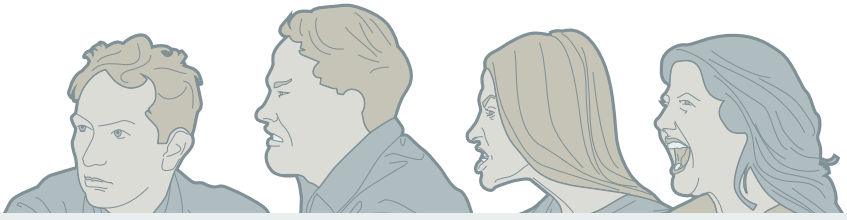

Jak opisze Pan/Pani swoje uczucia względem obecnego rządu?

-3	-2	-1	0	1	2	3
Bardzo zimne, negatywne uczucia			Neutralne uczucia			Bardzo ciepłe, pozytywne uczucia

Jak opisze Pan/Pani swoje uczucia względem opozycji?

-3	-2	-1	0	1	2	3
Bardzo zimne, negatywne uczucia			Neutralne uczucia			Bardzo ciepłe, pozytywne uczucia

Proszę przesunąć pionek o tyle pól w górę skali, ile wynosi różnica między odpowiedziami na powyższe pytania.

Proszę możliwie szybko odpowiedzieć na poniższe pytania, po każdym przesuwając pionek o jedno pole w górę lub w dół skali w zależności od udzielonej odpowiedzi.

☑ zgadzam się ☒ nie zgadzam się ☐ nie korzystam (brak ruchu) ▲ ruch o 1 pole w górę ▼ ruch o 1 pole w dół

1. Zmartwiłbym/zmartwiłabym się, gdyby ktoś z mojej rodziny postanowił wejść w związek z wyborcą PO.
☑ ▲ ▼ ☒

2. Nie potrafię wskazać żadnego dobrego pomysłu ani działania obecnej opozycji.
☑ ▲ ▼ ☒

3. W Polsce są tylko dwa obozy polityczne. Kto kwestionuje działania rządu lub podważa jedność Zjednoczonej Prawicy, tak naprawdę wspiera antyrządową opozycję.
☑ ▲ ▼ ☒

4. W walce z opozycją dozwolone są nawet środki niedemokratyczne, ponieważ zagraża ona demokracji.
☑ ▲ ▼ ☒

5. Czasem zgadzam się z opiniami polityka opozycji.
☑ ▼ ▲ ☒

6. Potrafię wskazać konkretnego polityka opozycji, którego szanuję i chętnie słucham.
☑ ▼ ▲ ☒

7. Odczuwam negatywne uczucia na sam widok polityków opozycji.
☑ ▲ ▼ ☒

8. Wyborcy opozycji są głupsi od wyborców PiS.
☑ ▲ ▼ ☒

9. Zdarza mi się używać określeń takich jak „totalna opozycja", „platfusy".
☑ ▲ ▼ ☒

10. Nie czas teraz na dyskutowanie o programie. Priorytetem powinno być zapobiegnięcie powrotowi PO do władzy.
☑ ▲ ▼ ☒

11. Nie lubię spotykać się z osobami, które mają inne poglądy polityczne.
☑ ▲ ▼ ☒

12. Warto poznać zdanie i argumenty wyborców opozycji.
☑ ▼ ▲ ☒

13. Czasem czytuję czasopisma zwykle krytykujące rząd, takie jak np. „Gazeta Wyborcza" czy „Newsweek".
☑ ▼ ▲ ☒

14. Rządy PO/PSL były najgorsze w historii Polski.
☑ ▲ ▼ ☒

15. Warto czasem obejrzeć TVN.
☑ ▼ ▲ ☒

16. To możliwe, że w mediach zwykle popierających rząd (np. „Sieci", „Gazeta Polska") pojawiają się artykuły nierzetelne.
☑ ▼ ▲ ☒

17. Z osobami, które głosują na opozycję, chętnie dyskutuję o polityce.
☑ ▼ ▲ ☒

18. Czułbym się niezręcznie, gdyby mój najbliższy współpracownik był wyborcą którejś z partii opozycyjnych.
☑ ▲ ▼ ☒

19. W mediach społecznościowych śledzę także polityków partii opozycyjnych i media nieprzychylne rządowi.
☑ ▼ ☐ ▲ ☒

20. Usuwam lub rozważam usunięcie ze znajomych osób, które w mediach społecznościowych otwarcie popierają opozycję.
☑ ▲ ☐ ▼ ☒

21. Bez obaw powierzyłbym swoje pieniądze wyborcy PO, gdybym nie miał powodów, by wątpić w jego uczciwość.
☑ ▼ ▲ ☒

↦ ludu", wpadamy więc w pułapkę: postrzegamy społeczeństwo jako znacznie bardziej zradykalizowane, niż to ma miejsce w rzeczywistości. W wyniku tego sami, nieświadomie, stopniowo zaczynamy uznawać poglądy skrajne za „typowe" czy „normalne".

Wpływ na polaryzację mogą mieć również media tradycyjne. Paradoksalnie przyczynia się do niej... pluralizm. Rynek medialny dotknęły te same zmiany, co szampony do włosów: każdy może sobie dobrać takie media, które najlepiej odpowiadają jego preferencjom i wrażliwości. Wielość tytułów na rynku sprawia, że możemy czerpać informacje wyłącznie ze źródeł umacniających nasz światopogląd i jednocześnie trwać w błędnym przekonaniu, że wsłuchujemy się w różne głosy, bo przecież czytujemy trzy czasopisma, oglądamy kanał informacyjny, a czasem włączymy jeszcze radio. W dodatku media tradycyjne są dziś zmuszone konkurować na rynku uwagi, którego reguły wyznaczają technologie cyfrowe. Konieczność przebicia się w natłoku informacji zachęca do rywalizacji na chwytliwe, „klikalne" nagłówki, przyciągające wzrok okładki i szokujące treści.

Na koniec warto jeszcze wspomnieć, że nowe media mogą – w pewnych okolicznościach – rozładowywać polaryzację. Badania przeprowadzone przez Pabla Barberę z New York University pokazują, że media społecznościowe mogą zwiększać nasze kontakty z „dalekimi znajomymi", a przez to sprzyjać ekspozycji na treści niezgodne z naszym światopoglądem, z którymi nie zetknęlibyśmy się rozmawiając wyłącznie z ludźmi, których spotykamy „w realu". Umiejętne korzystanie z Facebooka czy Twittera może je więc zamienić w tarczę przeciwko polaryzacji.

Monopol na rację

Racja sprzedawana jest detalicznie, a nie hurtowo. Można mieć słuszność w danej kwestii, ale nie można mieć monopolu na rację. Tymczasem im większa polaryzacja polityczna, tym większą mamy skłonność do tzw. myślenia pakietowego. Pisał o tym zjawisku Tadeusz Ciecierski na łamach „Kultury Liberalnej": „O funkcjonujących w sferze publicznej ideach, konkretnych poglądach, osobach, instytucjach itd. myśli się w sposób zbiorczy, zakładając błędnie, że istnieje jakakolwiek obiektywna i merytoryczna podstawa wiążąca ze sobą rzeczy niemające w rzeczywistości ze sobą wiele wspólnego". Wszystkie pomysły i opinie pochodzące z danego źródła włącza się do jednej grupy, z góry oceniając jako dobre lub złe. Ciecierski zwraca tym samym uwagę, że w demokracji mogą istnieć całkiem oddolne mechanizmy bez odgórnej ingerencji prowadzące do cenzury i ograniczenia spektrum dostępnych wyborów.

To oczywiście banał, że demokracja opiera się na dialogu. Niestety, że w spolaryzowanym społeczeństwie przestaje on być wartością. Samą rozmowę z osobą o odmiennych poglądach postrzegamy jako nieprzyjemną, a wręcz jako zdradę ideałów. Tymczasem nie ma demokracji tam, gdzie nie ma miejsca na spotkanie z innością.

Dobrze pokazuje to we wspomnianej już książce Sunstein, przekonujący, że warto mieć styczność z wieściami spoza informacyjnej bańki. Po pierwsze dlatego, że szczelnie otaczający nas kokon kontroli informacji niemal wyklucza możliwość, że otrzymamy jakąś niespodziewaną informację, która zakłóci nasz dotychczasowy światopogląd czy system wartości. Czyli redukuje nasze szanse na rozwój, poznanie czegoś nowego, zmianę zdania i poprawienie błędu. Po drugie, podkreśla Sunstein, warunkiem istnienia społeczeństwa obywatelskiego opartego na dialogu jest to, by obywatele w ogóle mieli wspólne tematy do dyskusji. Mechanizm ten można porównać do kształtowania kanonu, który naukowcy uznają za kluczowy dla budowania wspólnej tożsamości. Na przykład dzięki temu, że w szkole wszyscy czytaliśmy te same lektury, wytwarza się wspólna przestrzeń metafor, wyobrażeń, wartości. Podobnie jest z kanonem mitów, dzieł malarskich czy muzycznych. W ten sposób wspólną przestrzeń wyobraźni tworzyła np. drukowana prasa czy stara, dobra telewizja, zwłaszcza w czasach, gdy do wyboru był jeden kanał i wszyscy – z konieczności – oglądali te same filmy. W świecie, w którym każde plemię śledzi tylko swoje media, nie mamy już o czym rozmawiać między sobą.

Polaryzacja szkodzi wszystkim

Ostatecznie polaryzacja szkodzi wszystkim. Żeby to dostrzec, trzeba jednak przez chwilę spojrzeć na politykę nie z punktu widzenia racji, a z punktu widzenia komunikacji.

Nie chodzi wcale o to, że polityka składa się tylko ze „spinów", „dyskursu" i „narracji", a prawda nie istnieje. Owszem, z punktu widzenia semiotyki polityka jawi się jako sztuka przekonującego opowiadania o świecie. Ale to samo można powiedzieć np. o fizyce. Badając mechanizmy komunikacji fizyków nikt rozsądny nie stwierdzi, że zasada zachowania energii obowiązuje albo nie obowiązuje w zależności od tego, kto lepiej bajeruje czytelników. Można natomiast wskazać trudności w propagowaniu pewnych teorii albo ich odbiorze przez szeroką publiczność związane z hermetycznością języka, odmienną kulturą pracy intelektualnej między różnymi frakcjami itd. Podobnie jest z polityką. Wskazanie polaryzacji jako głównego wroga demokracji nie oznacza, że w zasadzie wszystko jedno, kto rządzi, a każdy program jest równie dobry. Albo że wszyscy politycy to oszuści bez zasad. Prawda leży tam, gdzie leży. W danej kwestii ktoś może się mylić, a inny – mieć rację.

Problem polega na tym, że w demokracji nie wystarczy mieć racji. Trzeba do niej jeszcze przekonać innych. I tu nagle okazuje się, że analizowane mechanizmy stają się dla przyszłości Polski równie ważne, co trafność diagnoz poszczególnych partii. Co z tego, że nawet – szczęśliwym trafem – akurat rządzić będą ci, co mają więcej racji, jeżeli niemal połowa populacji będzie z każdej ich decyzji niezadowolona?

Kiedy opozycja mówi: „Nie czas teraz na dyskusje o programie, najważniejsze jest obalenie rządu", a władza odpowiada totalną wojną z „totalną opozycją", następuje dewaluacja politycznych argumentów. Wszystkie chwyty stają się dozwolone. Inteligentni, kulturalni ludzie powielają bez zastanowienia niesprawdzone informacje i żenujące memy, byle tylko dołożyć znienawidzonym przeciwnikom. W ten sposób nie zwycięża się niedemokratycznych konkurentów, lecz wzmacnia niedemokratyczną kulturę politycznej wojny. W pewnym momencie uznamy, że stawka jest tak wysoka, że wszystkie chwyty są dozwolone. Wówczas walka będzie się toczyła już tylko o to, kto poprowadzi bardziej emocjonalne demonstracje, rozpowszechni bardziej oszczercze fake newsy i mocniej „da z liścia" politycznym przeciwnikom.

A wtedy może się okazać, że wprawdzie wygraliśmy, ale w ferworze walki staliśmy się tym, przeciwko czemu biliśmy się z takim oddaniem.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

„TP" 35 / 2018

Gdzie ci mężczyźni?

Edytorial ks. Adama Bonieckiego pod takim tytułem odebrałem bardzo osobiście, bo narastające we mnie wątpliwości podszeptują mi niebezpiecznie, że „mój" Kościół staje się coraz bardziej „nie mój". Jestem starym człowiekiem (80 lat) wychowanym w wierze katolickiej i chrześcijańskiej kulturze. Moi przodkowie byli aktywnymi i zasłużonymi parafianami. Miejscowy historyk opisał 500-letnią historię tej parafii, publikując w książce dokumenty obrazujące ścisłe utożsamianie się mieszkańców z Kościołem katolickim, wokół którego było aktywne, demokratyczne życie społeczne. Najwymowniejszym elementem tej demokratyczności była Rada Parafialna, będąca gospodarzem mienia parafialnego (a nie instytucji Kościoła), zarządzająca nim bardzo efektywnie. Wygospodarowane zyski służyły utrzymaniu kościoła jako obiektu sakralnego, probostwa (siedziby proboszcza i parafialnej administracji) i całego pozostałego mienia, np. organistówki czy domu sióstr. Nigdy to mienie nie nazywano kościelnym! Proboszcz był administratorem ściśle księgującym (z pomocą parafialnego rachmistrza) całokształt dochodów i wydatków probostwa. Roczne sprawozdanie gospodarcze składał w kościele obywatel miasteczka – przewodniczący Rady Parafialnej – a sprawę z dochodów (ofiary, usługi) raportował proboszcz.

Dzisiaj twory parafialne szumnie zwane najczęściej Radą Ekumeniczną (?), Radą Ekonomiczną i jakimiś podobnymi są przedmiotem powszechnych kpin parafian. Arogancja młodej generacji proboszczów woła o pomstę do nieba. Sprawozdania roczne zastępują „opowiastkami" bez literalnego raportu za całokształt funkcjonowania parafii. Homilie albo niezrozumiale przeplatane są treścią ewangelii i czytań liturgicznych, albo „ubogacane" propagandą PiS i agitacją tej partii (np. organizowanie wyjazdu na film o katastrofie smoleńskiej). Zaś groźne zjawiska społeczne, jak narkomania, przemoc domowa, alkoholizm czy defraudacje urzędnicze są niezrozumiale przemilczane.

Jak w takiej atmosferze ma się czuć taki jak ja katolik, wysłuchujący pochwał kontrowersyjnej misji Radia Maryja, który konfrontując je z tym, co osobiście słyszy, widzi rozmijanie się z rzeczywistością? Co czuje ten katolik, kiedy od ołtarza słyszy potępianie poglądów politycznych dalekich od strategii politycznej PiS, tak wymownie popieranej przez wielu proboszczów i biskupów?

Mam pięcioro wnuków (czterech dorosłych), których żale do Kościoła są liczniejsze od moich (począwszy od katechezy, a na naukach przedmałżeńskich kończąc). Oni poszukują parafii z kościołem (proboszczem) politycznie neutralnym, niedzielących Polaków z powodu zapatrywań politycznych.

Jeżeli Kościół zdecydowanie nie przeciwdziała wspomnianym zjawiskom, to będzie nadal tracić mężczyzn jako oddanych synów Kościoła, zwolenników różnych opcji politycznych, które dzisiaj tak dramatycznie dzielą Polaków. Ten podział wymaga zatroskania naszego Kościoła przez łagodzenie sporów i empatię do wszystkich tak zróżnicowanych polskich katolików.

WŁODZIMIERZ FOLTYNOWICZ

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika" listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Audiodelic

TYGODNIK POWSZECHNY

Ściągnij aplikację Audiodelic

Available on the App Store lub ANDROID APP ON Google play i weź, słuchaj!

najważniejszych, nagradzanych, kanonicznych tekstów i wywiadów z historii „Tygodnika Powszechnego" czytanych przez profesjonalnych lektorów.

Wśród autorów tekstów:

ks. Adam Boniecki, Andrzej Stasiuk, Anna Goc, abp Józef Życiński, Łukasz Lamża, Czesław Miłosz, Dorota Kozińska, abp Grzegorz Ryś, Jerzy Pilch, Jerzy Turowicz, ks. Józef Tischner, ks. Michał Heller, Łukasz Kwiatek, Leszek Kołakowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, o. Ludwik Wiśniewski, Paweł Reszka, Sławomir Mrożek, Stanisław Barańczak, Stanisław Lem, Stefan Kisielewski, Tadeusz Sławek, Wisława Szymborska, Wojciech Nowicki, Wojciech Bonowicz.

PYTAJCIE BISKUPÓW

OJCIEC ADAM ŻAK SJ, KOORDYNATOR EPISKOPATU DS. OCHRONY DZIECI I MŁODZIEŻY:

Nie mam żadnych przesłanek, by uznać, że w polskim Kościele postępowano inaczej niż w amerykańskim albo irlandzkim.

ANNA GOC: Czytał Ojciec pensylwański raport?

ADAM ŻAK SJ: Raport ma tysiąc trzysta stron. Całość przejrzałem, przeczytałem fragmenty.

Zadawałam sobie pytanie, jak to możliwe, że przez 70 lat co najmniej 301 księży wykorzystywało seksualnie ponad tysiąc dzieci i nieletnich z ośmiu diecezji, a ich przełożeni tuszowali sprawę. Co Ojca zaskoczyło?

Mnie dziwi to, że Kościół w USA bardzo solidnie zbierał dane dotyczące liczby ofiar i sprawców, pokazywał wyrządzoną krzywdę, ale nie spróbował wyjaśnić niektórych mechanizmów, które sprzyjały krzywdzie i ją powiększały. To się stało bardziej zrozumiałe, gdy pojawiły się oskarżenia pod adresem byłego arcybiskupa Waszyngtonu i byłego już kardynała Theodore'a McCarricka, który w latach 2001-02 był w gronie zwolenników oczyszczenia Kościoła i miał duży wpływ na rozłożenie akcentów tego oczyszczenia.

McCarrick, który w przeszłości regularnie molestował kleryków i wykorzystał seksualnie 11-latka, w 2002 r. był jednym z biskupów pracujących nad nowymi wytycznymi, które miały chronić dzieci.

Możemy więc podejrzewać, że ludzie tacy jak McCarrick wpłynęli na to, że w Kościele zajęto się prewencją i badaniem skali, odpuszczając drugi element kryzysu, zdiagnozowany zresztą przez Watykan – błędy i zaniechania przełożonych sprawców.

Droga amerykańskiego episkopatu do karty ochrony dzieci zajęła biskupom ponad 20 lat. Dlaczego? Bo nie było jedności między biskupami, ani co do oceny zjawiska wykorzystywania dzieci przez duchownych, ani co do tego, jak się tą sprawą zająć. Przez wieki prawa dzieci w społeczeństwach i w Kościele nie były brane pod uwagę. Zachowania księży oceniano z moralnego punktu widzenia, ale to, że dzieci były krzywdzone, nie docierało do świadomości.

Chce Ojciec powiedzieć, że pedofilii nie nazywano pedofilią? Słyszałam, że przełożonych zakonnych bardziej interesują homoseksualizm albo problemy alkoholowe księży.

Nie ma się co dziwić, że pedofilia nie pojawia się w tym katalogu.

Skoro wiadomo, że jest problemem, to ja się dziwię.

To nie jest tak, że wykorzystywanie seksualne małoletnich jest bagatelizowane. Jest, a raczej było poza horyzontem poznawczym przełożonych jako zjawisko głęboko ukryte. Seksualnie wykorzystują nie tylko pedofile, czyli osoby z zaburzeniem preferencji seksualnej, lecz przede wszystkim osoby niedojrzałe psychoseksualnie. Ale dopóki powtarzamy, że takich zachowań mogą się dopuścić tylko zwyrodnialcy albo zboczeńcy, dopóty nie będziemy potrafili ocenić skali zjawiska.

W Polsce od 2014 r. działają delegaci ds. ochrony dzieci i młodzieży, którzy w każdej diecezji i każdym zgromadzeniu zakonnym powinni przyjmować zgłoszenia ofiar. Ile przez te cztery lata zgłosiło się ofiar?

Nie mamy takich danych.

Dlaczego?

Każda diecezja i każde zgromadzenie zakonne wie o swoich przypadkach.

Czyli Kościół ma dane. Co stoi na przeszkodzie, by je zebrać?

To pytanie nie jest do mnie. Postulowałem wielokrotnie, by dane zebrać, bo potrzebna jest znajomość skali zjawiska, która uwzględniłaby liczbę sprawców i ofiar.

44 diecezje i nieco ponad 30 zgromadzeń zakonnych, czyli około 80 telefonów do wykonania. Dla jednej osoby kilka dni pracy, dla kilku – dzień.

Był taki moment w 2014 r., gdy wśród biskupów była zgoda na zbieranie danych potrzebnych do poznania skali zjawiska, ale zabrakło jedności co do wykonania tego zadania. Rzecz została na płaszczyźnie postulatu.

Odpuścił Ojciec?

Nie odpuściłem, tylko na różne sposoby go ponawiałem.

Sprawa powróciła znowu, kiedy opinia publiczna, w tym dużo ludzi wierzących,

GRAŻYNA MAKARA

Ojciec Adam Żak, Kraków, 2013 r.

zupełnie słusznie domaga się, by Kościół wiedział, jaką ma sytuację.

Ale Kościół danych wciąż nie ujawnia. Ich zebranie wydaje się proste – jeśli biskupi i przełożeni zakonni są zobowiązani do przekazywania każdego zgłoszenia ofiary Stolicy Apostolskiej. Chyba że sprawy są załatwiane między przełożonym albo biskupem a oskarżonym zakonnikiem czy księdzem, bez zostawiania śladu w dokumentach.

Nie, nie ma takiej możliwości. Po otrzymaniu każdego wiarygodnego zgłoszenia rozpoczyna się dochodzenie i zgłoszenie sprawy Stolicy Apostolskiej. Polscy księża biskupi zobowiązali się do jednej rzeczy – że będą zgłaszać do sekretariatu Episkopatu przypadki księży, którzy zostali aresztowani.

Ilu jest takich księży?

Tego nie wiem.

Tym razem to jeden telefon – do sekretariatu Episkopatu.

Ja nie mam żadnej jurysdykcji. Jurysdykcja jest przy przełożonym człowieka, który popełnił przestępstwo. Poza tym mało mnie interesują nieprecyzyjne dane cząstkowe, które i tak mogę znaleźć w internecie.

Czyli nie mamy żadnych danych?

Wiadomo, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat w sądach powszechnych skazano około 60 księży. Można to obliczyć na podstawie doniesień w mediach. Uważam, że to są dość prawdopodobne liczby, choć może lekko zaniżone z powodu różnic w prawie państwowym i kanonicznym. Ale i tak wszystko, co wiemy albo będziemy wiedzieli o liczbie zgłoszeń lub skazań, może się okazać wierzchołkiem góry lodowej.

Tak Ojciec uważa?

Taka jest natura przestępstw seksualnych. To są jedne z najbardziej ukrywanych przestępstw. Nie tylko w Kościele. Ludzie, którzy takimi przestępstwami się zajmują, wiedzą: gdzie jest jedna ofiara, tam może ich być więcej.

I taką procedurę uruchamia się w Kościele?

↦

↦ Jeśli postępowanie kanoniczne jest porządnie przeprowadzane, to w taki sposób powinno się sprawdzać, czy nie ma więcej ofiar oskarżonego. Ale w Kościele to jest bardzo utrudnione, dlatego że Kościół nie ma środków przymusu. Nie możemy przymusić świadków, by przyszli na przesłuchanie, by doprowadzić ich na złożenie zeznań. Dzisiaj ten problem jest do pewnego stopnia nieaktualny, bo istnieje obowiązek prawny zgłaszania wiarygodnego podejrzenia o popełnieniu przestępstwa. Kościół to respektuje i zgłasza organom ścigania, które mają odpowiednie środki prawne. Są też inne przeszkody – np. terapeuci mówią, że nie zgłoszą sprawy, bo ofiara nie jest gotowa na stawienie czoła dochodzeniu.

Są na to sposoby. Przesłuchuje się pokrzywdzonych w obecności terapeuty.

Specjalny tryb przesłuchań dotyczy tylko dzieci. Sam otrzymuję od ofiar maile czy telefony – chciałyby zgłosić, że były molestowane przez księży, pod warunkiem, że sprawa nie będzie przekazana prokuraturze.

Nowe prawo nakłada taki obowiązek. Co Ojciec robi?

To są zapytania od dorosłych ludzi, którzy anonimowo chcą się poradzić. Są też osoby, które chcą zgłosić sprawę anonimowo. Ale takie zgłoszenia nie spowodują rozpoczęcia postępowania, bo to nie są zgłoszenia wiarygodne w sensie prawnym.

Co Kościół robił z takimi zgłoszeniami wcześniej, nim pojawiły się wytyczne Episkopatu?

Doprecyzujmy. Do roku 2001, czyli do wydania norm o najcięższych przestępstwach w Kościele przez Jana Pawła II, istniał przepis, że za przestępstwa seksualne, również przestępstwa wobec małoletnich, przełożony powinien ukarać sprawcę po stwierdzeniu faktu, do wydalenia ze stanu duchownego włącznie.

Czyli wtedy to pozostawało między przełożonym a oskarżonym?

Niekoniecznie, bo jeśli przełożony zdecydował nałożyć na niego karę, musiało być przeprowadzone formalne postępowanie kanoniczne.

A jeśli nie chciał nałożyć kary?

Benedykt XVI w 2010 r. napisał, że „przełożeni nie stosowali prawa", i wiedział, co pisze, bo za jego pontyfikatu przeprowadzono wiele wizytacji kanonicznych w diecezjach.

ADAM ŻAK SJ:

Struktury zła wewnątrz Kościoła powstały przez zmowę milczenia, przez ukrywanie.

Co się dzieje ze sprawcami w Polsce? Czy to prawda, że są przenoszeni do innych parafii?

Odnośnie do czasu teraźniejszego uważam to za mit.

W polskim Kościele nigdy nie przeniesiono księdza oskarżonego o pedofilię albo molestowanie do innej parafii?

Praktykowano to w przeszłości. Od 2001 r. przełożeni kościelni zrozumieli, że krycie poprzez przenoszenie nie ma najmniejszego sensu. Normy zobowiązujące przełożonych kościelnych do zgłaszania wszystkich przypadków, nawet przedawnionych, do Kongregacji Nauki Wiary doprowadziły do stopniowego odejścia od tej praktyki. Franciszek kilka lat temu wydał dokument określający procedury, jak postępować z przełożonymi, którzy w rażący sposób nie dopełniają swoich obowiązków, zaniedbują albo kryją sprawców, a przez to narażają inne dzieci, osoby małoletnie na krzywdę. Takie działanie jest dziś zagrożone karą kościelną aż do pozbawienia urzędu. Ostatnio Franciszek potwierdził, że jest to praktykowane.

Czyli jeszcze kilkanaście lat temu w Polsce księdza krzywdzącego dzieci przenosiło się w inne miejsce, gdzie mógł robić to samo?

Mogło tak być i pewnie było w wielu przypadkach. Nie mam żadnych przesłanek, by uznać, że w polskim Kościele postępowano inaczej niż w amerykańskim albo irlandzkim. To była kwestia rozumienia skandalu. Benedykt XVI powiedział bardzo mocno, że w tych przestępstwach widać, jak zło spenetrowało świat wiary. Dodałbym: jak skorumpowało ludzi dobrych, wywróciło ich hierarchię wartości. Godność i dobro dzieci nie były na pierwszym miejscu. Na pierwszym było dobro instytucji. Skandalem przestało być wykorzystywanie seksualne małoletnich przez niektórych księży, tylko to, że wszyscy mogą się o nim dowiedzieć.

Rozmawiałam z ofiarą księdza. Przeszła wieloletnią terapię. I jedno nie pozwalało jej spać spokojnie – co teraz robi ksiądz, który ją skrzywdził, bo tego się nie dowiedziała.

Ofiary mają prawo to wiedzieć, mogą się tego domagać.

I Kościół im to gwarantuje?

Wszystkie postępowania w sprawach o wykorzystanie seksualne małoletnich, zarówno przed sądami powszechnymi, jak i kanoniczne, są objęte klauzulą tajności. Chronią ofiary i inne osoby, które w tym procesie uczestniczą, przed ewentualnym zainteresowaniem publicznym. W kościelnych postępowaniach problem polega na tym, że niektórzy bardzo restrykcyjnie interpretują niejawność postępowania, nie informując o żadnych szczegółach dochodzenia. Tymczasem osoby pokrzywdzone już w trakcie dochodzenia mają prawo do informacji, jakie środki zapobiegawcze zostały podjęte w odniesieniu do osoby oskarżonej. Tym bardziej mają prawo wiedzieć, jaki jest wyrok, jak zostaje potraktowany sprawca, jakie zostały na niego nałożone kary.

Co się dziś dzieje ze sprawcami?

To zależy od ciężkości przestępstwa i od rokowania. Spośród tych, wobec których zostały przeprowadzone procesy, średnio jedna trzecia jest wydalana ze stanu duchownego. Później są różnego rodzaju kary i ograniczenia, które mają wykluczyć możliwość pełnienia przez księdza jakiejkolwiek funkcji pastoralnej wobec dzieci i młodzieży.

Pozostawiając go w tej samej parafii?

Z czymś takim nigdy się nie spotkałem. Ksiądz może objąć np. funkcje administracyjne lub posługę w miejscach, gdzie nie będzie miał kontaktu z dziećmi i młodzieżą. Dzisiaj również w Polsce powoli przyjmuje się rozwiązanie, że skazany, ale niewydalony ze stanu duchownego ksiądz otrzymuje szczegółowy „plan bezpieczeństwa" oraz kuratora, który w imieniu przełożonego kościelnego nadzoruje jego przestrzeganie. Jest to praktyka, która będzie się upowszechniać.

Terapia jest obowiązkowa?

Tak, choć jak pani wie, jej skuteczność zależy od tego, czy człowiek współpracuje z terapeutą. To musi być zinteriorizowana decyzja. Terapia jest środkiem naprawczym, zabezpieczającym, a nie karą.

Dlaczego ks. Pawła Kani, skazanego za gwałt na małoletnim, nie znajdziemy w rejestrze pedofilów?

Nie znam kwalifikacji prawnej czynów tego księdza. To pytanie nie do mnie, tylko do Ministerstwa Sprawiedliwości. Publikowanie jawnego rejestru pedofilów było błędem. Tego typu działania nie służą prewencji.

Kościół w Polsce mogą czekać skandale, które wstrząsnęły Kościołem amerykańskim czy irlandzkim?

Niczego bym nie wykluczał, widząc, co nam pokazują sprawy z kolejnych państw. Trzeba się brać do pracy. Przełożeni powinni wiedzieć, zresztą Franciszek to wyraźnie zapowiedział: są instrumenty do działania, a i tolerancja dla tego, co powiększa i pogłębia cierpienie ofiar i wiernych, się skończyła.

W ostatnim liście do wiernych Franciszek komentując kolejne skandale piętnował klerykalizm.

To coś więcej niż tylko klerykalizm w potocznym rozumieniu. To jest kwestia pewnej kultury korporacyjnej, gdzie grupa osób obdarzonych władzą i zaufaniem robi wszystko, żeby nikt nie zabrał im władzy i zaufania. W pewnym sensie się zabezpiecza, przez faktyczną zmowę milczenia, przez ukrywanie. I to stworzyło struktury zła wewnątrz Kościoła, odwróconą skalę wartości. W Irlandii doszła do tego kwestia wzajemnego krycia się: Kościół, policja, powiązania w urzędach sprawiały, że nic się nie przebijało przez zmowę milczenia. Klerykalizm świeckich i samego kleru sprawiał, że powstał mur nie do przebicia.

Zarzuca się polskiemu Kościołowi, że bije się w cudze piersi. Zostali powołani delegaci ds. ochrony dzieci i młodzieży – czyli osoby przeszkolone, które są w każdej diecezji, w każdym zgromadzeniu zakonnym, które w sposób adekwatny do sytuacji, z zapleczem wiedzy, mają zbierać zgłoszenia ofiar księży. Kłopot polega na tym, że delegaci podobno są, ale nie ma z nimi kontaktu.

Brak danych kontaktowych do delegatów na wielu stronach internetowych jednostek kościelnych to tak, jakby strzelać sobie w kolano. Biskupi delegowali ludzi, my ich przeszkoliliśmy, spotykamy się z nimi. Przy każdej okazji przypominam biskupom, że na stronach internetowych diecezji powinny być podane nazwiska delegatów, ich adresy, numery telefonów i podstawowe elementy polityki ochrony, jakie się stosuje w danej jednostce kościelnej. Nie mam jednak mocy sprawczej.

Tylko w 18 diecezjach, na 44 w Polsce, jest podane imię i nazwisko, adres mailowy i numer telefonu delegata.

To powinna być rzecz łatwo dostępna. We wszystkich diecezjach są delegaci. Ale to prawda – w części diecezji i zgromadzeń nie ma ich danych kontaktowych. Większość diecezji i sporo prowincji zakonnych wyznaczyło również duszpasterzy do przeszkolenia, by byli przygotowani, jak pomóc ofierze i jej rodzinie. Na większości stron diecezjalnych nie ma na ten temat informacji.

Co biskupi na to?

Niech ich pani pyta. Ja nie mam odpowiedzi.

Umieszczenie takiej informacji na stronie internetowej zajmuje kilka minut.

Kiedy rozmawiam z księżmi, dziwią się, że w ich diecezji jest duszpasterz przeszkolony w tym zakresie. Gdy dzwonią do mnie z prośbą o poradę, dowiadują się, że mają obok przeszkolonych ludzi.

Przełożeni skierowali ludzi bardzo wrażliwych, umiejących rozmawiać, rozumiejących sytuację osoby skrzywdzonej. To są osoby zupełnie niewykorzystane. Nie rozumiem, dlaczego ich wyznaczono, skoro potem się z nich nie korzysta.

Sprawdziłam, kim są delegaci. W trzech diecezjach delegat, który ma przyjmować zgłoszenia ofiar, i rzecznik prasowy kurii, który ma dbać o jej wizerunek, to ta sama osoba. Nie ma tu zdaniem Ojca konfliktu interesów?

Nie mam na to wpływu. Rozumiem, że być może część tych diecezji mogła mieć problemy kadrowe.

Zdarza się, że numer delegata to równocześnie numer do kanclerza kurii.

Kanclerze to osoby kompetentne, nie mam informacji, by zawodzili jako delegaci.

Wybierając numer delegata, można się dodzwonić do kurii, usłyszeć gwar rozmów, poszukiwanie delegata, przekazywanie słuchawki.

Uczulaliśmy na to bezwzględnie delegatów – kontakt podany do nich powinien być bezpośredni. Ale jak pani widzi, rzeczywistość przerasta nasze obawy.

Byłam przy kimś, kto dzwonił do delegata. Osoba molestowana przez księdza, przeszła terapię, chciała sprawdzić, jak działa system. Od jednego z delegatów usłyszała: „O, a co tam się dzieje?”.

Żadne szkolenie nie zagwarantuje jakości empatii. Mam nadzieję, że delegaci uczą się na błędach.

Inny zaprosił ją na rozmowę do kurii, informując, że będą podczas niej obecni dwaj księża.

Obecność drugiej osoby przy wysłuchaniu zgłoszenia jest rzeczą normalną. Ktoś musi protokołować. Zgłoszenie przestępstwa to nie zwykła rozmowa duszpasterska. Osoba pokrzywdzona ma prawo wybrać miejsce spotkania, może przyjść z kimś bliskim, z psychologiem, prawnikiem – przy kim czuje się bezpiecznie.

Mówił o tym Ojciec podczas szkolenia delegatom?

Oczywiście. Wiedzą, że szkody wyrządzone ofierze mogą być takie, iż utrudnią jej zgłoszenie tej sprawy, i że powinni jej to ułatwić. Że to są rany i szkody, które zostają na długo. Ale tu trzeba ciągłej przemiany.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

O. ADAM ŻAK jest jezuitą, w latach 1996–2002 był prowincjałem Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego, w latach 2003-12 doradzał generałowi jezuitów w sprawach Europy Środkowej i Wschodniej. Od czerwca 2013 r. jest koordynatorem Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży. Od 2014 r. dyrektor działającego przy jezuickiej Akademii Ignatianum w Krakowie Centrum Ochrony Dziecka.

Kardynał solidarny

PIOTR SIKORA

Nazywa się Marx. Reinhard Marx. Jest hierarchą „od zadań specjalnych”.

Podczas uroczystej kolacji po wystąpieniu w ECS w pewnym momencie opuścił swoje miejsce i przysiadł się do gdańskich biskupów pomocniczych. Chciał się dowiedzieć, jak w Polsce wygląda praca sufragana i czy mógłby zainspirować się naszymi doświadczeniami w swojej bawarskiej diecezji. Gdy metropolita Gdańska przerwał swoimi wywodami odpowiedź jednego z zagadniętych biskupów, niemiecki purpurat dyskretnie dał znać tłumaczce, by nadal przekładała biskupom pomocniczym jego pytania, a jemu – ich odpowiedzi, gdyż on naprawdę bardzo chce się czegoś dowiedzieć.

Ta scenka dobrze oddaje charakter i sposób bycia jednego z najważniejszych hierarchów Kościoła. Kard. Reinhard Marx to arcybiskup Monachium i Fryzyngi, przewodniczący Episkopatu Niemiec. Do marca 2018 r. był też przez dwie trzyletnie kadencje przewodniczącym Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej.

Uśmiechnięty i bezpośredni, otwarty na rozmowę i nowe idee, ale też świadomy swojej roli i potrafiący konsekwentnie dążyć do zamierzonych celów nawet wbrew aktualnym układom, korzystając z nieprzeciętnych zdolności organizacyjnych i dyplomatycznych. Przy tym wrażliwy na sprawy społeczne i potrzeby duszpasterskie Kościoła.

Kard. Marx jest jednym z najbliższych współpracowników papieża Franciszka w ramach Rady Kardynałów zajmującej się reformą Kurii Rzymskiej. Prace Rady idą wolno – jak można wywnioskować z nieformalnych wypowiedzi arcybiskupa Monachium – zbyt wolno.

Zdecydowanie większy wpływ kard. Marx wywiera na Kościół powszechny jako lider Kościoła w Niemczech. Pomimo problemów, jakie przeżywa, pozostaje on jednym z najważniejszych Kościołów lokalnych – zarówno ze względu na potencjał intelektualny, jak i organizacyjno-finansowy.

Kard. Marx był jedną z głównych postaci Synodu o Rodzinie. Przyczynił się do interpretacji „Amoris laetitia”, którą w 2017 r. przyjęli niemieccy biskupi, a która jest uważana za jedną z najbardziej „inkluzywnych”, lokalnych interpretacji adhortacji.

Wrażliwość duszpasterska kardynała prowadzi go czasem do działań i wypowiedzi kontrowersyjnych. Np. na przełomie ubiegłego i bieżącego roku w wywiadzie w tak empatyczny sposób wypowiadał się o osobach homoseksualnych, że niektórzy jego słowa zrozumieli jako zgodę na błogosławienie związków osób tej samej płci. A on mówił o towarzyszeniu, indywidualnym rozeznaniu i dawaniu pociechy.

Inną śmiałą inicjatywą niemieckich biskupów, w dużej mierze inspirowaną przez kard. Marxa, była próba wydania dokumentu, który otwierałby możliwość wspólnego pełnego uczestnictwa w Eucharystii przez małżonków należących do Kościoła katolickiego i któregoś z Kościołów protestanckich. Inicjatywa ta napotkała sprzeciw kilku niemieckich biskupów oraz Kongregacji Nauki Wiary. Ostatecznie wybrano dyplomatyczne rozwiązanie: Episkopat niemiecki opublikował nie oficjalne stanowisko, ale swego rodzaju poradnik dla poszczególnych biskupów diecezjalnych, który pomógłby im rozwiązywać ten trudny teologicznie i egzystencjalnie problem. Prawnokanoniczny wilk został syty, a konkretne małżeńskie owce – ocalone.

Największą pasją kard. Marxa jest jednak społeczne zaangażowanie chrześcijan i wspólnoty Kościoła. Chyba najważniejszą swoją książkę zatytułował nieco przewrotnie – i z właściwym sobie poczuciem humoru – „Kapitał”. Analizuje w niej współczesną gospodarkę i ukształtowane przez jej mechanizmy społeczeństwo. Łączy przy tym solidne analizy socjologiczno-ekonomiczne z wizją antropologiczno-teologiczną (stąd wiele znaczący podtytuł: „Mowa w obronie człowieka”). Właśnie ze względu na tę stronę swojej działalności został zaproszony do wygłoszenia w Europejskim Centrum Solidarności wykładu w ramach cyklu „Etyka solidarności”. I właśnie na temat solidarności jako klucza do przyszłości Europy rozmawia z „Tygodnikiem”. ©℗

Jesteśmy od siebie zależni

KARD. REINHARD MARX:

Dysponujemy jasnymi wynikami badań – statystyki przestępczości w społeczeństwie zasilonym dużą liczbą migrantów nie rosną, lecz maleją. Mówienie o zagrożeniu w tym kontekście to kłamstwo.

GRZEGORZ MEHRING / ARCHIWUM ECS

W Europejskim Centrum Solidarności, Gdańsk, 30 sierpnia 2018 r.

PIOTR SIKORA: W wystąpieniu w Gdańsku mówił Ksiądz Kardynał o solidarności jako kluczu do przyszłości Europy, świata i Kościoła. Ale także o tym, że trudno być solidarnym ze wszystkimi.

KARD. REINHARD MARX: Tak, ponieważ na różne sposoby jesteśmy odpowiedzialni za różnych ludzi.

Takie ujęcie bywa jednak wykorzystywane do ograniczania zasięgu naszej solidarności. W polskim dyskursie publicznym można np. spotkać się ze stwierdzeniem, że skoro pierwszym naszym kręgiem solidarności są Polacy, to nie możemy przyjmować uchodźców – są oni bowiem zagrożeniem dla tej solidarności.

Myślę, że kategoria solidarności w pierwszym rzędzie opisuje nie moralny postulat, lecz rzeczywistość. Choć jest też moralnym wyzwaniem, to przede wszystkim oznacza rzeczywistość wzajemnej zależności. Jako ludzie jesteśmy razem na tej planecie i wpływamy na siebie nawzajem – na poziomie ekonomicznym, a nawet klimatycznym.

To jest rzeczywistość współzależności i solidarności. Ta solidarność nie kończy się na granicy Polski czy Europy. To, co się u nas dzieje, jest konsekwencją politycznych napięć w innych krajach, zwłaszcza biednych. Podobnie gdy Stany Zjednoczone czy Chiny podejmują decyzje polityczne, dotykają one innych, także nas. Solidarność oznacza, że jesteśmy połączeni, choćby przez wspólne zasoby naturalne, takie jak woda.

To dość bierne ujęcie solidarności.

Ale drugą sprawą, jaka przed nami stoi, jest wyzwanie, co możemy zrobić. I tu oczywiście wchodzą w grę kręgi odpowiedzialności. Nie jesteśmy oczywiście w stanie zrobić czegoś dla każdej osoby na świecie, ale nie możemy powiedzieć: „Jestem odpowiedzialny tylko za swój dom, nie obchodzi mnie, co dzieje się z innymi". To nielogiczne, bo – jak powiedzieliśmy – jesteśmy z tymi innymi połączeni. Logiczna będzie raczej refleksja o tym, co razem możemy zrobić.

Co jednak, jeśli inni jawią się jako zagrożenie dla tych, wobec których jesteśmy odpowiedzialni w pierwszym rzędzie? Niektórzy w Polsce mówią: popatrzcie na Niemców. Przyjęli tylu uchodźców i teraz mają problem.

To nie jest prawda. Od lat mamy w Niemczech imigrantów. W latach 70. przyjechało wielu Turków. Niemiecka ekonomia potrzebowała pracowników, byli chętnie widziani, nasz poziom życia w rezultacie wzrósł. Za pracownikami przyjechały ich rodziny – i większość się zintegrowała. Kolejna fala imigrantów płynęła z Europy Wschodniej, nie z Afryki czy krajów arabskich. Ci zaczęli masowo przyjeżdżać od czasu kryzysu uchodźczego w 2015 r. I nasza reakcja była jasna. Decyzja rządu, by przyjąć ludzi w potrzebie, ma wsparcie Kościoła. Jako chrześcijanie nie mogliśmy powiedzieć rządowi, by nie był zbyt idealistyczny czy zbyt chrześcijański i nie przyjmował uchodźców.

Nie możemy oczywiście przyjąć wszystkich. Musimy więc poszukiwać sposobów, jak zorganizować solidarność w Europie. Między innymi tak, by nielegalna imigracja zmieniła się w legalną. Trzeba też badać, jakie są główne przyczyny migracji. Ale, muszę to podkreślić, dysponujemy jasnymi wynikami badań: statystyki przestępczości w społeczeństwie zasilonym dużą liczbą migrantów nie rosną, lecz maleją. Mówienie o zagrożeniu w tym kontekście to kłamstwo.

Wielu przeciwników przyjmowania uchodźców w Polsce przekonuje jednak, że jest to nie tyle problem ekonomiczny, ile zagrożenie dla tożsamości kulturowej i religijnej.

Nie! Najważniejsze jest pytanie: czy są to ludzie w potrzebie? To musi stanowić punkt wyjścia. Co z uchodźcami wojennymi? Jak moglibyśmy im powiedzieć: wracajcie na Morze Śródziemne? Owszem, musimy myśleć także o tym, jak zorganizować pomoc w krajach sąsiadujących z miejscami ogarniętymi wojną: w Libanie, w Jordanii. Jest też inna sprawa: nie mamy jasnej idei, czym jest, a czym nie jest imigracja z punktu widzenia prawnego. Ale pierwszorzędnym chrześcijańskim pytaniem jest: co robić, gdy u naszych granic pojawiają się ludzie, którzy potrzebują pomocy?

Co więc mamy robić?

Zawsze podkreślam pięć istotnych punktów: po pierwsze, każdy człowiek, który przybywa na granicę Europy, musi być traktowany po ludzku. Po drugie, trzeba wyjaśnić jego sytuację: czy ma prawo uzyskać azyl, czy nie. I to w uczciwym postępowaniu, a nie z założeniem, że go nie chcemy. Po trzecie, musimy zrobić wszystko, by ludzie nie tonęli w Morzu Śródziemnym. Po czwarte, nie możemy odesłać z powrotem nikogo, kto byłby narażony na prześladowanie albo wojnę. Po piąte, musimy pomagać w rozwoju krajom, z których pochodzą imigranci.

Ale to nie ja jestem politykiem. Kościół określa ogólne wytyczne, a zadaniem polityków jest szukanie konkretnych rozwiązań. Potrzebnych jest wiele rozmów – także, a może przede wszystkim, w krajach, które podchodzą do problemu przyjęcia uchodźców z rezerwą. Warto się zastanawiać, na ile uczestniczą one w rozwiązywaniu problemów. Bo nie mogą powiedzieć „to nie nasz problem". ©℗

Rozmawiał PIOTR SIKORA

„Solidarność – pojęcie kluczowe dla przyszłości Europy i świata" – to tytuł wykładu, który **KARD. REINHARD MARX** wygłosił w ECS w ramach cyklu „Etyka solidarności. Refleksje w rocznicę porozumień sierpniowych".

IRINA KALASHNIKOVA / SPUTNIK / AFP / EAST NEWS

Bazylika Najświętszego Serca, Montmartre, Paryż, Wielki Piątek, 2017 r.

Wolność, równość, przeżywanie

ANNA GARYCKA

Czy Kościół w Europie umiera? Czy on również przypomina „niepłodną babcię", jak nasz kontynent nazwał papież Franciszek? Poszukując odpowiedzi, pisaliśmy już o Włoszech, Irlandii i Czechach. Dziś – o Kościele we Francji.

Stylowe i rozpoznawalne – Francuzi na Światowych Dniach Młodzieży w Krakowie mieli takie same koszulki, bretońskie, marynarskie. Grupa 35 tys. katolików przybyłych z Francji na spotkanie z papieżem stanowiła jedną z najliczniejszych. Trudno nie dostrzec w niej wizytówki współczesnego Kościoła francuskiego.

Gdy w 1997 r. Dni miały odbyć się po raz pierwszy we Francji, nie bardzo wierzono w ich sukces – w sierpniu Paryż pustoszeje. Milion wiernych był zaskoczeniem. Obrazy medialne odegrały wtedy ważną rolę, stroje liturgiczne zaprojektował znany kreator mody Jean-Charles de Castelbajac. Powiedzenie „nie szata zdobi człowieka" brzmi po francusku dosłownie „nie habit czyni zakonnika".

Zrzucanie sutann

Bez sutanny, bez koloratki, jedynie z widocznym krzyżem przyjmuje nas ks. Bertrand Bousquet, były proboszcz kilku parafii paryskich i autor wspomnień „Prêtre de Paris. Une vie en Église". Bousquet; historyk z wykształcenia, przypomina czas reform posoborowych, jeden z momentów przełomowych wiele mówiących o tutejszym Kościele. To czas, który zaowocował niezwykłym rozkwitem i bogactwem inicjatyw, ujawniając jednocześnie tendencje skrajne. – Ja krzyż nosiłem zawsze – mówi ks. Bousquet – ale wielu księży nie nosiło wtedy żadnej oznaki stanu duchownego. Zaraz po Soborze Watykańskim II we Francji powiał libertyński wiatr rewolucji maja 1968 roku, który w Kościele pociągnął wielu w niedobrym kierunku.

Lekceważenie wypracowanej przez wieki harmonii między treścią a formą, np. zamiana organów na gitarę czy na tam-tamy, to zawsze mniejszy problem niż ignorowanie wertykalnego wymiaru Kościoła w nowych propozycjach duszpasterskich. Ale z takich inicjatyw niewiele pozostało.

Wspólnota Emmanuel, charyzmatyczna grupa modlitewna powstała z inicjatywy Martine Catty i Pierre'a Goursata w latach 70., jest przykładem tych ruchów posoborowych, które przetrwały próbę czasu. Obecnie kapłani ze wspólnoty wyświęcani są w trzech największych diecezjach i metropoliach Francji – Paryżu, Bordeaux i Lyonie. – To właśnie w tych centrach dostrzega się największe wyzwania nowej ewangelizacji, co oznacza z drugiej strony, że porzuca się tereny wiejskie

– analizuje Clémence Houdaille, dziennikarka katolickiego dziennika „La Croix".

Prawdziwym problemem jest stosunkowo niewielka liczba powołań kapłańskich. Najprężniejsza dziś wspólnota, z której pochodzi większość nowo wyświęconych księży, to wspólnota braterstwa kapłańskiego Saint-Martin. Brak duchowieństwa najbardziej daje się we znaki właśnie na wsi, gdzie jeden duchowny ma czasem pod opieką kilkanaście parafii. Wielu zadaje sobie pytanie, jak utrzymać życie religijne w rozsianych po całym kraju kościołach, które stanowią przecież dziedzictwo narodowe. W Bretanii dowozi się wiernych z kilku okolicznych wsi na niedzielną mszę w centralnym miasteczku.

Księża robotnicy

Kościół francuski to Kościół działań wspólnotowych, więc pokusa proboszcza, by być papieżem swojej parafii, jest znacznie ograniczona. – Kościół nie jest dyktaturą, ale nie jest też demokracją. Jego funkcjonowanie opiera się na synodalności – przypomina ks. Bousquet. Synodalność przejawia się m.in. w działalności rad parafialnych, których prezesem pozostaje zawsze proboszcz, ale w których osoby świeckie mają rzeczywisty udział.

Soborowy postulat równości pomiędzy członkami Ludu Bożego, upodobnienia się do świeckich, znalazł wyraz nie tylko w dystansie do noszenia sutanny. Trudność przejawiła się np. w pojmowaniu nowej ewangelizacji jako porzucenia dotychczasowych tradycyjnych praktyk. Kiedy ważne momenty w życiu religijnym – np. uroczystości parafialne czy pierwsze komunie – uznano za przestarzałe, z Kościoła odeszła duża grupa wiernych praktykujących ze względu na tradycję.

Inna tradycja francuska to interpretacja Ludu Bożego jako ludu robotniczego. W latach powojennych powstała we Francji instytucja księży robotników – chcąc być bliżej wiernych, księża poszli wtedy do fabryk pracować jako robotnicy, kierowcy autobusów... Na tych łamach pisał o tym w 1949 r. w swoim debiucie młody ksiądz Karol Wojtyła. Eksperyment miał swoje wzloty i upadki, ostatecznie zakończył się porażką. Ujawnił istniejące w Kościele francuskim zainteresowanie marksizmem, ale był też, jeszcze przed Soborem Watykańskim II, odzwierciedleniem intuicji, że Francja wymaga nowej ewangelizacji i pracy u podstaw.

Licząc od chrztu Chlodwiga I w 496 r., Kościół francuski ma długą i burzliwą historię. W okresie posoborowym niektórzy uznali, że francuskie korzenie są i muszą pozostać wyłącznie chrześcijańskie, co miało się wyrażać afirmacją tradycji: mszą odprawianą po łacinie i tyłem do wiernych, śpiewami gregoriańskimi, skrupulatnie noszonym ubiorem kapłańskim. Ostatecznie doprowadziło to do schizmy lefebrystów, związanych z francuską skrajną prawicą, którzy odrzucili reformy soborowe.

Styl wersalski

Wybór Jeana-Marie Lustigera, syna żydowskich emigrantów z Polski, na arcybiskupa Paryża w 1981 r. i wyniesienie go do godności kardynalskiej to wydarzenie, którego nie sposób pominąć. Właśnie kard. Lustiger przy okazji paryskich Światowych Dni Młodzieży przypomniał biskupom ich rolę nauczycieli wiary (hierarchowie głosili młodzieży katechezy), a stworzony przez niego model seminarium stał się wzorem. Klerycy mieszkali w domach po kilku wraz z przełożonym i taki sposób życia wspólnotowego mieli potem przyjąć prezbiterzy. Kard. Lustiger nadał pewien styl kapłaństwu we Francji, położył akcent na rozwiniętą formację intelektualną, przywrócił znaczenie sutanny.

Ks. Alexis Leproux należy do pokolenia wykształconego w seminarium Lustigera. W przeciwieństwie do starszego pokolenia chodzącego „po cywilu" nosi na co dzień koszulę kapłańską z koloratką. Wzorując się na własnej formacji seminaryjnej założył grupy inicjacji chrześcijańskiej EVEN, które proponują młodym pogłębianie znajomości Słowa Bożego. – Chcę się dzielić bogactwem teologicznym i duchowym, które otrzymałem w seminarium – mówi.

Duch ubóstwa

O doświadczeniu tutejszego Kościoła ubogiego opowiada ks. Marian Faleńczyk, dyrektor Domu Studenta w Arcueil, duszpasterz środowiska polonijnego przebywający we Francji od ponad 30 lat. Współpracując jako kapłan z diecezją Créteil, uczestniczy w spotkaniach duchownych i podkreśla prostotę życia francuskich księży. Również biskupi mają najniższe uposażenie krajowe pochodzące wyłącznie z datków wiernych. Największe wydatki pochłania czasem transport, księdza na prowincji nie zawsze stać na utrzymanie samochodu.

Nacisk na działalność społeczną w Kościele przyniósł paradoksalne rezultaty. Współczesna państwowość francuska uformowała się w dużej mierze na solidarności społecznej i edukacji. Kościół w masowej skali i przez długi czas prowadził szkoły, angażował się w ubezpieczenie społeczne i służbę zdrowia. Po ustawie o rozdziale państwa od Kościoła z 1905 r. nastąpiła wymuszona sekularyzacja instytucji chrześcijańskich, ale zachowały one pewne elementy kultury chrześcijańskiej. Ks. Faleńczyk: – Cała etyka społeczna we Francji przesiąknięta jest duchem chrześcijańskim. Wrażliwość społeczna, uczciwość zawodowa wynikają w dużym stopniu z Ewangelii. O ile w Polsce mamy etykę z akcentami narodowymi, o tyle we Francji – etykę z akcentami państwowymi.

Język dyplomacji i zaangażowanie

Francja jest republiką laicką, a katolicy francuscy to obywatele aktywni społecznie. W pomoc uchodźcom zaangażowane są całe parafie i wiele stowarzyszeń religijnych. Ważna jest także praca intelektualna. Wśród teologów kładących podwaliny pod reformy soborowe dominowali Francuzi – dominikanie Yves Congar i Marie-Dominique Chenu oraz jezuici Henri de Lubac i Jean Daniélou. Studia teologiczne ukończyło także wielu współczesnych francuskich naukowców parających się różnymi dziedzinami.

Prezydent Emmanuel Macron, zaproszony przez episkopat do Collège des Bernardins, przypomniał niedawno sens doktryny laickiej jako tej, która daje prawo udziału w debacie publicznej nie tylko poprzez udział w wyborach, ale także przez wyrażanie opinii w przestrzeni publicznej. Odniósł się w ten sposób do masowych demonstracji przeciw zalegalizowaniu w 2012 r. tzw. małżeństwa dla wszystkich. Według Macrona demonstranci nie zostali należycie wysłuchani. – Pośród organizatorów manifestacji było wielu katolików, ale Kościół francuski jako instytucja nie zajął oficjalnego stanowiska – przypomina Clémence Houdaille z „La Croix".

W laickości *à la française* państwo pozostaje neutralne wobec religii, ale też religie nie mogą niczego narzucać państwu. Problemem dla republiki jest znalezienie odpowiedniego rozmówcy w kwestiach wyznaniowych, który reprezentowałby daną religię. ↦

Emmanuel Boudet, doktor prawa świeckiego i kanonicznego oraz proboszcz na pół etatu, tłumaczy: – Katolicyzm ma swojego reprezentanta w postaci instytucji Kościoła, podobnie jest z judaizmem czy protestantyzmem. Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana w przypadku islamu czy nowych ruchów ewangelickich, bo nie wiadomo, z kim państwo ma rozmawiać.

Manifestacje przeciw wspomnianej ustawie były według niego wyrazem protestu wobec pewnej koncepcji społeczeństwa: – Chodziło o obronę rodziny jako instytucji opartej na heteroseksualnym małżeństwie. Ustawa o małżeństwach dla osób tej samej płci rodzi pytanie, czy wszystkie sposoby reprodukcji człowieka są sobie równe.

Kwestie prokreacji wspomaganej medycznie czy eutanazji to tematyka, która jest w centrum zainteresowań katolików we Francji. W debatę na temat bioetyki zaangażowana jest Marie-Thérèse Hermange, była senator i deputowana Parlamentu Europejskiego. W ubiegłym roku podjęła studia teologiczne. Była przeciwna małżeństwu dla wszystkich, ale podkreśla, by nie mylić tej postawy z homofobią: – Kościół jest otwarty na osoby homoseksualne i jest dla nich przestrzenią, w której mogą liczyć na wysłuchanie. Myślę, że najważniejszą w życiu kwestią jest kwestia Boga i odkrycie, czym naprawdę jest chrześcijaństwo.

Chrześcijaństwo non-fiction

Liczbę praktykujących Francuzów szacuje się dziś na 4 proc. społeczeństwa. Ks. Leproux patrzy na statystyki z innej perspektywy: – Kościół jest dziełem Boga. Nie chodzi o proporcje socjologiczne, ale o podstawowe pytanie, czy Bóg istnieje, czy nie. Można być małą liczebnie grupą i czynić wolę Boga albo bardzo liczną, która Boga ignoruje.

Patrząc z perspektywy laickiego społeczeństwa, dynamika Kościoła we Francji jest widoczna na przykładzie wspólnot powstałych z inicjatyw katolickich, ale nie *stricte* religijnych. Np. Lazare to wspólnoty proponujące mieszkanie osobom bezdomnym. Ich założyciel Etienne Villemain mówi „Tygodnikowi": – Czy my, chrześcijanie, robimy to, co do nas należy? Czy rozsiewamy wokół nas miłość? Chrześcijanin powinien być kanałem, przez który przepływa miłość Boga do świata.

Podobną formą życia wspólnego z ludźmi wykluczonymi ze społeczeństwa są wspólnoty Arki, gdzie razem mieszkają osoby sprawne i niepełnosprawne intelektualnie. Założone przez Jeana Vaniera w 1964 r. we francuskim Trosly, są dziś obecne na całym świecie. Iwona Głowacka od 13 lat mieszka i pracuje jako kierownik instytucji medyczno-socjalnej we wspólnocie Arka w Compiègne koło Trosly. Doświadczenie Kościoła we Francji to dla niej przede wszystkim doświadczenie braterstwa, ale zwraca też uwagę na inną cechę, którą uważa za jego mocną stronę, czyli transparentność. – Przy okazji obchodów 50-lecia Arki zgłosiło się kilka kobiet, które oskarżyły o wykorzystywanie seksualne wtedy już nieżyjacego dominikanina o. Philippe'a Thomasa, zaangażowanego w Arkę od jej początków. Zbadano i uznano jego winę, a całą sprawę ujawniono, traktując jako bolesną i niełatwą część historii wspólnot – mówi „Tygodnikowi".

Kilka lat temu do Trosly przyjechał pisarz Emmanuel Carrère. Swoją książkę „Królestwo", poświęconą początkom chrześcijaństwa, ale i osobistemu kryzysowi religijnemu, kończy opisem rekolekcji w Arce i doświadczenia, jakie tam stało się jego udziałem. To właśnie w takich środowiskach osoby niewierzące mogą odkryć, czym jest Kościół.

Rewolucja francuska zdziesiątkowała duchowieństwo katolickie. Współczesna Francja wciąż znajduje się pod dużym wpływem nurtów oświeceniowych, co przekłada się na dystans do Kościoła. Z drugiej strony, to także kraj, w którym notuje się dużo konwersji i gdzie od lat 50. powszechna jest instytucja katechumenatu dorosłych – w ciągu ostatniego roku chrzest przyjęło 4258 osób dorosłych. Może renesans chrześcijański to odkrywanie wiary od zera?

W Kościele nad Sekwaną liczy się autentyczność przeżycia. To ono może zaspokoić potrzeby mocno zsekularyzowanego społeczeństwa, które zdaje się wołać jak Ben Mazué w swojej piosence: „Uszlachetnij mnie, wznieć zapał, odpowiedz mi, zabierz mi strach, ponieś mój krzyż choć przez kilka godzin, i daj mi wiarę, zabierz strach...". Artysta nazwał swój utwór psalmem laickim.

© ANNA GARYCKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PREMIERA

Już w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne
„Tygodnika Powszechnego"

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.
W dziale „Polska jest kobietą" oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości.
Już w salonach prasowych oraz w e-wydaniu

SZYMON

Hołownia:
Maraton zamiast skoku wzwyż

Podróż po polskich drogach w przededniu wyborów samorządowych to logistyczne wyzwanie. W co drugim miasteczku na gwałt zmienia się nawierzchnię, gdzie spojrzysz, układa się chodniki, ścieżki rowerowe, remontuje parki, sprząta. Z tekstu w „Gazecie Wyborczej" dowiedziałem się, że na fali kampanii inwestycje lokalne wystrzeliły w górę o prawie 90 proc. i że to one niemal w 100 proc. odpowiadają za wygenerowany w drugim kwartale tego roku wzrost inwestycji w skali kraju, którym chwali się rząd.

Czytałem ostatnio rozmowy z paroma długoletnimi włodarzami polskich miast. Przekonują, że z ich punktu widzenia optimum to trzy kadencje. W pierwszej uczysz się miasta, w drugiej rzeczywiście zaczynasz coś robić, zamiast rozglądać się za kolejnym zajęciem. Jedna ze znanych mi osobiście tegorocznych kandydatek na burmistrza twierdzi, że jej obecnie urzędujący konkurent od lat ma prostą strategię: przez trzy lata nie robi nic i odkłada na to, żeby w roku czwartym powalczyć o reelekcję fontanną inwestycji.

Z pewnością nie jest tak wszędzie, ale jakiż to wspaniały punkt wyjścia do rozważań o tym, jak sprała nam mózgi szkoła, skoro na tylu płaszczyznach życia powtarzamy ten sam schemat, jaki ćwiczy Jaś pod koniec każdego semestru, roku i przed każdą klasówką. W tak zwanym międzyczasie jest życie. Ale kilka razy w roku trzeba wykonać nagłe spięcie: kicnąć przez poprzeczkę i później znów ma się względny spokój. Polityk raz na cztery lata przeżywa swoje tarło, siejąc wkrąg programowe feromony, wabiąc elektorat wyznaniami, że kocha go miłością pierwszą. W Kościele – zauważyłem – nierzadko zdarza się jazda od obchodu do obchodu: od rocznicy koronacji obrazu do odpustu połączonego z biskupią wizytacją, od bierzmowania do bierzmowania, od jednego liczenia wiernych do kolejnego.

I myślenie to zstępuje w dół. Ileż to razy rozmawiałem z polskimi wyborcami pochłoniętymi swoimi życiowymi sprawami, którzy elekcje traktują (jeśli już) jak kontrolną wizytę u specjalisty, coś, co raz na jakiś czas trzeba zrobić – a później wraca się do firmy, rodziny, wakacji. Iluż to z nas – zdobądźmy się na uczciwość – tak samo przeżywa swoje uczestnictwo w Kościele? 60 minut raz w tygodniu, a pomiędzy mszami – siedmiodniowa przerwa na życie. Czuję na karku dreszcz zażenowania, gdy myślę o truizmie, który teraz padnie: będzie źle, jeśli nie przestawimy życia ze skoku wzwyż na maraton. W tamtym trybie nic się nie uda: ani związek, ani państwo, ani wiara.

Bo żebyśmy nie wiem jak się starali narzucić życiu rytm kadencyjno-eventowy, ono i tak zachowa swoją autorską, stałą dynamikę. Burmistrz czy prezydent snujący empirejskie wizje na pół roku przed wyborami, a trzy lata później lejący tu czy tam asfalt i sadzący sto drzewek – z pewnością nie przeczytał raportu „Polska średnich miast" autorstwa prof. Przemysława Śleszyńskiego (a zamówionego przez Klub Jagielloński; raport można pobrać za darmo z ich strony).

Prof. Śleszyński udzielił też ostatnio obszernego wywiadu „Wyborczej", a obraz Polski pozawarszawskiej i pozakrakowskiej, jaki się z niego wyłania, będzie wymagał nowego poukładania naszego myślenia o kraju. Po pierwsze: dane GUS są przeszacowane, już teraz nie ma nas w kraju 38,5 mln, a 36 mln. Po drugie: za 30 lat, zdaniem profesora, będzie nas najwyżej 30 mln. Po trzecie: nieuniknione wyludnienie (w tej chwili wyludnia się 70 proc. powierzchni Polski, w 2050 r. ma to być 90 proc.) da koszmarnie w kość miastom liczącym 50-200 tys. mieszkańców (Łomżom, Zamościom, Chełmom), inwestującym sporo w infrastrukturę, której za chwilę nie będzie miał kto utrzymać. Śleszyński ma konkretne propozycje, jak przeprowadzić „deglomerację" kraju, rozsiać ludzki i gospodarczy kapitał szerzej, co mogłoby zwiększyć siłę całości.

Ja spotkałem ostatnio przedstawicieli inicjatywy (która chyba też stanie do wyborów), poddającej pod rozwagę przeprowadzenie swoistej federalizacji Polski (w oparciu o województwa), skoro większość podziałów (ze światopoglądowymi włącznie) idzie u nas wciąż według mapy rozbiorowej. Ten ruch ma najlepsze, jakie słyszałem w wolnej Polsce, hasło: „Zgoda. Jesteśmy różni". To wymagałoby jednak horyzontu wykraczającego poza sen o wygraniu kolejnej kadencji, którego nasza klasa polityczna nie posiada. Byłaby zdolna, gdybyśmy ją do tego zmusili, ale mamy inne ważne zajęcia. Zamiast rzetelnych majstrów słuchamy kieszonkowych zbawców, a gdy na rady majstrów będzie już za późno – nasza jedyna nadzieja jak zwykle będzie w Zbawcy. Ojcze ratuj, Ojczyzna się wali, potrzeba narodowego zrywu i nowenny. Jak zwykle.

Z Kościołem nie jest inaczej. W katolickich mediach odtrąbiono właśnie wielki sukces: do seminariów zgłosiło się o 45 kandydatów więcej niż rok wcześniej. A więc nieprawda, że mamy kryzys! Opatrzność zesłała imprimatur kierunkowi wyznaczonemu przez nasz Episkopat. Polska nie tylko nauczy Europę jeść sztućcami, ale ją zrechrystianizuje! Kleryków na pierwszym roku mieć teraz będziemy 622. Rok temu było ich 577. W 2012 było ich 832. W 2007 – 835. W 2004 – 1400. Długofalowy trend na razie jest więc wyraźnie spadkowy, choć zdarzają się odchylenia.

Piszę to bez satysfakcji. Doskonale wiem, jak bardzo trzeba dziś dobrych księży w polskim Kościele – Kościele, w którym liczba kleryków wzrosła o kilkudziesięciu, ale który traci świeckich. Odchodzą ze wspólnoty (nie zawsze formalnie, częściej faktycznie), bo tracą zaufanie do instytucji, która nie może skutecznie uporać się ze swoimi dewiantami – przestępcami. Która, jak ma to miejsce w Polsce, w zbyt wielu miejscach zamienia się w dział PR partii i rządu (patrz ostatnie kurioza w rodzaju „zaślubin Kościoła z TVP" urządzane przez abp. Głódzia). W której kardynał jeżdżący na rowerze i żyjący z bezdomnymi jest sensacją.

Bycie chrześcijaninem, podobnie jak bycie Polakiem, to przygoda na życie, na kadencję trwającą (jak dobrze pójdzie) siedem albo osiem dekad. Przed nami prosty wybór: czas wyjść z mentalności ucznia klasy pierwszej, albo na zawsze już, godząc się jednak z tego konsekwencjami, na tym poziomie pozostać. ©

Theresa May na pokazie lotniczym w Farnborough, 16 lipca 2018 r.

PANI PREMIER TAŃCZY

Za pół roku Wielka Brytania ma opuścić Unię Europejską, tymczasem nadal nie ustalono warunków brexitu. W kraju rośnie niepewność. Niepewna jest też przyszłość Theresy May.

PATRYCJA BUKALSKA Z HRABSTW BERKSHIRE (ANGLIA) I FIFE (SZKOCJA)

Elie, małe rybackie miasteczko na wschodnim wybrzeżu Szkocji, wydaje się już żegnać z letnim sezonem. Parę osób przechadza się po ślicznej piaszczystej plaży, kilka szczęśliwych – i mokrych od morskiej wody – psów, jeden śmiałek pływający z dala od brzegu... Przed wiatrem i przelotnym, choć intensywnym deszczem można się schronić w jedynej otwartej kawiarni.

Jest sennie, spokojnie. Z dala od brexitowych wstrząsów, odczuwalnych zarówno w odległym Londynie, jak też w nieco bliższym Edynburgu, stolicy Szkocji.

A jednak! W sklepie z artykułami wystroju wnętrz i pamiątkami ktoś wykazał się poczuciem humoru. „Brexit! – napisał kredą na tablicy przed sklepem. – Możemy to naprawić. Mamy wielki asortyment klejów, narzędzi, farby i środków do udrażniania rur".

Wskaźniki szczęścia

Ani sklejenie podzielonego wizją brexitu narodu, ani udrożnienie tkwiących w impasie negocjacji między Londynem i Brukselą nie jest teraz łatwe. Jednak Brytyjczycy wydają się radzić sobie z mnożącymi się znakami zapytania i niejasną perspektywą na przyszłość nadzwyczajnie dobrze.

W pierwszym roku po brexitowym referendum tzw. wskaźnik szczęścia wśród Brytyjczyków nieco nawet wzrósł i wynosił 7,52 na 10 pkt. (wzrósł głównie w Anglii, w pozostałych częściach Zjednoczonego Królestwa – Irlandii Północnej, Walii i Szkocji – pozostał taki sam). W kolejnym okresie, do grudnia 2017 r., znów podskoczył, choć nieznacznie: do 7,53 pkt. Tym razem zmianę na lepsze odczuwano głównie w Szkocji. Wprawdzie w pierwszym okresie po referendum właśnie tam wzrósł tzw. odczuwany poziom niepokoju, ale obecnie wynosi 2,90 pkt., co jest nawet ciut niższe od średniej brytyjskiej (wynosi ona 2,91 pkt.).

Chciałoby się przywołać znane brytyjskie powiedzenie: „*Keep calm and carry on*" (Zachowaj spokój i rób swoje). Jednak obraz kraju na pół roku przed marcem 2019 r. – gdy zgodnie z unijnym prawem (tj. dwa lata od zgłoszenia takiej woli przez Londyn do Brukseli) powinien puścić Unię Europejską – jest bardziej skomplikowany.

Szkockie rozdarcie

Miasto Dundee od spokojnego Elie dzieli niespełna 50 km. W połowie sierpnia ulicami Dundee przeszło kilkanaście tysięcy zwolenników szkockiej niepodległości. Wcześniej podobnie licznie maszerowali oni w Inverness i Glasgow, dwa tygodnie później zaś, w pierwszy wrześniowy weekend, w niewielkim Dunfermline było ich kilkuset.

Jednak nie o liczby i częstotliwość tu chodzi, lecz o fakt, że dla sporej części Szkotów idea suwerennej i niepodległej Szkocji wcale nie umarła wraz z porażką w referendum z 2014 r. (za pozostaniem w Wielkiej Brytanii opowiedziała się wtedy niewielka, ale większość: 55 proc.).

Potem, w 2016 r., w referendum w sprawie brexitu większość Szkotów opowiedziała się z kolei za pozostaniem w Unii, i to potężną różnicą głosów: „za" głosowało aż 62 proc. uprawnionych, podczas gdy brexit poparło tylko 38 proc. Dało to nowy argument zwolennikom przeprowadzenia kolejnego referendum niepodległościowego, którzy nie chcą, aby Londyn dłużej za nich decydował. Ale czy takie głosowanie się odbędzie? A jeśli tak, to kiedy?

Referendum wciąż jest jednym z postulatów Szkockiej Partii Narodowej (SNP), która sprawuje władzę w strukturach lokalnej autonomii, ale jak dotąd nie wyraża na nie zgody Londyn. Niezmiennie podzieleni są też Szkoci. Ostatnie sondaże wskazują, że wizja brexitu zwiększa odsetek zwolenników secesji Szkocji (47 proc. do 43 proc.).

Ale prof. John Curtice – politolog znany z trafnych prognoz wyborczych – podkreśla, że i tak szkockie preferencje dotyczące suwerenności zmieniły się minimalnie.

– Czy to się komuś podoba czy nie, w 2014 r. Szkoci wybrali utrzymanie unii z Londynem – mówi „Tygodnikowi".

– Referendum z 2014 r. nie zamknęło sprawy niepodległości. Brexit znów postawił ją w centrum debaty i wywołał zmianę w opinii publicznej, choć nieznaczną – zaznacza w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Nicola McEwen z Uniwersytetu w Edynburgu. – Natomiast wśród wielu brexitowych niepewności jest i ta: co to będzie oznaczać dla Szkocji?

Może jednak nowe referendum? – Zawsze myślałam, że kolejne referendum jest prawdopodobne. Ale nie mam pojęcia, kiedy mogłoby się odbyć, raczej nie przed kolejnymi wyborami w Szkocji. No i rząd brytyjski nie będzie tym razem tak przyjaźnie do tego pomysłu nastawiony jak poprzednio – mówi prof. McEwen.

Prof. Paul Cairney, politolog z Uniwersytetu w Stirling, również uważa, że drugie szkockie referendum jest prawdopodobne. Jednak jego zdaniem najpierw ludzie muszą odczuć brexit jako coś realnego i wiedzieć o nim więcej. – Na razie jest nadal abstrakcją – mówi „Tygodnikowi". – Jeśli to się zmieni, zmieni się też zainteresowanie ideą niepodległości.

Szkockie łamigłówki

Ale choć główna linia podziału w Szkocji przebiega wzdłuż osi „niepodległość od Wielkiej Brytanii – pozostanie w Wielkiej Brytanii", to jednocześnie ta oś nie pokrywa się z osią brexitową.

Dominująca tu SPN opowiada się za pozostaniem w Unii. Mimo to, jak wskazuje prof. Cairney, wielu zwolenników niepodległości Szkocji głosowało za brexitem. Z kolei prof. McEwen uważa, że ważny jest też podział pokoleniowy: – Starsi wyborcy, zwłaszcza po 65. roku życia, bardziej niż młodzi są skłonni popierać pozostanie Szkocji w Wielkiej Brytanii i zarazem wyjście z Unii. Niemniej większość Szkotów, również w tej grupie wiekowej, głosowała przeciw brexitowi.

Pytanie – jedno z licznych – brzmi, jak te preferencje mogą się zmieniać w zależności od przebiegu brexitu. Bo choć sprzeciw nie musi automatycznie napędzać obozu niepodległościowego, to jednak – jak sądzi prof. Cairney – zwolennicy secesji mogliby to wykorzystać do odświeżenia swojej narracji: sprzeciwiając się opuszczeniu Unii, mogą podkreślać, że ich ruch jest proeuropejski i otwarty, a nie, jak zarzucają im przeciwnicy, nacjonalistyczny i ciasny.

Czy więc ci, którzy w 2014 r. głosowali przeciw niepodległości, w związku z brexitem mogliby ją teraz poprzeć? – To zależy od tego, jak potoczyłaby się wcześniejsza debata. Jeśli skupimy się na przekazie, że jedna społeczność podejmuje decyzję w imieniu drugiej, to tak, poparcie dla niepodległości się wzmocni. Ale jeśli na negatywnych skutkach zmiany ustrojowej, wtedy wzmocni się sprzeciw wobec secesji – mówi prof. Cairney.

Mimo wszystko symptomy żywotności ruchu niepodległościowego widać wyraźnie: przed domami powiewają błękitne *saltire* – szkockie flagi z krzyżem św. Andrzeja, a marsze zwolenników secesji odbywają się regularnie. Rozplanowane są już na kolejne miesiące: w październiku maszerować ma Edynburg. Organizatorzy z ruchu All Under One Banner deklarują, ↦

BEN STANSALL / AFP / EAST NEWS

↦ że będą wychodzić na ulice, „dopóki Szkocja nie będzie wolna”.

Warto też odnotować pewien szczegół: gdy idzie o liczbę członków, Szkocka Partia Narodowa właśnie wyprzedziła Partię Konserwatywną. Obecnie ma 125 tys. płacących składki członków i jest drugą (po Partii Pracy) największą partią w Wielkiej Brytanii.

Klasyczny zakątek

Przenieśmy się na południe, do historycznej Anglii.

Sonning to mała wioska na granicy hrabstw Berkshire i Oxfordshire. W książce „Trzech panów w łódce, nie licząc psa” tak opisywał ją Jerome K. Jerome: „Nad całą Tamizą nie ma drugiego takiego zakątka – zupełnie jak z bajki. Bardziej przypomina dekorację teatralną niż wieś zbudowaną z cegieł spojonych murarską zaprawą. Każdy dom tonie wśród róż”.

Choć książka ukazała się w 1889 r., wydaje się, jakby nic się tu nie zmieniło. Może tylko więcej jest teraz pnącej wisterii niż róż. Nie zmienił się też pub Pod Bykiem, również uwieczniony w książce Jerome’a, ten „klasyczny wzór starej wiejskiej oberży”, w którym są „niskie powały, izby o dziwnych kształtach, okna z maleńkimi szybkami, koślawe schody, kręte korytarzyki”.

W ostatnich latach pub znany jest jako ulubiona miejscówka aktora George’a Clooneya, który w 2016 r. zamieszkał w Sonning wraz z żoną Amal, znaną prawniczką. Mieszkańcy wsi są chyba jednak przyzwyczajeni do znanych sąsiadów. Mieszka tu także Jimmy Page z zespołu Led Zeppelin.

Choć dziś zdecydowanie mieszkanką numer jeden jest premier Theresa May.

W Sonning dyskrecja i prywatność są w cenie, a od kilku lat obowiązuje zakaz pukania do prywatnych domów przez sprzedawców, ankieterów itd. Żartowano nawet, że w ten sposób grzywnę może dostać sama May, gdyby wpadła na pomysł chodzenia po domach sąsiadów ze swoimi ulotkami wyborczymi. Bo Theresa May nie tylko w Sonning mieszka, ale także od 1997 r. reprezentuje jej mieszkańców w parlamencie (Sonning jest częścią okręgu wyborczego Maidenhead).

Przy czym, co ważne, „mieszka” znaczy rzeczywiście „mieszka”, a nie np. „ma dom”. Prawie co weekend premier wraca z Londynu do Sonning. W niedzielę chodzi do miejscowego kościoła (sąsiaduje on z pubem Pod Bykiem), czyta parafialną gazetkę, bierze udział w imprezach charytatywnych. Słowem – choć jest szefową rządu, a wcześniej stała na czele ministerstwa – nadal jest politykiem (także) lokalnym, zaangażowanym w lokalne sprawy.

Theresa May pasuje zresztą do Sonning, do klasycznej brytyjskości tej wioski. Do tradycji. Do takiej Anglii, za jaką zdają się tęsknić zwolennicy brexitu, a która jest tak różna od Londynu czy nawet od – oddalonego o kilka kilometrów – 300-tysięcznego Reading, gdzie na jednej ulicy mieszczą się obok siebie polski sklep spożywczy, włoska restauracja i meczet.

Ale – uwaga, bo znów nic nie będzie proste – okręg Maidenhead głosował w referendum za pozostaniem w Unii (53,9 proc.). Podobnie jak obecna premier.

Tanecznym krokiem

Choć jeszcze jako minister Theresa May głosowała przeciw brexitowi, to jako premier stwierdziła, że „Brexit to brexit”, a „brak umowy jest lepszy niż zła umowa”.

Nie jest to jedyna zmiana, jaka zaszła w ostatnim czasie w kobiecie stojącej na czele brytyjskiego rządu.

Zanim Theresa May objęła urząd premiera i wzięła odpowiedzialność za wyprowadzenie kraju z Unii – nie zapomnijmy dodać, że stało się to po tym, jak premier David Cameron, który referendum rozpisał, po ogłoszeniu wyników błyskawicznie podał się do dymisji – była ministrem spraw wewnętrznych. Kierowała tym resortem dłużej niż ktokolwiek inny, bo przez sześć lat, od 2010 do 2016 r.

Zwracała już wtedy uwagę mediów zamiłowaniem do ekstrawaganckich butów i ryzykownych – jak na polityka – kreacji. W 2013 r. gazeta „Daily Mail” opublikowała żartobliwe zestawienie strojów May z tymi noszonymi przez jedną z topmodelek Carę Delevingne. Sięgające za kolana kozaki, tartanowy garnitur projektu Vivienne Westwood, kolorowe płaszcze – pani minister kochała modę. A do artykułu podeszła z humorem, traktując porównanie z młodziutką modelką jako dobry żart.

Na publikowanych wtedy zdjęciach uderzają nie tylko stroje, ale też fakt, że Theresa May się uśmiechała. Wyglądała na szczęśliwą. Tymczasem dziś od dawna już w prasie nie było takiego jej zdjęcia – obecne fotografie pokazują kobietę ze ściągniętymi surowo ustami, smutną i spiętą. Skróciła też włosy, jakby wymagało tego objęcie „męskiego” stanowiska.

Stres związany z brexitowymi negocjacjami zrobił swoje, podobnie jak zapewne nieustająca krytyka. Atakowana jest nie tylko przez opozycję – to zrozumiałe – ale również przez własną partię. Ponadto jest to krytyka nie tylko polityczna, lecz także personalna. Gdy podczas ostatniej wizyty w Afryce pokazano, jak tańczy w trakcie oficjalnej uroczystości, w mediach krytykowano – dosłownie – każdy jej ruch.

Można się zastanawiać, czy politycy-mężczyźni, też zmuszeni czasem do „dyplomatycznych” podrygów, spotykają się z równie bezlitosną krytyką. – Nie ma wątpliwości, że kobiety w polityce są bardziej nękane niż mężczyźni: żyjemy w strukturalnie seksistowskim społeczeństwie i kulturze, i Theresa May zgodnie z tym cierpi. To nie znaczy jednak, że może uciec przed uprawnioną krytyką za swoje polityczne błędy – uważa prof. Tim Bale, politolog z Queen Mary University w Londynie.

– Nikt nie zmuszał Theresy May, by ubiegała się o przywództwo partii i urząd premiera. Musimy uważać, by nasze ludzkie współczucie dla kogoś będącego pod presją nie wpłynęło na zdolność do krytycznej oceny – mówi Bale „Tygodnikowi”.

Misja niemożliwa

Gdy zostawała premierem, siłą rzeczy porównywano ją do Margaret Thatcher. Ale błędy, które popełniła, przekreśliły szanse na jej miejsce w szeregu najwybitniejszych. – Thatcher? Churchill? Theresa May to nie ta liga! – rzuca dziś prof. Bale.

Wtedy jednak, w 2016 r., przywoływano wspomnienia jej przyjaciół, że podobno urząd premiera postanowiła objąć jeszcze w czasach studenckich. Pisano o jej skuteczności jako minister – choć teraz przypomina się błędy np. w polityce migracyjnej, jak skandal z tzw. pokoleniem Windrush [patrz „TP nr 27/2018 – red.]. Zwracano uwagę, że w swoim gabinecie powierzyła ważne resorty kobietom.

Ona sama chyba wierzyła, że sukces jest w zasięgu ręki – i podjęła fatalną decyzję o przedterminowych wyborach w 2017 r. Chciała swoją partię wzmocnić, tymczasem ją osłabiła i utraciła większość w parlamencie (urząd zachowała tylko dlatego, że pozyskała poparcie niewielkiej partii unionistów z Irlandii Północnej).

Takich błędów nie zapomina żadna partia, a zwłaszcza torysi – znani z bezlitosnych wewnętrznych rozliczeń.

WICEK SOSNA

„Nad całą Tamizą nie ma drugiego takiego zakątka". Uliczka w Sonning, sierpień 2018 r.

– Może rzeczywiście była to „misja niemożliwa", zważywszy na brexit. Ale May popełniła poważne błędy, np. uruchamiając artykuł 50. [zaczynając dwuletnią procedurę wyjścia z Unii – red.] i decydując się na twardy brexit pod wpływem doradców, którzy już odeszli. Trwa, bo ma nadzieję, że jakoś uratuje sytuację – mówi prof. Bale. – Jednak ta sytuacja, przynajmniej po części, jest skutkiem jej własnych działań.

Ta „sytuacja" to rządzenie od kryzysu do kryzysu. Przy czym tylko część z napięć wiąże się z negocjacjami z Brukselą, a część z podziałami w samej Partii Konserwatywnej. Co chwila pojawiają się pytania, czy May nie zostanie usunięta ze stanowiska przez kolegów.

– Jej kariera polityczna skończyła się prawdopodobnie w chwili, gdy przegrała tamte przedterminowe wybory – mówi „Tygodnikowi" Richard Washington, Brytyjczyk mieszkający od lat w Polsce. – Ale choć ma sporo konkurentów do swego stanowiska, w tej chwili ona jest nadal najlepszym wyborem. Swoją drogą, nigdy nie widziałem tylu przypadków łamania dyscypliny klubowej wśród torysów jak teraz.

– Pani premier jest bezpieczna do marca, do brexitu. Teraz niełatwo byłoby ją usunąć – uważa prof. John Curtice. – Potem jej los będzie zależeć od tego, na ile niejasne będzie porozumienie z Brukselą. Wiele kwestii będzie dopracowywanych. To będzie okres przejściowy.

Małe słowa

„Niejasne": to słowo klucz w opisie obecnej sytuacji w Wielkiej Brytanii. Niejasne jest wszystko. Począwszy od definicji podstawowych pojęć. I nawet tego, czy do brexitu definitywnie dojdzie.

Prof. Curtice: – Jest wysoce prawdopodobne, że w marcu 2019 r. dojdzie do brexitu. Ale jeśli chodzi o szczegóły wyjścia z Unii, trudno dziś powiedzieć coś konkretnego.

Wypracowane porozumienie musi zostać zaakceptowane przez brytyjski parlament. A jak przypomina Curtice, zważywszy na niepewną pozycję rządu Theresy May, przepchniecie go przez Izbę Gmin może być trudne. Jeśli to się nie uda, rząd może upaść i będą wcześniejsze wybory. Jeżeli wygra je Partia Pracy, to pojawia się pytanie, czy zdecyduje się na kolejne referendum w sprawie brexitu. A jeśli tak, to czego dokładnie miałoby ono dotyczyć: szczegółów porozumienia czy samego wyjścia?

– W każdym scenariuszu jest mnóstwo tych pozornie małych słów: „czy" oraz „jeśli" – mówi prof. Curtice.

Pod koniec sierpnia brytyjski rząd opublikował pierwsze rekomendacje dla obywateli i przedsiębiorców na wypadek wyjścia kraju z Unii bez żadnego porozumienia. Wizja chaotycznego i twardego brexitu wydała się nagle realna. Analizy miały Brytyjczyków uspokoić, a pokazały skalę problemów. Np. eksporterzy żywności organicznej muszą liczyć się z dziewięciomiesięczną przerwą w sprzedaży, bo tyle będą musieli czekać na nowe unijne certyfikaty; przy zakupach towarów z Unii za pomocą kart kredytowych mogą wzrosnąć koszty transakcji; firmy farmaceutyczne powinny mieć sześciotygodniowe zapasy leków itd.

Sytuację po twardym brexicie oszacował też *think tank* The UK in a Changing Europe. Według jego raportu skutki będą zdecydowanie negatywne – zwłaszcza te ekonomiczne (wzrost cen żywności). Pogorszy się też sytuacja miliona Brytyjczyków mieszkających w krajach Unii.

„Mądrze jest przygotować się na wypadek braku porozumienia i złagodzić najgorsze skutki chaotycznego brexitu. Ale znacznie rozsądniej byłoby uniknąć takiej sytuacji" – stwierdził prof. Anand Menon, szef think tanku.

Tymczasem kalendarz jest bezlitosny: aby zdążyć z ratyfikacją porozumienia przed końcem marca 2019 r., musi być ono przedstawione najpóźniej na początku listopada.

Zegar tyka

W Sonning nie czuje się presji czasu.

Życie zdaje się tu płynąć bardzo powoli, tak jak przecinająca wioskę Tamiza. Ludzie siedzą w kawiarni, dzieci w kaloszach wracają z błotnistej wyprawy brzegiem rzeki.

W centrum miejscowości znajduje się Pearson Hall, gdzie spotykają się miłośnicy Sonning. Tu odbywają się wykłady i projekcje filmów, a także zajęcia fitness.

Na dachu widać zegar, umieszczony tu w 2012 r., w rocznicę jubileuszu królowej Elżbiety II. Odsłonięcia dokonała ówczesna minister spraw wewnętrznych Theresa May. Od tego czasu w jej życiu wiele się zmieniło. Choćby to, że jej potknięcia stały się potknięciami całego kraju.

A w całym kraju?

– Odwiedzam czasem rodziców, którzy mieszkają na prowincji. Ludzie tam nie czują się częścią tego, co dzieje się w związku z brexitem. Patrzą na to jak na spektakl – mówi Richard Washington. – Także dlatego, że jak dotąd nic z tego, co miało być złe, nie okazało się aż tak straszne. Gospodarka się rozwija, życie toczy się dalej. Niewiele się na razie zmieniło. U moich rodziców może to, że teraz w ich miejscowości sporo jest nie tylko Polaków, ale też Rumunów i Bułgarów.

– Myślę jednak – dodaje – że w skali kraju bardziej widać teraz podziały: religijne, narodowe. Podobnie jest zresztą w innych krajach Europy. U nas brexit jest bardziej tego symptomem niż powodem, a zachodzące zmiany to długotrwały proces. Dlatego nasze wyjście z Unii to nie będzie ostatni etap.

© PATRYCJA BUKALSKA

Teatr kukiełek

WOJCIECH KONOŃCZUK

Zamach na lidera separatystów w Donbasie przypomniał, czym – po ponad czterech latach wojny – jest ten kontrolowany przez Rosję region.

To kolejne głośne zabójstwo w Doniecku. Tym razem w ostatnim dniu sierpnia w zamachu bombowym zginął Ołeksandr Zacharczenko, lider tzw. Donieckiej Republiki Ludowej (DNR). Bomba była ukryta w kawiarni o nazwie Separ (to kolokwialny skrót od słowa „separatysta"), podobno w instalacji oświetleniowej i została odpalona zdalnie w chwili, gdy do lokalu wszedł Zacharczenko wraz z kilkoma współpracownikami.

Wcześniej w odstępach kilku miesięcy w podobny sposób zamordowano paru innych donbaskich polityków i wojskowych. Zacharczenko był jednak najwyższy rangą wśród „wyeliminowanych" w ten sposób separatystów. Niemal od początku wojny na wschodzie Ukrainy stał on na czele utworzonej z woli Rosji „republiki", która od tego czasu nie przestaje udawać, że jest państwem.

Zamach na Zacharczenkę sprawił, że temat Donbasu ponownie trafił na łamy światowych mediów. Tymczasem w ostatnim czasie można było odnieść wrażenie, że świat się do konfliktu rosyjsko-ukraińskiego już przyzwyczaił i zaczął o nim zwyczajnie zapominać. Było to o tyle łatwiejsze, że 1,6 mln obywateli Ukrainy, którzy w wyniku wojny musieli opuścić swoje domy, nie szturmowało granic Unii Europejskiej, po podpisaniu zaś w lutym 2015 r. porozumienia w Mińsku większe ofensywy na froncie ustały.

Dokument miński nie wpłynął jednak na przybliżenie rozwiązania tej nigdy formalnie niewypowiedzianej wojny rosyjsko-ukraińskiej. I choć jest to – jak nazywają ją eksperci – „wojna o niskiej intensywności", to niemal codziennie są ofiary: tylko od początku tego roku w Donbasie zginęło ok. 80 ukraińskich żołnierzy, a ponad 500 zostało rannych (strona rosyjsko-separatystyczna nie podaje swoich strat).

IGOR MASLOV / SPUTNIK / EAST NEWS

Pogrzeb Ołeksandra Zacharczenki, lidera tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, Donieck, 2 września 2018 r.

Kryminalne „republiki"

Sprawcy zamachu na Zacharczenkę (i wszystkich wcześniejszych zamachów) pozostają niewykryci. Mnożą się za to medialne spekulacje co do zleceniodawców. Tzw. separatyści oraz Moskwa niemal natychmiast ogłosili, że za zabójstwem lidera DNR stały ukraińskie służby specjalne. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne. Zacharczenko nie należał bowiem do grona osób podejmujących kluczowe decyzje dotyczące tego parapaństwa. Był typową i dość karykaturalną marionetką w rękach rosyjskich mocodawców, pociągających za sznurki ze swoich moskiewskich gabinetów. Zatem na wyeliminowaniu Zacharczenki Kijów nic by nie zyskał, gdyż na jego miejsce przyjdzie inny powolny wykonawca rosyjskich rozkazów.

Bardziej prawdopodobna jest wersja, że zamach na Zacharczenkę był konsekwencją bandyckich porachunków między różnymi grupami wpływu w DNR. Niemal od początku funkcjonowania separatystycznej „republiki" jej władze są podzielone wewnętrznie, a między poszczególnymi grupami politycznymi i ich zbrojnym zapleczem trwa rywalizacja o kontrolę nad aktywami gospodarczymi.

Zacharczenko był szefem jednej z takich *de facto* kryminalnych grup, a w trakcie swoich rządów naruszył istotne interesy finansowe innych, co zapewne wywołało chęć zemsty. Warto odnotować, że w eksplozji w kawiarni Separ ranny został jeden z jego najbliższych współpracowników: „minister finansów" DNR, mający podobno wielką wiedzę na temat układów i zmian własnościowych w „republice".

Szczegóły są tu trudne do rzetelnego odtworzenia, gdyż układ rządzący w separatystycznej części Donbasu nie jest czytelny. Jest to bowiem typowy przykład autorytarnego reżimu opierającego się głównie na przemocy. Niezależne media nie mogą tam istnieć z zasady, a dziennikarze zagraniczni wpuszczani są z rzadka.

Plan polityczny Kremla

Powyższa interpretacja nie wyklucza przy tym innej: że zamach na osobę rangi Zacharczenki musiał uzyskać sankcję moskiewskich protektorów Donbasu. O ile miejscowi kryminaliści będący u władzy cieszą się wolną ręką w sprawach gospodarczych, o tyle o żadnej ich samodzielności nie może być mowy w sprawach istotnych z punktu widzenia Kremla.

Zarówno DNR, jak i sąsiednia tzw. Ługańska Republika Ludowa swoje powstanie i istnienie zawdzięczają wyłącznie Rosji. Według różnych szacunków, corocznie Moskwa przeznacza ok. 2 mld dolarów na dofinansowanie ich budżetów. Przy tym suma ta nie obejmuje wydatków na utrzymanie rosyjskich „doradców" wojskowych i rosyjskich oddziałów zbrojnych w Donbasie. Rzeczywiste koszty, jakie Rosja ponosi na oba parapaństwa, są więc trudne do określenia.

Dlaczego Moskwa mogła chcieć usunięcia Zacharczenki? Odrzucić można tezę, że powodem był jego sprzeciw wobec rosyjskich decyzji. Natomiast z pewnością jakiekolwiek nowe rozmowy międzynarodowe na temat uregulowania statusu Donbasu będą bez niego łatwiejsze. Zacharczenko był przedstawicielem pierwszej „generacji" separatystów, reprezentował DNR podczas negocjacji w Mińsku, a w Kijowie oskarżany był o zbrodnie wojenne. Niezależnie od tego, jaki był rzeczywisty powód jego usunięcia, dla Kremla stawał się bardziej balastem niż atutem.

Po śmierci Zacharczenki z Moskwy do Doniecka przyjechała specjalna grupa śledcza FSB, aby zbadać okoliczności zamachu, ale wygląda to raczej na stwarzanie pozorów. Przy okazji po raz kolejny okazało się, że Rosja – choć formalnie nie uznała niepodległości obu „republik" – za nic ma kwestię zwierzchności Kijowa nad Donbasem.

Polityczny plan Moskwy zakłada bowiem zmuszenie Ukrainy do realizacji niekorzystnej dla niej części porozumienia mińskiego – czego elementem ma być również pozostawienie DNR i ŁNR w ramach państwa ukraińskiego, ale przy równoczesnej legitymizacji separatystów. Wówczas Kreml mógłby wykorzystać kontrolowany przez siebie region do wpływania na państwo ukraińskie.

Zapaść cywilizacyjna

Na fali doniesień medialnych o zamachu na Zacharczenkę, z pola widzenia często znika sprawa znacznie ważniejsza: sytuacja tych obywateli Ukrainy, którzy pozostali po drugiej stronie linii donieckiego frontu.

Na tych terytoriach, *de facto* okupowanych, nadal mieszka ok. 3 mln ludzi. Miejscowa gospodarka niemal nie funkcjonuje, bezrobocie jest ogromne. Rządzi tam bezprawie. Pomoc socjalna praktycznie nie istnieje, a władze „republik" wyrzuciły międzynarodowe organizacje humanitarne.

Z każdym kolejnym rokiem wojny problemy tej części Donbasu będą się tylko pogłębiać. Już dzisiaj można mówić o jego głębokiej zapaści cywilizacyjnej. I to właśnie powinno być przede wszystkim przedmiotem uwagi mediów i światowej społeczności. ©

MARTA ZDZIEBORSKA

Kolejka do przejścia granicznego, okolice Tijuany, lato 2018 r.

Królowie życia z Tijuany

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Pracują w Stanach, ale mieszkają po meksykańskiej stronie granicy: dla wielu Amerykanów to sposób na ucieczkę przed rosnącymi kosztami życia w USA. Ich domem jest Tijuana, jedno z najbardziej niebezpiecznych miast świata.

David Flood pochodzi z Seattle i ma 33 lata. Przyznaje, że jego CV – gdyby je całe spisać – nie wyglądałoby imponująco. Odkąd skończył liceum, był zatrudniony w prawie stu miejscach. Dorabiał jako kelner, oprowadzał wycieczki, reperował telefony komórkowe, udzielał korepetycji, był agentem nieruchomości... Mówi, że nie lubi pracować dla innych, i że to dlatego zwykle po kilku miesiącach szuka czegoś nowego.

Najdłużej zagrzał miejsce w międzynarodowej wypożyczalni samochodów Sixt. Przepracował tam półtora roku: połowę tego czasu w Seattle, połowę w San Diego, kalifornijskim mieście przy granicy z Meksykiem. Przeprowadził się tu dwa lata temu, uciekając przed szybującymi cenami najmu. Jego ostatni czynsz za dwupokojowe mieszkanie w Seattle wynosił 2400 dolarów miesięcznie.

– Wszystko zaczęło się po zmianie właściciela kompleksu, który podniósł stawki – wspomina. – Choć pracowałem ponad 50 godzin tygodniowo, ledwo wyrabiałem z bieżącymi opłatami. Zanim zdecydowałem się na wyprowadzkę, próbowałem znaleźć miejsce, które nie zrujnuje mojego budżetu.

Kupił bilet lotniczy do San Diego. – Mam tu znajomych i zawsze podobał mi się kalifornijski styl życia – tłumaczy taki wybór. – Ale nie spodziewałem się, że i w południowej Kalifornii będzie ciężko – dodaje.

Za godzinę pracy w wypożyczalni aut w San Diego David może zarobić 15 dolarów. To o 3,5 dolara mniej niż w Seattle, ↦

↦ gdzie obowiązują wyższe stawki (płaca minimalna wynosi tam 15 dolarów, w San Diego 11,5 dolara). W Kalifornii David jest więc w stanie zarobić 2 tys. miesięcznie. Tymczasem średni czynsz za jednopokojowe mieszkanie to 1500 dolarów, bez opłat. Aby uniknąć takich kosztów, przez pierwsze cztery miesiące pomieszkiwał w San Diego w miejscach znalezionych na portalu Airbnb i hostelach. Za nocleg w 12-osobowej sali płacił 1100 dolarów miesięcznie.

Sfrustrowany kosztami życia w Kalifornii, nie szukał już mieszkania w San Diego. Przeprowadził się do Tijuany, meksykańskiego miasta przy granicy z USA.

Ucieczka na południe

David mówi, że w Meksyku żyje jak król. Za wynajem dwupokojowego mieszkania w centrum miasta, kilkaset metrów od alei Rewolucji, płaci równowartość 600 dolarów. Jak na warunki meksykańskie to wygórowana cena, ale ma w pełni umeblowane mieszkanie, a w czynsz wliczone są wszystkie opłaty za media.

Ostatnio do Meksyku przeprowadził się też przyjaciel Davida z Seattle. Odkąd wynajmują razem mieszkanie, ze swoich amerykańskich pensji mogą odłożyć jeszcze więcej.

Dla Davida Flooda – podobnie jak dla wielu Amerykanów, którzy pracują za płacę minimalną – przeprowadzka do Meksyku jest szansą na ucieczkę od biedy. Coraz wyższe koszty wynajmu mieszkań to ogólnoamerykański trend. A jak wskazują dane serwisu poświęconego rynkowi nieruchomości Zillow, na Zachodnim Wybrzeżu USA stawki już dawno wymyknęły się spod kontroli. Podczas gdy średni czynsz w USA wynosi 1445 dolarów, w Seattle kwota ta sięga aż 2204 dolarów. W ciągu ostatniego roku ceny najmu wzrosły tam o 4,9 proc., czyli prawie o połowę więcej niż w skali całego kraju.

Z wysokich kosztów życia od lat słyną też kalifornijskie miasta. Jak wynika z danych firmy Reis, zajmującej się analizami rynku nieruchomości, stawki za wynajem mieszkania w hrabstwie Los Angeles w ciągu siedmiu lat wzrosły o 500 dolarów, czyli o 34 proc. A skoro Meksyk jest tak blisko...

Do pracy przez granicę

Jim Houliston, 35-latek mieszkający w Tijuanie, na pół godziny przed spotkaniem pisze w esemesie, że dopiero przekracza granicę. Jestem przekonana, że się spóźni. Z rejonu przygranicznego w San Ysidro do centrum San Diego jest prawie 30 km. Do tego trzeba doliczyć czas na kontrolę paszportową, która niekiedy może przedłużyć się do kilku godzin.

MARTA ZDZIEBORSKA

Jill Marie Holslin na dojazd z Tijuany na uczelnię w San Diego rezerwuje sobie trzy godziny. Po drodze do pracy, już po amerykańskiej stronie granicy, kupuje warzywa, tankuje benzynę i odbiera pocztę.

Ale gdy docieram na umówione spotkanie, ku mojemu zdziwieniu Jim siedzi już z kawą przy stoliku. Obok na krześle powiesił wyprasowaną niebieską koszulę. To strój do restauracji w Point Loma, luksusowej dzielnicy San Diego, gdzie pracuje na pół etatu jako kelner. Tłumaczy, że do pracy dojeżdża motorem, dlatego zawsze musi mieć zestaw na przebranie.

– To dla mnie dodatkowa logistyka, ale odkąd przerzuciłem się na dwa kółka, z Tijuany przez granicę do centrum San Diego jadę tylko 45 minut – mówi Jim. – Gdybym miał auto, na pewno tkwiłbym w korkach. Tym bardziej że pracę w restauracji zaczynam około 17, w godzinach szczytu. Z całego dojazdu najmniej czasu zajmuje mi przekroczenie granicy. Zwykle czekam tylko kilka minut – tłumaczy.

Jim jest posiadaczem karty SENTRI – dzięki niej korzysta z przyspieszonej odprawy na granicy. Wydawane na pięć lat, pozwolenie to przysługuje osobom, które przeszły szczegółową kontrolę służb i odbyły wywiad prowadzony przez funkcjonariuszy Służby Celnej i Ochrony Granic USA. W ramach karty SENTRI, która kosztuje ok. 120 dolarów, trzeba też zarejestrować auto lub inny pojazd, którym przekracza się granicę.

– W mojej dzielnicy w Tijuanie większość aut ma kalifornijskie tablice rejestracyjne – mówi Jim, który mieszka na osiedlu La Libertad, tuż przy granicy z USA. Jego sąsiedzi to Amerykanie lub Meksykanie, którzy mają amerykańskie obywatelstwo.

Wszyscy przeprowadzili się do Tijuany, by zaoszczędzić na kosztach życia.

Najgorzej z bezpieczeństwem

Jim opowiada, że gdy mieszkał w San Diego, było go stać tylko na wynajem pokoju w City Heights – jednym z najbiedniejszych rejonów miasta. Dzielił mieszkanie z małżeństwem z dwójką dzieci. Za miesiąc płacił 400 dolarów (to i tak okazja, bo wynajem pokoju kosztuje zwykle minimum 900 dolarów).

Tymczasem w Tijuanie za mieszkanie z sypialnią i salonem Jim płaci co miesiąc 300 dolarów. Odkąd przeprowadził się do Meksyku, pracuje tylko na pół etatu. W restauracji w Point Loma, gdzie stołują się właściciele luksusowych jachtów, w jeden wieczór przy dobrych napiwkach może zarobić nawet 200 dolarów.

Z kelnerskiej pensji utrzymuje się wraz z żoną Meksykanką, która przeprowadziła się dla niego z Guadalajary do Tijuany. Jim podkreśla, że teraz stać ich na częste stołowanie się na mieście i na podróże po Meksyku. Choć czasem na co dzień brakuje mu jednak amerykańskiego stylu życia.

JILL MARIE HOLSLIN / MAT. PRASOWE

– Nie ma co się oszukiwać, że Tijuana jest ładnym miastem – mówi. – Tęsknię za czasami, gdy w San Diego wszędzie dojeżdżałem rowerem. Tu mogę pomarzyć o ścieżkach rowerowych i spokojniejszym ruchu na drodze.

– Najgorzej jednak jest z bezpieczeństwem – dodaje. – W naszej dzielnicy Tijuany działają gangi, dlatego nocą lub późnym wieczorem nigdy nie wychodzimy z domu. Gdy kiedyś w ciągu dnia biegałem po okolicy, zatrzymał mnie policjant. Zdziwiony spytał, co tu robię, i poprosił o paszport. Pewnie myślał, że jestem amerykańskim turystą, który zboczył z głównego szlaku wiodącego wzdłuż alei Rewolucji.

Tijuana budzi się do życia

Tijuana, uznawana za jedno z najniebezpieczniejszych miast na świecie, kojarzy się z narkobiznesem i krwawymi porachunkami gangów. Nie bez powodu właśnie to przygraniczne miasto znalazło się na pierwszej linii frontu wojny narkotykowej, którą pod koniec 2006 r. meksykański prezydent Felipe Calderón wypowiedział kartelom.

Zanim jednak Tijuana pogrążyła się w największej w swojej historii fali przemocy, przez lata słynęła z turystyki. Amerykanów zawsze przyciągała tanimi drinkami, łatwym dostępem do narkotyków i domów publicznych. Przygraniczne miasto zasłynęło już w latach 20. XX w., gdy Amerykanie w ucieczce przed prohibicją zaopatrywali się tu w alkohol i wydawali dolary w kasynach.

MARTA ZDZIEBORSKA

Jim Houliston założył ostatnio firmę Immersion Living Tijuana. W przerwie od kelnerowania w San Diego chce pomagać Amerykanom w przeprowadzce i aklimatyzacji w Meksyku.

Dziś, jak mówi Miguel Marshall – szef firmy deweloperskiej Centro Ventures – od kilku lat Tijuana przeżywa kolejny rozkwit. Wymarłe do niedawna centrum zapełnia się nowymi barami i restauracjami. Wiele budynków przechodzi rewitalizację z przeznaczeniem na mieszkania dla Amerykanów, którzy przyjeżdżają tu na dłużej niż tylko zakrapiany alkoholem weekend.

– Ze względu na rosnący popyt robimy remonty kamienic na sześciu głównych ulicach w centrum – mówi Miguel Marshall, którego firma prowadzi też biuro coworkingowe. Korzystają z niego głównie amerykańscy przedsiębiorcy i freelancerzy.

Dyrektor Centro Ventures podkreśla, że większość decydujących się na przeprowadzkę do Tijuany to single. Na początku zwykle zainteresowani są wynajmem mieszkania tuż przy granicy. Potem, zwykle po kilku miesiącach życia w Meksyku, szukają ofert w bardziej odległych dzielnicach, jak Cacho, Hipódromo czy Chapultepec. Największą popularnością cieszy się rejon Playas de Tijuana, gdzie wynajem kilkupokojowego mieszkania z widokiem na morze kosztuje 600-900 dolarów miesięcznie.

Tę grafikę – zaprojektowaną przez Jill Marie Holslin – wyświetlono na jednym z ośmiu prototypów muru granicznego w Otay Mesa na przedmieściach San Diego.

– Amerykanie rzadko decydują się na kupno mieszkania w Meksyku – mówi Miguel Marshall. – Wyjątkiem są emeryci, którzy inwestują w wille w oddalonym o 22 km od Tijuany Rosarito. Rynek nieruchomości zdominowany jest przez Meksykanów, którzy mają amerykańskie obywatelstwo. Zamiast zapożyczać się na całe życie, aby kupić w San Diego mieszkanie za średnio 600 tys. dolarów, stawiają na Tijuanę. Za dwa pokoje z salonem w nowym budynku z ochroną zapłacą ok. 200 tys. dolarów.

Artystka po godzinach

Również Jill Marie Holslin, 57-letniej profesor sztuk wizualnych na Uniwersytecie Stanowym w San Diego, nie w głowie kolejny kredyt. Zanim siedem lat temu przeprowadziła się z USA do Tijuany, miała zaciągniętą pożyczkę hipoteczną na dwupokojowe mieszkanie w North Park, jednej z najbardziej popularnych dzielnic San Diego. Mówi, że zdecydowała się na ten kredyt, bo wreszcie chciała zapuścić korzenie. Choć pod koniec lat 80. przyjechała do Kalifornii za mężem, fizykiem jądrowym, to nigdy nie mogła znaleźć sobie tutaj miejsca.

– Potem, po rozwodzie, zastanawiałam się, czy się stąd nie wyprowadzić – mówi Jill Marie. – Ale w San Diego miałam pracę i znajomych. Lubiłam też North Park, skąd dojeżdżałam zawsze rowerem na uczelnię. Gdy kupiłam tam mieszkanie, szybko zaczęłam jednak żałować tej decyzji. Miesięczna rata kredytu wynosiła 2300 dolarów. Było mnie stać tylko na podstawowe wydatki. Mogłam zapomnieć o podróżach i wyjazdach na konferencje naukowe.

Gdy ograniczono jej godziny na uczelni, Jill Marie wpadła w pułapkę: nie było jej stać na raty, więc zaczęła korzystać z kart kredytowych. Wspomina: – A potem nastąpił krach na rynku nieruchomości i moje mieszkanie traciło na wartości. Zdecydowałam się je sprzedać.

Jill Marie spłaciła wszystkie długi i przeprowadziła się do Tijuany. Podkreśla, że to był dla niej naturalny wybór. Od lat robi dokumentację fotograficzną muru oddzielającego USA od Meksyku. Jesienią 2017 r. z grupą artystów wzięła udział w happeningu w pobliżu Otay Mesa, przedmieść San Diego, gdzie stoją zamówione przez administrację prezydenta Trumpa prototypy muru. Z projektora ↦

↦ ustawionego na dachu samochodu po meksykańskiej stronie granicy artyści wyświetlili na jednym z ośmiu prototypów proimigracyjne hasła.

– Odkąd przeprowadziłam się do Meksyku, moje życie dzieli się na dwie sfery – mówi 57-latka. – W Tijuanie spełniam się jako artystka, a w San Diego zarabiam pieniądze na uczelni.

Lepiej nie czytać newsów

Jill Marie mówi, że w Meksyku najbardziej pokochała ludzi: – Tutaj czuję się jak w Europie. Życie toczy się na ulicach, a nie za oknami klimatyzowanych samochodów, które jadą z punktu A do punktu B. Gdy idę w Tijuanie do sklepu, mogę szczerze porozmawiać ze sprzedawcą. W San Diego męczyło mnie, że ekspedienci wciąż powtarzają formułki ustalone przez politykę firmy.

W Tijuanie Jill Marie stroni od Amerykanów. Od kilku lat wynajmuje dwupokojowe mieszkanie z widokiem na ocean w dzielnicy Playas de Tijuana. Jej sąsiedzi to Meksykanie ze średniej lub wyższej klasy. Ma z nimi układ: gdy wraca późno z uczelni w San Diego, zawsze zapalają w jej mieszkaniu światło. Chodzi o to, by odstraszyć potencjalnych złodziei.

Na szczęście Amerykanka do tej pory nigdy nie odczuła na własnej skórze zagrożenia związanego z rosnącą w Tijuanie przemocą. W ostatnich latach mieszkańców miasta szczególnie niepokoi szybująca liczba zabójstw. Jak wynika z danych sekretariatu do spraw bezpieczeństwa publicznego dla stanu Kalifornia Dolna, w 2017 r. w Tijuanie zamordowano 1780 osób, podczas gdy rok wcześniej – 919. Tak duży wzrost związany jest z walką o strefę wpływów między kartelem Sinaloa i grupą Jalisco Nueva Generación.

– Gazety wciąż rozpisują się o kolejnych morderstwach – mówi Jill Marie. – Ale na co dzień staram się o tym nie myśleć. Bywam w różnych dzielnicach, często chodzę po ulicach z aparatem w ręku.

– Odkąd zamieszkałam w Tijuanie, jestem jednak bardziej ostrożna – dodaje. – Nigdy nie opowiadam o sobie nieznajomym, na mieście spotykam się tylko z przyjaciółmi. Nigdy nie wiesz, czy możesz komuś ufać.

© MARTA ZDZIEBORSKA

FAYEZ NURELDINE / AFP / EAST NEWS

Kobiety w Arabii Saudyjskiej mogą już same prowadzić auto; tu jeszcze ćwiczą na symulatorze, Riad, czerwiec 2018 r.

Dwa oblicza saudyjskiego delfina

INGA ROGG ZE STAMBUŁU

Następca tronu Arabii Saudyjskiej chce być uważany za reformatora. Ale książę nie znosi krytyki, a jego represje uderzają zarówno w islamskie feministki, jak i w sunnickich kaznodziejów.

Na pozór to się nie klei. Saudyjski książę delfin Mohammed bin Salman zerwał z wieloma tabu w swoim kraju. Kobietom wolno oglądać dziś mecze piłki nożnej, od ponad dwóch miesięcy mogą też, nareszcie, samodzielnie prowadzić auto. Po raz pierwszy od kilku dekad Saudyjczycy mogą chodzić do kina i na koncerty, podczas gdy z punktu widzenia rygorystycznej wahabickiej interpretacji islamu jedno i drugie to rzecz nie do przyjęcia.

Ponadto następca tronu chce zliberalizować gospodarkę, wzmocnić jej prywatny sektor, tworzyć miejsca pracy dla kobiet i młodzieży oraz otworzyć kraj dla turystów. Mohammed bin Salman wziął się też za projekt wyjątkowo ambitny: chciałby wzmocnić umiarkowaną interpretację islamu. Arabia Saudyjska miałaby stać się na powrót tym, czym – z jego punktu widzenia – była do końca lat 70. XX w.: społeczeństwem liberalnym, otwartym na świat.

Do takiego wizerunku reformatora i zwolennika modernizacji (kraju oraz islamu), nad jakim intensywnie pracuje 33-letni książę – osobiście, np. podczas wielotygodniowego pobytu w USA wiosną tego roku, i z pomocą zatrudnionych w tym celu profesjonalnych zachodnich firm PR-owych – kiepsko pasuje jednak inne oblicze rządów Mohammeda bin Salmana: aresztowania wśród saudyjskich przedsiębiorców, wśród działaczy i działaczek na rzecz praw człowieka oraz praw kobiet, a także wśród sprzeciwiających mu się duchownych. Książę ma też najwyraźniej wyjątkowo cienką skórę – źle znosi krytykę swoich poczynań, także gdy płynie ona z zagranicy. Albo, precyzując, nie znosi jej wcale.

Fala aresztowań

Przykładem los trójki kobiet: Loujain al-Hathloul, Iman al-Nafjan oraz Aziza al-Yousef od ponad trzech miesięcy siedzą w areszcie. Zostały zatrzymane w maju, razem z co najmniej 14 innymi kobietami ze środowisk aktywnych na rzecz praw człowieka – akurat tuż przed tym, jak weszło w życie prawo pozwalające Saudyjkom na prowadzenie samochodu, o co wcześniej właśnie one walczyły.

W kontrolowanych przez państwo mediach aresztowane kobiety nazywano nie inaczej jak tylko „zdrajczyniami", „szpiegami" i „agentkami obcych ambasad". Pod koniec lipca w więzieniu wylądowały trzy kolejne prominentne aktywistki, wśród nich Samar Badawi – siostra więzionego od lat blogera Raifa Badawiego. Gdy kanadyjska minister spraw zagranicznych Chrystia Freeland skrytykowała aresztowania, saudyjskie królestwo zareagowało wyjątkowo ostro: zamknęło ambasadę Kanady, zawiesiło relacje handlowe, skreśliło bezpośrednie połączenia lotnicze do Toronto i zażądało od tysięcy saudyjskich studentów, uczących się na kanadyjskich uczelniach dzięki państwowym stypendiom, aby wrócili do Arabii Saudyjskiej.

Organizacje praw człowieka twierdzą, że Samar Badawi może zostać postawiona w stan oskarżenia przed specjalnym sądem karnym, który jest właściwy dla osądzania podejrzanych o terroryzm.

Dziennik „Okaz" twierdzi, że również przed tym sądem ma stanąć dziewięcioro spośród aresztowanych w maju. Pozostała ósemka została zwolniona. Sąd ten znany jest z drakońskich wyroków.

Prokurator chce kary śmierci

Jakby takiej perspektywy było mało, w sierpniu prokurator zażądał kary śmierci dla pięciorga aresztowanych działaczy na rzecz praw człowieka – jest wśród nich 29-letnia aktywistka Isra al-Ghomgham. Amnesty International twierdzi, że oskarżenie zarzuca dziewczynie udział w protestach, które miały miejsce w prowincji Katif (zamieszkanej w większości przez szyitów, którzy nie godzą się z rolą obywateli drugiej kategorii w sunnickim królestwie). Isra al-Ghomgham jest też oskarżona o to, że dokumentowała te protesty, „wspierała moralnie chuliganów" i złamała ustawę o przeciwdziałaniu przestępczości cybernetycznej, gdyż zamieszczała w serwisie Facebook zdjęcia i nagrania z tych protestów.

Szyici, którzy mieszkają przede wszystkim we wschodniej części kraju – bogatej w zasoby ropy naftowej – w ciągu ostatnich dekad wielokrotnie buntowali się przeciw dyskryminacji, której doświadczają ze strony sunnickiego domu panującego. Na początku 2011 r. doszło do masowych protestów, podczas których aresztowano setki szyitów. Na początku 2016 r. dom panujący rozkazał stracić prominentnego szyickiego duchownego: Nimr al-Nimr został ścięty, a wraz z nim trzech innych szyitów.

Na krótko przed tym policja aresztowała Isrę al-Ghomgham i jej męża. Wyrok jeszcze nie zapadł, proces ma być kontynuowany w październiku. Ali Shihabi, założyciel think tanku The Arabia Foundation w Waszyngtonie, uważa, że jest „bardzo mało prawdopodobne", aby sąd przychylił się do żądań prokuratora. Jednak organizacje praw człowieka są zaalarmowane tym precedensowym przypadkiem. „Każda egzekucja jest straszna, ale domaganie się kary śmierci dla takiej aktywistki jak Isra al-Ghomgham, której nie zarzuca się nawet stosowania siły, jest czymś monstrualnym" – powiedziała Sarah Leah Whitson, szefowa wydziału bliskowschodniego organizacji Human Rights Watch.

Także duchowni za kratami

Ale karząca ręka ambitnego księcia delfina spada nie tylko na szyickich opozycjonistów, liberałów i obrońców praw człowieka. W ostatnich miesiącach do więzień trafiło także wielu sunnickich duchownych, którzy sprzeciwiają się kursowi księcia Salmana. Wielu z nich zalicza się do ruchu Sahwa (Przebudzenie), który występuje przeciw jakiejkolwiek obecności wojsk amerykańskich (i w ogóle wszelkich wojsk zachodnich) w regionie.

Ruch ten jest bardzo niespójny religijnie i politycznie. Wśród aresztowanych są fundamentalistyczni kaznodzieje – jak szejk Safar al-Hawali, Awad al-Karni i Nasser al-Omar. Niektórzy wzywali w przeszłości otwarcie do przemocy i siedzieli już w więzieniu, nawet przez wiele lat. Inni z kolei, jak szejk Salman al-Awdah – aresztowany we wrześniu 2017 r. wraz z dziesiątkami innych duchownych – domagają się dziś reform w kierunku demokracji (w przeszłości Awdah nie stronił od wzywania do obalenia domu panującego, za co był chwalony przez twórcę Al-Kaidy Osamę bin Ladena; potem odsiedział wieloletni wyrok i zmienił poglądy). Jeszcze inni aresztowani narazili się władzom, gdyż krytykowali saudyjską blokadę sąsiedniego Kataru. Wspólne dla nich wszystkich jest to, że mają łącznie miliony zwolenników, co z punktu widzenia księcia delfina czyni ich niebezpiecznymi.

Na początku września organizacje praw człowieka i państwowe media saudyjskie poinformowały, że Salman al-Awdah jest oskarżony o terroryzm i że prokuratura domaga się dla niego kary śmierci. Akt oskarżenia ma obejmować 37 punktów – jest wśród nich, prócz kierowania organizacją terrorystyczną, także sianie niepokojów i podżeganie przeciw królowi.

Reformator i władca absolutny

Obserwatorzy skłaniają się do tezy, że za falą aresztowań uderzających w tak różne środowiska stoi właśnie następca tronu. Czy to sprzeczność z jego reformatorskim obliczem? Niekoniecznie: w ten sposób Mohammed bin Salman – idąc śladem innych autokratów Bliskiego Wschodu – może umacniać swoją pozycję i zmuszać krytyków do milczenia. A także wysyłać sygnał, że Arabia Saudyjska pozostanie monarchią absolutną, w której reformy mają dokonywać się z woli panującego, a nie jako efekt oddolnego nacisku.

Salman to tyran – tak uważa saudyjska antropolożka Madawi al-Rasheed, wykładająca na London School of Economics. Rasheed twierdzi, że jego autorytaryzm jest tylko maskowany sekularyzmem i wizją reform – i porównuje księcia do Mustafy Kemala Atatürka (twórcy tureckiej republiki, niemal sto lat temu) albo do szacha Persji.

Ale represje mogą być też sygnałem, że pozycja delfina nie jest tak mocna, jak się to wydaje zewnętrznym obserwatorom. Mianując oficjalnie swojego syna następcą tronu, prawie 83-letni król Salman nie tylko odsunął na bok całą generację książąt (mających wszak swoje ambicje), lecz zniósł również swoisty system podziału władzy, jaki panował wewnątrz rodziny królewskiej.

Nawet jeśli w przeszłości system ten nie dawał wolności, to dawał przynajmniej pewność, że kraj nie będzie reagować nieadekwatnie na krytykę z zagranicy – jak to się stało teraz, w przypadku Kanady.

© Przełożył WP

INGA ROGG *jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung", specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu.*

PETR DAVID JOSEK / AP / EAST NEWS

Viktor Orbán i Władimir Putin na zawodach judo, Budapeszt, sierpień 2017 r.

Szczyt szczerości

DOMINIK HÉJJ

Żaden zachodni polityk nie posunął się tak daleko w usprawiedliwianiu rosyjskiej agresji jak premier Węgier. Zbliżenie Budapesztu z Moskwą trwa w najlepsze, nad głowami Ukraińców i Polaków.

We wtorek, 18 września, szary airbus węgierskiej armii z premierem Viktorem Orbánem na pokładzie wyląduje w Moskwie. To kolejne z cyklicznych już spotkań prezydenta Rosji i premiera Węgier. Przed rokiem taką wizytę składał w Budapeszcie Władimir Putin.

W tym roku to drugie ich spotkanie; poprzednie miało miejsce przy okazji mundialu. Zwykle obaj odwiedzali się na początku roku, ale tym razem, pewnie ze względu na wybory (parlamentarne na Węgrzech i prezydenckie w Rosji), czekano długo, ponad półtora roku.

Szczerość premiera Orbána

Czego można się po nim spodziewać? Oficjalnie wiadomo będzie tyle, ile obaj zdradzą na wspólnej konferencji. A faktycznie głównym tematem będzie zapewne w dalszym ciągu energetyka: rozbudowa węgierskiej elektrowni atomowej w Paks, finansowana z rosyjskiego kredytu i realizowana przez rosyjską firmę. Równie istotne są kwestie gazowe. Występując niedawno w Rumunii Orbán mówił, że Nord Stream i South Stream (tu Węgry oficjalnie przystąpiły do przedsięwzięcia) to spełnienie obietnicy przez Rosję w kwestii ominięcia Ukrainy. Orbán okazał się bardziej szczery niż Putin, który mgliście lawirował podczas niedawnego spotkania z kanclerz Merkel, gdy naciskała na niego, by Rosja nie rezygnowała z tranzytu gazu przez Ukrainę.

Nie był to koniec wyjątkowej szczerości węgierskiego premiera: kilka zdań później, na tymże spotkaniu z młodzieżą (z węgierskiej mniejszości) w rumuńskim Băile Tuşnad, Orbán mówił, że Rosja buduje wokół swych granic bufor. Mówił o tym tak, jakby Ukraina została zaatakowana dlatego, że Rosja czuje się zagrożona – w domyśle przez Zachód. Co więcej, zdaniem Orbána Ukraina to państwo w chaosie, a Rosja próbuje przywrócić dawny porządek. Nikt z zachodnich polityków nie odważył się dotąd na tak jawne usprawiedliwienie rosyjskiej agresji.

Zakarpacie i nie tylko

Tłem dla tych słów Orbána jest konflikt z Kijowem, dotyczący ukraińskiej ustawy o szkolnictwie; ogranicza ona nauczanie w językach mniejszości narodowych (ogranicza, nie likwiduje). W wystąpieniach Orbána często pojawia się argument rzekomego naruszania praw mniejszości narodowych i zapowiedź, że Budapeszt musi chronić rodaków na ukraińskim Zakarpaciu (wedle spisu z 2001 r. żyje tam 150 tys. Węgrów – to 12 proc. ludności obwodu).

W tym celu Węgry powołały w sierpniu pełnomocnika rządu ds. rozwoju Zakarpacia. Węgrzy twierdzą, że ma to zbliżyć region do Zachodu – Kijów jest tym zirytowany. W istocie wygląda to, jako żywo, jak przygotowania pod autonomię, której zresztą Orbán domagał się w 2014 r., gdy Ukraina pochłonięta była aneksją Krymu i początkiem wojny w Donbasie. Można oczekiwać, że Putin poprze w tym temacie Orbána. Oraz że w zamian usłyszy, iż Unia powinna znieść sankcje wobec Rosji. Budapeszt jest jednym z najzagorzalszych krytyków unijnych sankcji, choć gdy przychodzi do decyzji, każdorazowo popierał ich przedłużenie.

Orbán i Putin z pewnością będą rozmawiali też o kwestiach wojskowych, wciąż bowiem w modernizacji w Rosji są węgierskie helikoptery szturmowe. Jeden z nich brał nawet udział w paradzie w czasie szczytu NATO w Brukseli w lipcu tego roku. Otwartym pozostaje utworzenie z pomocą rosyjskiego kapitału nowego narodowego przewoźnika lotniczego na Węgrzech – Węgrzy nie mogą odżałować upadku Malévu w 2013 r.

Dzień po

Warto spojrzeć szerzej na polityczny kalendarz. Okazuje się, że po raz kolejny Węgrzy spotykają się z Rosjanami w okolicy szczytu Inicjatywy Trójmorza. Trzeci szczyt tej Inicjatywy odbędzie się w Bukareszcie 17 września. Gdy przed rokiem, w lipcu, do Warszawy przyleciał Donald Trump, w Moskwie szef węgierskiego MSZ Péter Szijjártó dyskutował w Gazpromie o inwestycji w South Stream i szerzej o „alternatywnym systemie dostaw gazu z Rosji". Trudno uznać, że organizacja obecnego spotkania na „dzień po" w Bukareszcie jest przypadkowa. Tym bardziej że Trójmorze jest postrzegane jako inicjatywa rosyjskosceptyczna.

Charakter spotkania Orbán-Putin po raz kolejny ma pokazać, że węgierska dyplomacja idzie własną drogą. Drogą w nieznane – skoro najbardziej antyukraińskie wystąpienia polityków z mainstreamu pisane są dziś w języku węgierskim. ©

WOJCIECH

Bonowicz:
Po męczącym dniu

Zaplanowane było pisanie o innych sprawach. Ale pocztą przyszedł tom wierszy Rona Padgetta w wyborze i przekładach Andrzeja Szuby – i już się nie dało. Wiem, że to wszystko po czasie, że sam Padgett był tu w czerwcu i nawet Szuba, legendarny anachoreta, wyszedł z tej okazji na chwilę z ukrycia, i obu fetowano jako gości Festiwalu Miłosza – tak, wtedy o tym pisać należało. Cóż, kiedy mnie akurat nie było w Krakowie, żal mi było bardzo, że ani Padgetta, ani Szuby spotkać nie spotkałem, ale co innego miałem na głowie, do Krakowa zjechałem dopiero, kiedy festiwal się kończył, przebolałem i trudno. I byłbym może w tych różnych swoich zajęciach zapomniał nawet o książce (głupi ja), gdyby po dwóch miesiącach sam wydawca, Instytut Mikołowski, nie zapakował jej i nie przysłał. Jak tylko otwarłem tomik w oliwkowej okładce, już wiedziałem – nie da się. Zdążyłem pobiec do przychodni z podaniem o wypisanie recepty, zdążyłem zrobić i rozwiesić pranie, zdążyłem zaniepokoić się wielką czarną chmurą i ucieszyć słońcem zaraz potem, zdążyłem nawet zjeść drugie śniadanie i pogonić za Leonem, ale ostatecznie siadłem i wziąłem się za lekturę. A wiadomo, jak jest: jak czytasz, to za chwilę zaczniesz pisać. Tom nosi tytuł „Bezczynność butów", a wiersz tytułowy idzie tak:

Jest tyle spraw do załatwienia dzisiaj
i dzień wspaniale nadaje się do załatwiania

Radość że można coś załatwić
i radość że się załatwiło

Wiem co mówię bo kiedy myślę o
załatwianiu spraw odczuwam spokój

Prawie słyszę jak mówią do mnie
Dzięki że nas załatwiasz

A gdy nadejdzie wieczór
zdejmę buty i ustawię je na podłodze

I pomyślę jak fajnie wyglądają
kiedy tak leżą?... stoją?... tam

I nic nie załatwiają

Trzeba powiedzieć, że Padgett pisze tak, jakby siedział z nami przy stole i mówił. Mówił do nas czy do siebie – wszystko jedno. Jego język jest kolokwialny, nienabzdyczony, nastawiony na skrócenie dystansu. Tematy wierszy często brane są z codzienności, choć równie chętnie poeta dzieli się tym, co przeczytał, co go zafrapowało w historii czy w jakimś dziele sztuki, a czasem zafilozofuje, ale w sposób bezpretensjonalny, ot tak, jakby chciał podtrzymać rozmowę, która się rwie. Bywa, że mówi o jednym, jakby myślał o czymś innym, albo w trakcie opowieści nagle zmienia wątek. Czasem też w utworach Padgetta pojawia się nieoczekiwany myk, surrealistyczny skręt, który wyrzuca nas w inne rejony.

Tego ostatniego elementu nie ma w zacytowanym wierszu. Jest on zresztą wręcz ostentacyjnie nieefektowny. Obraz butów zdjętych po całym dniu chodzenia nie ma w sobie niczego rewoltującego, był już wykorzystywany przez pisarzy i artystów; dość przypomnieć kilka sławnych płócien van Gogha, na różne sposoby podejmujących ten motyw. Ciężar utworu, wbrew pozorom, nie spoczywa na obrazie, lecz na słowie „załatwiać". Zapominając na chwilę o oryginale, pomyślmy, co właściwie komunikuje to słowo, wprawione niemal w ruch wirowy w pierwszej części wiersza. „Załatwianie spraw" może oznaczać rzeczywiste zajęcia (zakupy, odwiedzanie urzędów, wizytę u lekarza), ale też ich pozorowanie, wytracanie czasu, z którym nie wiadomo co zrobić. Ale nawet jeśli przyjmiemy, że wiersz skłania się ku pierwszemu z tych znaczeń, wcale nie zyskuje on przez to na konkretności. Nie wiemy przecież, o jakie sprawy chodzi; to, co wiemy, dotyczy raczej nastroju, stanu ducha tego, kto mówi. W pewnym momencie pojawia się zaskakująca deklaracja: „kiedy myślę o / załatwianiu spraw odczuwam spokój". Mówię: zaskakująca, bo odruchowo łączylibyśmy „załatwianie" raczej ze zmęczeniem, znużeniem. Jest to ciekawy chwyt, który – w zestawieniu z zakończeniem wiersza – powoduje, że tonacja całości staje się niezupełnie jasna. Mielibyśmy wręcz ochotę spytać: no to jak, lubi czy nie lubi? Czuje radość czy ulgę? A jeśli radość, to co takiego fajnego jest w wyglądzie rzuconych na podłogę butów?

No tak, tyle że urok poezji (i całej literatury) na tym właśnie polega, że wyłapuje ona takie momenty niejednoznaczności, nakładania się różnych emocji. Być może wiersz Padgetta mówi coś bardzo prostego: przyjemnie jest wrócić do domu po pracowicie spędzonym dniu. Stojące czy leżące w korytarzu buty byłyby wtedy symbolem tego trudu, ale i związanej z nim satysfakcji. Być może buty są równocześnie metaforą tego, ku czemu nasze życie zmierza: stanu, w którym niczego się już nie załatwia, ostatecznego odpoczynku. Mnie jednak frapuje ten moment ledwie zauważalnego przejścia z jednego nastroju do drugiego: od niemal tryumfalnego, pełnego energii otwarcia („dzień wspaniale nadaje się") do finału, w którym energia się wytraca i zamiera. Niby nic takiego, niby to oczywiste, że każdy dzień tak właśnie wygląda (od nadziei poranka do zmęczenia wieczoru), ale miło, że ktoś tak to ładnie, nie napinając się, ale też nie bez odrobiny autoironii, zapisał.

A co jest w innych wierszach, nie zdradzę. Nie wszędzie jest tak ładnie, ostrzegam. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

VIRTUDES WRACA DO ROSJI

Choć mają po 90 lat, do dziś nazywają ich „niños de la guerra", wojenne dzieci. W Rosji nadal żyje około sześćdziesięciorga Hiszpanów, wywiezionych z ojczyzny podczas wojny domowej.

KATARZYNA MOŁONIEWICZ Z MOSKWY

Piedad, Immaculada, Lola, Virtudes: to tradycyjne imiona nadawane od wieków dziewczynkom w Hiszpanii. Wszystkie mają związek z Matką Bożą: Maryja Cnót Pełna, Maryja Bolesna, Niepokalana, Miłosierna. Virtudes, ta od cnót, oraz Araceli, ta od ołtarza, i jeszcze inne, przeczyste, łaskawe, pokorne i pocieszycielki – wszystkie one popłyną statkiem towarowym „Sontay" do Związku Sowieckiego, do Leningradu (dziś Petersburg). Najmłodsze – pięcioletnie, i najstarsze – piętnastoletnie, grupkami, trzymając za ręce rodzeństwo, odświętnie ubrane – wejdą na pokład w baskijskim porcie Santurce.

Po 81 latach od tej daty Virtudes otwiera mi drzwi swojego moskiewskiego mieszkania na przedmieściach. Plecy wyprostowane, dobrze uczesana, w uszach i na szyi perełki. Tylko ten wózek... Ale porusza się na nim szybko, sprawnie lawirując między kuchnią, sypialnią i rzadko używanym salonem. Jedynie do toalety i do łazienki nie wjedzie – za wąsko. Planuje przebić ścianę, jak zaoszczędzi trochę rubli. Może jeszcze w tym roku się uda.

– Uciekliśmy z San Sebastian do Bilbao w ostatniej chwili, gdy do miasta wchodzili już *nacionales*. W Bilbao bombardowania były tak silne, że co rusz biegliśmy do schronu, ale tam bałam się jeszcze bardziej. Kilka tygodni wcześniej niemiecki Legion Kondor zrzucił bomby na Guernikę, w dzień targowy. To była masakra. Rodzice od razu zapisali nas na listę. Mnie i Angeles, bo moje dwie starsze siostry już się nie kwalifikowały, brat też nie.

– Czy matka nie protestowała? – Virtudes powtarza pytanie. – A jak ona miała nas wszystkich wyżywić, skoro ojciec, republikanin, był w okopach? Nie, wcale nie płakałam. Tak naprawdę to się nawet cieszyłam. Mama wyszykowała nas jak na wesele. Mnie dała swój naszyjnik i kolczyki z pereł. No przecież nie mogłyśmy jechać w świat jak jakieś obdartuski.

W tych słowach Virtudes nie ma żalu ani pretensji.

Piętnaście tysięcy

W lipcu 1936 r. część hiszpańskiego wojska występuje przeciw republice. Do puczu przyłączają się kolejne garnizony w hiszpańskim Maroku i na Półwyspie Iberyjskim. Zaczyna się wojna. Przez trzy lata będą trwały walki między republikanami (wspieranymi przez Związek Sowiecki) i *nacionales* pod wodzą gen. Franco (wspieranymi przez Włochy i Niemcy).

Także w Kraju Basków frankiści bombardują ludność cywilną, z powietrza, lądu i morza. Władze baskijskie apelują do społeczności międzynarodowej o pomoc w ewakuacji dzieci. Odpowiadają na apel Francja, Wielka Brytania, Belgia, Meksyk i Związek Sowiecki. Ogarnięci paniką rodzice zapisują swoich synów i córki na listy ewakuacyjne.

Dla wielu zdeklarowanych republikanów opcja sowiecka wydaje się najlepszą z możliwych. Wszak amerykański dziennikarz John Reed pisał w swojej relacji z państwa bolszewików, że „Rosja sowiecka to kraj stworzony dla dzieci".

Na hiszpańskim filmie dokumentalnym z 1937 r. utrwalono syreny alarmowe, bomby i biegnących ludzi. Utrwalono też moment wejścia na pokład dzieci. Niektóre płaczą, ale większość patrzy z zaciekawieniem. Przejęte, świadome swojej wyjątkowości. Dziewczynki w perkalowych sukienkach, chłopcy w garniturkach. Rzadko w pojedynkę, zwykle za rękę z bratem czy siostrą.

Na szyjach mają zawieszone tabliczki z numerem i nazwą kraju docelowego: „Francia", „Bélgica", „Inglaterra" [Anglia – red.], „URSS". Niektóre dzieci zamieniają się tabliczkami, jakby to były obrazki z piłkarzami.

W sumie 15 tys. dzieci z terenów będących pod kontrolą republikanów zostało ewakuowanych z ogarniętej wojną domową Hiszpanii. Z tego 3 tys. do Związku Sowieckiego. Miały wrócić po kilku miesiącach, jak tylko skończy się wojna, jak tylko zwycięży republika.

Nie pamiętam, żebym tęskniła

– „Sontay" to był statek towarowy, bez kajut – wspomina dziś Virtudes, która popłynęła do ZSRR. – Leżeliśmy pokotem w ładowni. Wymiotowaliśmy bez przerwy. Marynarze byli chyba Chińczykami i zupełnie nie mogliśmy się z nimi dogadać. Gdy zbliżaliśmy się do Leningradu, usłyszeliśmy wielką wrzawę. Orkiestra, bębny, race, śpiewy. Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy miasta wylegli na nabrzeże, żeby nas przywitać, dotknąć, wziąć na ręce, ucałować. To był taki żywiołowy entuzjazm, nigdy nie zapomnę tego powitania.

Ta scena została utrwalona w sowieckim filmie dokumentalnym. Widzimy na nim oddziały uśmiechniętych pionierów w białych koszulach i chustach, grających na bębenkach, powiewających chorągiewkami i wizerunkami Józefa Stalina. Widzimy, jak kobiety i mężczyźni biorą na ręce małych Hiszpanów. Głos spikera: „Ratując się przed faszystami, dzieci republikańskich bojowników zmuszone były opuścić ojczyznę". Potem, na powitalnym bankiecie, dzieci – już umyte i przebrane – rozgrzebują na talerzach kawior.

Jest rok 1937, apogeum stalinowskiego Wielkiego Terroru. Brytyjski sowietolog Robert Conquest szacuje, że tylko w latach 1937-38, tj. w okresie największego nasilenia represji, w Związku Sowieckim aresztowano 7-8 mln ludzi, z czego może nawet półtora miliona zostało rozstrzelanych; kolejne 2 mln zginęły w łagrach.

Virtudes: – Umieszczono nas w różnych domach dziecka: w Lenigradzie, Moskwie, na Ukrainie. Ja trafiłam do domu numer 2, w miejscowości Prawda pod Moskwą. Te domy były przeznaczone tylko dla nas, *niños de la guerra*, bo już wtedy tak nas nazywano, „wojenne dzieci". Do dzisiaj tak się o nas mówi, chociaż mamy już dziewięćdziesiątkę albo i więcej.

W szklanej bańce

– Wszystko mi się podobało – wspomina Virtudes. – No, może poza tym, że po pierwszej kąpieli nie odzyskałam już naszyjnika i kolczyków. Nie pamiętam, żebym tęskniła. Wszystko było nowe, niezwykłe: przyjaciółki, łyżwy, narty. Lekcje mieliśmy po hiszpańsku. Uczyliśmy się też rosyjskiego, ale tak dodatkowo. Na początku krzywiliśmy się na jedzenie. Potem kucharki nauczyły się gotować trochę po hiszpańsku: soczewicę, cieciorkę, dorsza. A jak nam coś nie smakowało, to mówili nam, że to ma dużo żelaza, albo że to je sam towarzysz Woroszyłow.

Sowiecki dokument filmowy: trąbka, pobudka, dzieci maszerują równo w gimnastycznych strojach. Lekcja rosyjskiego: uczniowie skandują wiersz. Udaje mi się wychwycić: „*Towariszcz Woroszyłow / narodnyj komisar*". I jeszcze: „*Ty wierno budiesz rad / kogda k tiebie na służbu / pridiot moj starszyj brat*".

O wychowanie i wykształcenie hiszpańskich dzieci troszczą się nie tylko sowieckie instytucje, ale też Komunistyczna Partia Hiszpanii (PCE), po wojnie domowej działająca na uchodźstwie, głównie ↦

Jeden ze statków, którymi władze republiki hiszpańskiej ewakuowały dzieci z terenów ogarniętych wojną domową, maj 1937 r.

AP / EAST NEWS

↦ w Moskwie. Tu przebywa jej legendarna przywódczyni Dolores Ibárruri, La Pasionaria. Dzieci to jej oczko w głowie, przyszli aktywiści, którzy będą walczyć o komunistyczną Hiszpanię. Dlatego ważne jest, by się nie rozproszyły, nie zapomniały języka.

Dbają o to nauczyciele i wychowawcy, głównie hiszpańscy komuniści. Dzieci uczą się ze specjalnie dla nich wydrukowanych podręczników. Nie mogą też być adoptowane, bo przecież mają rodziców. Żyją jak w szklanej bańce, karmione tylko tym, co ich opiekunowie uznają za stosowne.

Jak zarobiłam pierwsze ruble

22 czerwca 1941 r. bańka pęka: Hitler uderza na Stalina, z którym wcześniej zgodnie podzielił Europę Środkową.

Virtudes: – Tego dnia mieli do nas przyjechać goście z Moskwy. Czekaliśmy wszyscy na boisku, ubrani na galowo, gdy usłyszeliśmy z głośników komunikat Mołotowa: „Dziś o czwartej nad ranem niemieckie wojska zaatakowały nasz kraj". Na początku były łzy, nagle przypomnieliśmy sobie Bilbao. Ale szybko uspokoiliśmy się przekonani, że Armia Czerwona w kilka dni poradzi sobie z każdym wrogiem.

Nie poradziła sobie. Virtudes: – Wkrótce zaczęła się ewakuacja. Wywieźli nas do Niemieckiej Republiki Nadwołżańskiej, do Kukkus. Miasteczko było zupełnie puste. Cała ludność została deportowana gdzieś w głąb kraju, w dniu naszego przyjazdu odpłynęły ostatnie statki. Niemcy zostawili dobrze zaopatrzone spiżarnie, ale powiedziano nam, że nie możemy nic brać, bo gospodarze zatruli jedzenie.

Virtudes: – Poza nami w Kukkus były tylko niewydojone krowy i bezpańskie psy. Jedna koleżanka z Asturii nauczyła nas doić, bo pamiętała z rodzinnej wioski, jak to się robi. Zimę przetrwaliśmy na mleku i ziarnach słonecznika, które prażyliśmy na zaimprowizowanych piecykach.

Wspomina, że starsi chłopcy nauczyli się powozić saniami i przeprawiali się po lodzie na drugi brzeg Wołgi, po drewno na opał. Lekcje były zawsze, nawet w największe mrozy. Czasem słuchali nauczyciela, nie wychodząc spod kołder.

Virtudes: – A, i zarobiłam moje pierwsze ruble. Jeszcze w Hiszpanii robiłam na długich gwoździach szaliczki dla lalek. W Kukkus przyszła do nas uciekinierka z Ukrainy i zapytała, czy nie zrobiłybyśmy ciepłych skarpet dla jej syna na froncie. Rozpracowałyśmy to dzierganie wspólnie z koleżanką i potem już nigdy nie zabrakło mi zamówień. O wełnę było trudno, więc na okrągło prułyśmy stare koce i skarpetki.

Powrót? Lepiej nie mówić

Gdy zaczęła się wojna niemiecko-sowiecka, wiele hiszpańskich dzieci miało już po 16-17 lat. Chłopcy wyrywali się na front. Mariano, wówczas 15-letni, napisał w swojej relacji: „Nie chcieli mnie przyjąć w żadnym punkcie mobilizacyjnym. Mówili, żebym wracał do domu, do mamusi. Żeby się zaciągnąć, musiałem sfałszować swój wiek. Byłem mały i chudy i nie było munduru w moim rozmiarze ani butów. Dostałem buty damskie".

Niektóre dzieci zgubiły się w zawierusze ewakuacji, trafiły do rosyjskich rodzin i w konsekwencji straciły swoją tożsamość. Spora grupa chłopców, przyciśnięta wojennym głodem, wyspecjalizowała się w drobnych kradzieżach i fałszowaniu kartek żywnościowych. Około trzystu z nich trafiło za to do łagrów, gdzie byli nazywani przez współtowarzyszy „Juanami". Ich wyroki – w porównaniu z tymi, które dostawali za podobne przestępstwa obywatele sowieccy – były niskie: 5-7 lat.

Virtudes szykuje poczęstunek. Wyciąga z lodówki ser w plastrach, gotowaną szynkę i jajka z majonezem. Rozmawiamy po hiszpańsku. Po 81 latach spędzonych w Rosji mówi w języku ojczystym tak soczyście, jakby całe życie robiła zakupy na hiszpańskim targu i plotkowała z sąsiadkami. Tyle tylko, że nie ma żadnego regionalnego akcentu, co w Hiszpanii byłoby rzadkością.

– W 1944 r. pozwolono nam zamieszkać w Moskwie – wspomina. – Miasto nie było zniszczone, piękne, a metro... Przechadzałam się po stacjach jak po jakichś pałacowych komnatach. Wszędzie zapalone lampy, tylko w metrze w czasie wojny mogło palić się światło.

Razem z koleżankami została skierowana do technikum włókienniczego: – Wykształciłam się na specjalistkę od maszyn tkackich. No i poznałam osobiście Dolores Ibárruri. Nie mam słów, żeby opisać, jaka to była wspaniała kobieta. Posłuchaj tylko: „Lepiej umrzeć na stojąc, niż żyć na kolanach". To ona powiedziała.

A Hiszpania? Virtudes: – W tamtych czasach lepiej było nie mówić głośno o powrocie. Dalej się więc kształciłam. Jak odpracowałam swoje w fabryce włókienniczej, pozwolono mi studiować geografię, a potem jeszcze skierowano na kurs geologii. Dostawałam tysiąc rubli stypendium, dwa razy więcej niż moi sowieccy koledzy.

Nie kwalifikowałam się

O wyborze drogi życiowej „wojenne dzieci" nie decydowały same. Najwięcej mieli tu do powiedzenia ich czujni opiekunowie z Hiszpańskiej Partii Komunistycznej. Ci preferowali specjalizacje techniczne, a przede wszystkim nie chcieli słyszeć o żadnych studiach artystycznych. Utalentowanej muzycznie Josefinie powiedziano: „Hiszpania nie potrzebuje szansonistów, komediantów ani cyrkowców".

Stalin nie zgodził się na powrót „dzieci" do frankistowskiej Hiszpanii. Dopiero w 1956 r., po jego śmierci, udało się zorganizować pierwszą powrotną ekspedycję. „Dzieci" miały już koło trzydziestki, niektóre założyły rodziny. Kobiety, które wyszły za mąż za Rosjan, nie dostały pozwolenia na wyjazd.

Zarówno Związek Sowiecki, jak i rząd Hiszpanii wykorzystały akcję na potrzeby własnej propagandy. Moskwa demonstracyjnie wzięła na siebie wszystkie koszty podróży powrotnej. Odjeżdżający dostali luksusowe jak na tamte czasy wyprawki.

W tym czasie Virtudes była już mężatką: – Najpierw wyszłam za Cesara, też Hiszpana. Mieszkaliśmy w komunałce, w jednym pokoju z inną parą. Wkrótce urodziłam pierwszego syna. Cesar był przystojny i elegancki, ale na ojca to on się nie nadawał. Co innego mój drugi mąż, Andrej. Miałam z nim jeszcze dwóch synów. Gdy zaczęły się powroty do Hiszpanii, miałam już męża Rosjanina, więc się nie kwalifikowałam. Wyjechała moja siostra Angeles.

Pomiędzy frontami

Ze Związku Sowieckiego do Hiszpanii wrócili ludzie wykształceni: lekarze, fizycy, architekci. Trudno było im się odnaleźć w zacofanej i klerykalnej Hiszpanii lat 50. i 60. XX w., szczególnie kobietom. W rodzinnym kraju nie miały nawet praw wyborczych, bez zgody męża nie mogły otworzyć konta w banku ani wyjechać za granicę.

Ponadto repatrianci traktowani byli podejrzliwie. Co dwa tygodnie musieli się stawiać na policji, gdzie godzinami ich przesłuchiwano jako potencjalnych szpiegów. Związki małżeńskie musiały być powtórnie zawarte w kościele, dzieci ochrzczone. Niektóre kobiety rozwiodły się w Związku Sowieckim ze swoimi

Z lewej: Virtudes (w środku) w sowieckim domu dziecka z przyjaciółkami Dolores i Marią. Z prawej: Virtudes w Moskwie, 2018 r.

Z ARCH. K. MOŁONIEWICZ X2

rosyjskimi mężami, by móc wyjechać z dziećmi do Hiszpanii. Te, jako samotne matki, były traktowane najgorzej.

W rezultacie aż 635 „wojennych dzieci" z grupy, która wróciła do Hiszpanii w pierwszych ekspedycjach, wystąpiło w 1959 r. o prawo ponownego osiedlenia się w ZSRR.

Virtudes: – Po raz pierwszy od wyjazdu z Hiszpanii z matką zobaczyłam się w 1967 r., po 30 latach. Nie mogłam pojechać do Hiszpanii, ale był sposób. Pisało się do władz francuskich z prośbą o zaproszenie i oni to jakoś załatwiali. Spotkałam się z mamą w Lyonie, gdzie mieszkała jedna z moich sióstr. Miałyśmy kilka godzin, żeby opowiedzieć sobie wszystko. Ona się czuła winna, ale jak zobaczyła, że jestem zdrowa i szczęśliwa, to uznała, że Bóg jej przebaczył. Tak mi powiedziała. Brat i pozostałe siostry nie dostały przepustki z Hiszpanii do Francji. Mogliśmy tylko pomachać sobie na odległość: oni po jednej stronie mostu w Hendaye [miejscowość na granicy hiszpańsko-francuskiej – red.], a ja po drugiej. Ojca już nigdy nie zobaczyłam.

Tam i z powrotem

Z kuchni przenosimy się do sypialni Virtudes. Na biurku wysłużony komputer. Jako dwudziestolatka Virtudes radziła sobie z naprawą maszyn włókienniczych, jako trzydziestolatka wykonywała ekspertyzy geologiczne, a jako dziewięćdziesięciolatka ma opanowaną obsługę poczty elektronicznej, internetu i Skype'a.

Wspomina: – Uwielbiałam pracę geologa. Zaraz na początku wysłali nas za Ural. Tam byli wspaniali ludzie, solidarni, nie tak jak teraz, gdy każdy myśli o sobie. I przyroda taka, że dech zapiera. Ale z trójką dzieci nie mogłam już pracować w terenie, musiałam sobie poszukać innego zajęcia. Znowu mi się poszczęściło. Zatrudnili mnie w agencji informacyjnej Nowosti. Od kiedy na Kubie zwyciężył Fidel Castro, potrzebowali ludzi z hiszpańskim. W domu dziergałam swetry na zamówienie. Dzieci, mąż... Właściwie nie wiem, kiedy spałam.

No właśnie: dzieci, mąż... Virtudes sama wybawiła mnie od trudnych pytań. – Mój najstarszy syn był specjalistą od instalacji elektrycznych. Wpadł do wykopu. Szpital, operacja. Przy okazji czymś go zakazili i nie udało się opanować infekcji. Drugi syn zmarł na raka, tak samo jak mąż. Został mi trzeci, Pablo, i jego rodzina.

– No a co z Hiszpanią? – pytam. Mam wrażenie, że Virtudes traci werwę, a jej opowieść, dotąd żywa i pełna koloru, staje się lakoniczna.

Mówi: – Po śmierci Franco w 1976 r., jak już nastała demokracja, mogliśmy co roku wyjeżdżać do Hiszpanii na wakacje, płacił za to rząd hiszpański. Byłam parę razy w San Sebastian u rodziny. Moje siostry, takie eleganckie señory, którym niczego nie brakowało, chodziły za mną i powtarzały, żebym gasiła światło albo nie zużywała tyle wody. Niby wielkie panie, a takie drobnomieszczańskie.

Zdecydowała się na powrót do San Sebastian w 2008 r., po śmierci obu synów i męża. Wspomina: – Chorowałam już na nogi i pomyślałam, że może w tamtym klimacie będzie mi łatwiej. W Rosji też nie było już tak jak kiedyś, przed tym całym bałaganem. A poza tym to ja tu zawsze byłam Hiszpanką i czułam się Hiszpanką, więc chciałam wreszcie spróbować tej Hiszpanii.

– Wyjechałam do mojego kraju – dodaje. – A tam wszyscy do mnie: Rosjanka i Rosjanka! Jak tylko ludzie dowiadywali się, że przyjechałam z Moskwy, to zaraz mówili takie różne nieprzyjemne rzeczy. Że Rosjanie to terroryści, że współpracowali z Hitlerem. No jak to z Hitlerem? A kto uratował świat przed faszyzmem? Nie mogłam słuchać tych bzdur! Wróciłam do Rosji po ośmiu miesiącach.

Tutaj to jestem Wiera

Dziś w Rosji pozostało jeszcze około sześćdziesiątki „wojennych dzieci". Kiedyś spotykali się regularnie, w Ośrodku Hiszpańskim w Moskwie. Dziś przychodzi ich niewielu: klub mieści się na trzecim piętrze w budynku bez windy.

Virtudes wyjmuje z szafki bombonierkę i częstuje mnie czekoladkami od Putina. Niedawno, na 90. urodziny, dostała list od prezydenta Rosji z życzeniami. Razem z listem przyszła bombonierka i serwis do kawy, w rosyjskich narodowych barwach i z dwugłowym orłem.

Żegnamy się w korytarzu, przy zbyt wąskich drzwiach do łazienki i toalety. – Jak przyjedziesz do mnie następnym razem, na pewno będzie już po remoncie – mówi na pożegnanie.

Wychodząc przypominam sobie, że miałam ją zapytać, czy Rosjanom nie sprawia trudności wymawianie jej imienia. – Tutaj to ja jestem Wiera – odpowiada z uśmiechem.

Virtudes, ta od cnót. Cnoty główne, przyrodzone, to: mądrość, sprawiedliwość, męstwo i umiarkowanie. Są jeszcze cnoty nadprzyrodzone: wiara, nadzieja i miłość. Wiara, czyli Wiera.

© KATARZYNA MOŁONIEWICZ

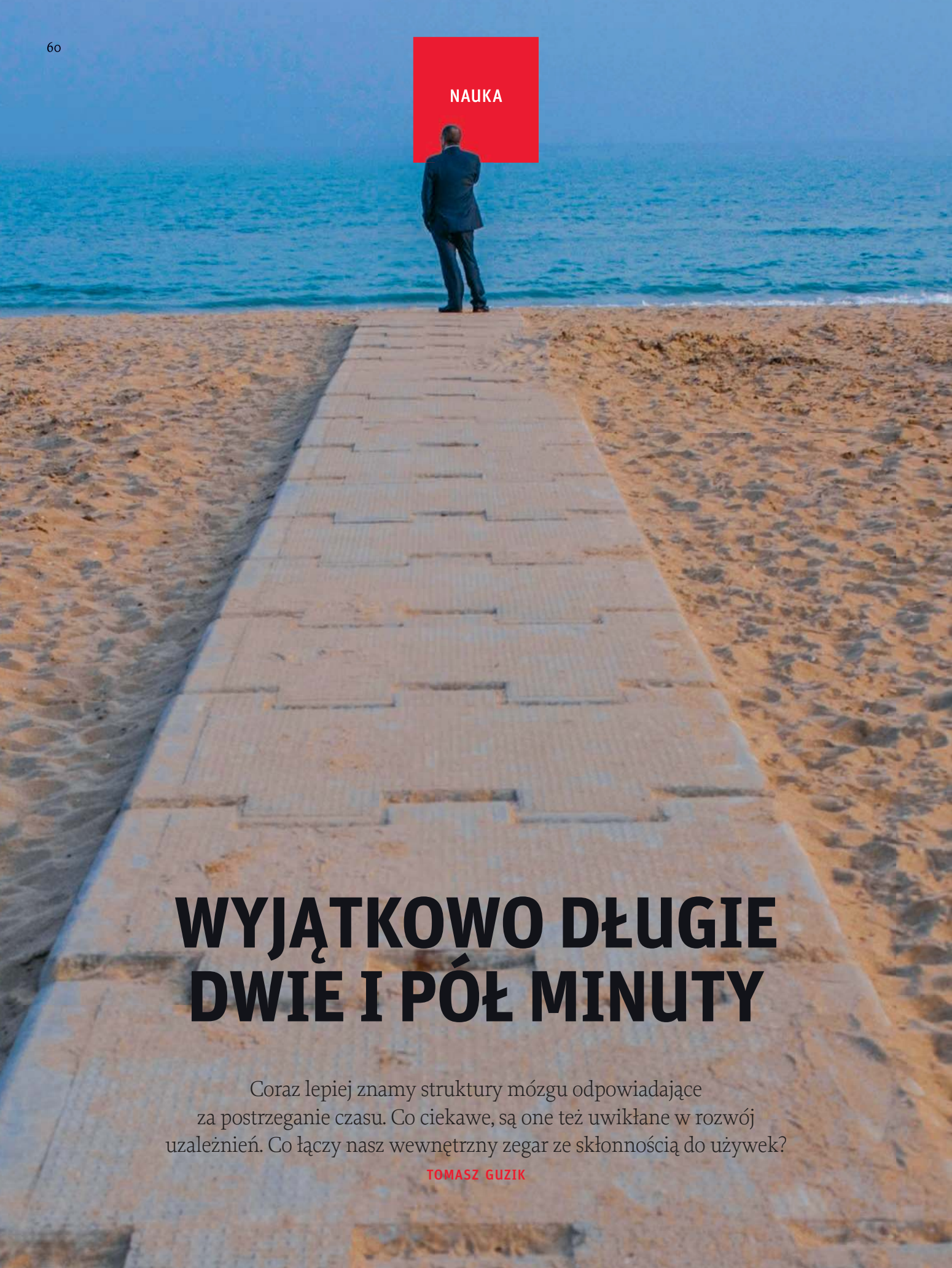

WYJĄTKOWO DŁUGIE DWIE I PÓŁ MINUTY

Coraz lepiej znamy struktury mózgu odpowiadające za postrzeganie czasu. Co ciekawe, są one też uwikłane w rozwój uzależnień. Co łączy nasz wewnętrzny zegar ze skłonnością do używek?

TOMASZ GUZIK

Rankiem 29 grudnia 1975 r. niespełna 40-letni aktor, znany głównie w środowisku teatralnym, obudził się w hotelu w Phoenix w stanie Arizona. Jedyne, co pamiętał, to fakt, że dzień wcześniej przebywał w odległym o 600 km Los Angeles. Nie potrafił sobie przypomnieć podróży, którą musiał przecież samodzielnie odbyć samochodem. Był kompletnie pijany.

Nazywał się Anthony Hopkins. Po tym wydarzeniu artysta poddał się terapii, dzięki której od ponad 40 lat pozostaje trzeźwy. Dopiero po zakończeniu leczenia mógł z pełnym zaangażowaniem poświęcić się odgrywaniu ról w filmach. Dzisiaj uznawany jest za jednego z najwybitniejszych aktorów.

Co spowodowało, że tak utalentowany człowiek przez wiele lat był uzależniony od alkoholu? Tworząca się na naszych oczach nowa dyscyplina zwana neuroekonomią rzuca światło na to, co z biologicznego punktu widzenia może sprzyjać powstawaniu uzależnień. Zgodnie z najnowszymi odkryciami mózgi osób uzależnionych w inny sposób niż umysły pozostałych ludzi postrzegają czas.

Narodziny nauki

Neuroekonomia angażuje przedstawicieli trzech dziedzin wiedzy: ekonomii, psychologii oraz neuronauki. Choć połączenie to może na pierwszy rzut oka wydawać się niejasne, każda z tych nauk posiada swoiste narzędzia pozwalające wyjaśniać, w jaki sposób ludzie podejmują decyzje oraz jakie kierują nimi motywacje. W każdej z nich stosowane są jednak inne metody badawcze, dzięki czemu neuroekonomia jest tworem interdyscyplinarnym, a jej zwolennicy mają nadzieję, że powie nam o ludzkich procesach decyzyjnych więcej niż trzy składające się na nią nauki razem wzięte.

Mimo że jej korzenie sięgają głęboko, neuroekonomia rozwija się pod własnym szyldem dopiero od początku tego stulecia. W 2003 r. opublikowana została książka Paula Glimchera, poświęcona niepewności w ludzkich procesach decyzyjnych. Była to pierwsza monografia naukowa, w tytule której padło słowo „Neuroeconomics". Natomiast w 2005 r. zawiązano Society for Neuroeconomics z siedzibą w Victorii (Kanada). Organizuje ono coroczne konferencje, gdzie dyskutowane są najnowsze odkrycia, teorie oraz zagadnienia metodologiczne z tego obszaru badań. Mówimy więc o młodej dyscyplinie.

Specyfika neuroekonomii wynika z połączenia trzech różnych podejść. Psychologowie konstruują teorie i modele ludzkich działań, wykorzystując typową dla tej dziedziny metodologię badawczą, flirtującą równie silnie z naukami empirycznymi (skąd choćby umiłowana przez psychologów analiza statystyczna), jak i humanistycznymi (choć trudno to zrozumieć wielu „ścisłowcom", potężnym źródłem wiedzy o człowieku może być, o zgrozo, pogłębiona rozmowa).

Ekonomiści – dla wielu może to być zaskoczeniem – lubują się w tworzeniu formalnych teorii opartych na przyjętych wcześniej założeniach (tzw. aksjomatach), co w praktyce oznacza, że ich działalność często różni się tylko nazwą od matematyki czystej. Słynna teoria gier, która przyniosła wiele dobra ekonomii, opiera się w dużym stopniu na matematycznej analizie tego, jak zachowa się wyidealizowany „gracz" (lub ich grupa) podejmujący decyzję w ściśle przewidywalny, zautomatyzowany sposób – jak komputer. Język teorii gier to więc w dużej mierze twierdzenia matematyczne, których dowodzi się w zgodzie z prawidłami logiki formalnej.

Celem neuronauki jest z kolei wyjaśnienie i zrozumienie funkcjonowania układu nerwowego człowieka oraz ustalenie, jakie jest neuronalne podłoże uczenia się, pamięci czy świadomości. Według amerykańskiego neurobiologa Erica Kandela, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny z 2000 r., wyjaśnienie przez neuronaukę biologicznych uwarunkowań tych zjawisk jest „ostatecznym wyzwaniem nauk przyrodniczych". By osiągnąć ten cel, neuronaukowcy korzystają z nowoczesnych metod badawczych neurologii, takich jak funkcjonalne obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego (fMRI), elektroencefalografię (EEG) lub obrazowanie tensora dyfuzji (DTI). Z drugiej strony neuronaukowców najłatwiej chyba, spośród przedstawicieli trzech wspomnianych tu dyscyplin, przyłapać na kontaktach z filozofami – choć wielu mniej lub bardziej ostentacyjnie odmawia tej współpracy i publicznie się od niej odżegnuje. W porównaniu z ekonomią i psychologią neuronauka jest też zdecydowanie najmłodszą spośród tych trzech dziedziną nauk. Jej początki sięgają lat 70. ubiegłego stulecia, podczas gdy psychologia i ekonomia we współczesnej postaci zaczęły być rozwijane już w XIX, jeśli nie XVIII w.

Krótko mówiąc, celem nadrzędnym dla badaczy zajmujących się neuronauką jest wyjaśnienie, w jaki sposób ludzie podejmują decyzje, przy uwzględnieniu wyników i metod neuronauki, psychologii poznawczej i społecznej, biologii, a nawet informatyki i matematyki. To jednak teoria. Pytanie brzmi, jak sprawdzi się w praktyce. Jednym z budzących największe emocje celów neuroekonomii jest badanie uzależnień.

Czekając na papierosa

Aby zrozumieć, w jaki sposób zagadnienie percepcji czasu łączy się z problemem uzależnień, dobrze jest wyjść od na pozór słabo z nimi związanego pojęcia wartości (*value*). Ekonomiczna teoria wartości pozwala określić, jak bardzo motywujące dla danej jednostki jest podjęcie określonego działania oraz jak bardzo dana osoba pragnie osiągnąć wyznaczony cel.

Termin ten ma kluczowe znaczenie przy badaniu uzależnienia. Zachowanie, działanie lub konkretna substancja, od których uzależniona jest dana osoba, posiada dla niej wszak wyższą wartość niż alternatywy, jakie w danej sytuacji ma do dyspozycji. Mówiąc inaczej, z punktu widzenia neuroekonomii spośród stawianych osobie uzależnionej opcji wszystkie oprócz oddania się uzależnieniu mają zbyt niską wartość, by z tą decyzją wygrać w czysto racjonalnym, ekonomicznym rachunku zysków i strat.

To jednak, jak przypuszczam, jest mało kontrowersyjna teza; może tylko wyrażona w niecodziennym języku. Zagadnienie staje się zdecydowanie bardziej interesujące, gdy zapytamy, jaką rolę odgrywa w „rachunku ekonomicznym" czas i jego postrzeganie? Odpowiedź na to pytanie można sprowadzić do modelowej sytuacji – osoba A ma do wyboru: zapalić papierosa (opcja X) lub też odmówić sobie samemu takiej przyjemności, co z pewnością będzie miało wpływ na lepszy stan zdrowia w przyszłości (opcja Z). (Jak to często bywa w ekonomii, w takiej sytuacji zakładamy, że osoba ta posiada wiedzę na temat szkodliwości palenia. W rzeczywistych badaniach, o których będzie mowa w dalszej części artykułu, poziom tej wiedzy można bezpośrednio sprawdzić). Jest to wybór pomiędzy mniejszą, ale zdecydowanie szybciej otrzymaną nagrodą (prędko zaspokojony głód nikotynowy), ↦

MARC STPIERRE / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

↦ a większą, aczkolwiek odłożoną na przyszłość gratyfikacją: lepsze zdrowie, dłuższe życie.

Marc Wittmann i Martin Paulus wskazują w swoich publikacjach, że osoby uzależnione cechują się wyższą impulsywnością – decyzje podejmują bardzo szybko, bez zastanowienia się nad konsekwencjami, jakie mogą one wywołać w przyszłości – co wiąże się z tym, że przeszacowują upływające jednostki czasu. Inaczej mówiąc, uzależnieni mniej prawidłowo oceniają, jak długo trwała określona czynność, stwierdzając, iż jej wykonanie wymagało poświęcenia większej ilości czasu, niż było to w rzeczywistości. Możliwe więc, że to przez błędną ewaluację długości przeżywanych chwil dochodzą do wniosku, że odroczona przyjemność (opcja Z) ma względnie mniejszą wartość, niż by to oceniła osoba nieuzależniona. Wedle ich oceny nagroda przyjdzie bowiem „później", niż nastąpiłoby to w rzeczywistości, preferują więc wybór mniejszej nagrody, którą otrzymają jednak zdecydowanie szybciej.

Martin Reuter i Christian Montag w książce „Neuroeconomics" analizują nieco bliżej logikę stojącą za tym, że postrzeganie upływającego czasu wpływa na impulsywność danej osoby, co w konsekwencji sprzyja powstawaniu uzależnień. Osoby uzależnione kładą nacisk na to, czego doświadczają w danym momencie życia – mniej interesuje je to, w jakiej sytuacji będą się znajdować w przyszłości, jakich wyborów będą dokonywać czy też z jakimi wyzwaniami będą się mierzyć. Skupione są w większym stopniu niż osoby z grup kontrolnych na „tu i teraz", przez co są też bardziej świadome tego, jak szybko mijają wydarzenia, w których właśnie uczestniczą. Koncentrowanie się na teraźniejszości powoduje zaś powstanie w ich jaźni wrażenia, iż czas płynie wolno. Można by to sobie wyobrazić jako szkło powiększające nałożone na segment osi czasu z napisem „teraźniejszość".

Przypuszczenia te zostały potwierdzone przez wiele badań. Przykładowo, w eksperymencie, który w 2005 r. opisał Michael Sayette wraz ze współpracownikami, osoby czujące dużą potrzebę sięgnięcia po papierosa doświadczały wolniejszego upływu czasu niż grupa kontrolna. W badaniu tym osoby nałogowo palące papierosy, które zgodziły się przyjść na badanie po 12-godzinnej abstynencji (co sprawdzono, mierząc zawartość tlenku węgla w wydychanym przez nich powietrzu), podzielono na dwie grupy. Jednej z nich – grupie kontrolnej – pokazano coś zupełnie neutralnego. Była to rolka taśmy klejącej, którą badani mieli podnieść i odłożyć z powrotem na stół. Drugiej grupie wręczono natomiast paczkę papierosów i zapalniczkę. Co więcej, uczestnicy ci zostali poproszeni o odpalenie papierosa, potrzymanie go chwilę w ręku (bez zaciągania się!) i zgaszenie w popielniczce. I jednym, i drugim powiedziano następnie, że za 2,5 minuty mogą zapalić, jednak najpierw mieli oszacować, kiedy minie 45, a następnie 90 sekund od ustalonego sygnału. Osoby z drugiej grupy odbierały upływ czasu wyraźnie wolniej, tak że obiecany papieros wydawał się być bardziej oddalony w czasie.

Mózg, ciało i wszystko inne

Czy neuronauka może nam pomóc w zlokalizowaniu przyczyn takich zależności? Wydaje się, że udało się zidentyfikować obszary odpowiedzialne za subiektywną percepcję czasu, choć środowisko neuronaukowców jak na razie ostrożnie podchodzi do przeprowadzonych eksperymentów.

Jak twierdzą Reuter i Montag, obrazowanie metodą fMRI wykazało, iż istnieją dwa obszary w ludzkim mózgu, które są szczególnie uwikłane w nasze odczuwanie prędkości upływania wydarzeń, w których uczestniczymy. Mowa tutaj o prążkowiu oraz o korze wyspowej. W bardziej szczegółowym badaniu, opublikowanym w 2004 r., Saori Tanaka wraz ze swoimi współpracownikami opisała, iż różne obszary prążkowia i kory wyspowej aktywują się z różną intensywnością, zależnie od typu spodziewanej nagrody. Uczestnicy eksperymentu otrzymywali nagrody pieniężne – lub niewielkie kary – za podejmowanie decyzji. Gdy nauczono ich, że są nagradzani od razu po wykonaniu każdego zadania, to w momencie oczekiwania na nagrodę aktywowały się raczej obszary brzuszne wyspy i prążkowia. Gdy natomiast zostali nauczeni, aby znosić niewielkie kary, oczekując na dużą nagrodę w niedalekiej przyszłości, silniejszą aktywność wykazywały regiony grzbietowe tych struktur.

Czy oznacza to, że dzięki neuroekonomii udało się już wyjaśnić, jakie są źródła podejmowanych przez nas decyzji, a w konsekwencji i naszych uzależnień? Niestety nie. Zarówno okoliczności, w których podejmujemy codzienne decyzje, jak i same mechanizmy powstawania uzależnień są wielowymiarowe. Percepcja czasu jest zaledwie jedną z kilku płaszczyzn, mających wpływ na ostatecznie podjętą decyzję. George Loewenstein w artykule „Out of Control: Visceral Influences on Behavior" zwraca uwagę na inne, ważne czynniki, które w istotny sposób wpływają na podejmowane przez nas decyzje, a mają ugruntowanie w naszych najgłębszych instynktach. Mowa tutaj o potrzebach takich jak uniknięcie głodu i strachu czy zaspokojenie seksualne. Choć więc nie jesteśmy „racjonalnymi graczami", jakich czasem opisują nauki ekonomiczne, to warto docenić nawet małe kroki – jak opisywane tu odkrycia wiążące ze sobą wewnętrzną percepcję czasu z mechanizmami podejmowania decyzji – które zbliżają nas do poznania prawdy o człowieku. © TOMASZ GUZIK

TP

Drodzy Czytelnicy!

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

ZGIERZ

czwartek, 20 września, godz. 18.30, spotkanie autorskie.
Miejsce: sala konferencyjna Parku Kulturowego, Miasto Tkaczy (ul. Rembowskiego 1).

KRAKÓW

wtorek, 25 września, godz. 18.00, rozmowa wokół książki „Wieczny Hiob".
W dyskusją wezmą udział ks. Adam Boniecki i Paweł Śpiewak.
Prowadzenie: Wojciech Bonowicz. Miejsce: Klub Hevre (ul. Meiselsa 18).

OGŁOSZENIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Książki w Tygodniku" pozbawione dotacji MKiDN

MAGAZYN POWRACA

Mimo braku dotacji z MKiDN „Książki w Tygodniku" wracają na łamy! Nowe otwarcie
– nowe oferty
– nowe możliwości.

Zapraszamy Wydawców do kontaktu:
reklama@tygodnik.com.pl
tel. 12 422 05 70

KULTURA

POETA KRAJU PODWÓJNEGO

Andrzej Bursa to buntownik, obrazoburca, bluźnierca. A równocześnie subtelny liryk, autor jednego z najpiękniejszych poematów, jakie napisano po polsku. I wielki kronikarz trudnej przemiany młodości w wiek dojrzały.

MICHAŁ OLSZEWSKI

Umarł niespodziewanie 15 listopada 1957 r., mając zaledwie 25 lat. Jego debiutem miał być tom „Kat bez maski", który złożył w Wydawnictwie Literackim kilka miesięcy wcześniej – tom został jednak odrzucony. Pierwsza książka Andrzeja Bursy, czyli „Wiersze", ukazała się pośmiertnie.

Czy autor poematu „Luiza", odczytywany przez minione 60 lat na różne sposoby, ma nam jeszcze coś istotnego do powiedzenia? Może jest już tylko legendą? Czy narzędzia, które zaproponował, nadają się do opisu rzeczywistości, czy też cała jego twórczość jest obiektem wyłącznie muzealnym, dobrym do wyciągania bon motów? Nie mam najmniejszej wątpliwości, że Bursa domaga się ponownej lektury, tak z przyczyn publicystycznych, jak i ponadczasowych. Nadal obraża i kala święte ciało ojczyzny, pytając, za jakie grzechy Bóg uczynił go Polakiem. W roku 2018 tak postawione pytanie może wywołać wściekłość patriotów. Na dnie tutejszego piekła ludzie nadal „gotują kiszoną kapustę i płodzą dzieci". Fraza „ubierz łach zapnij łach" nie straciła na aktualności, podobnie jak gest drwiny i sarkazmu, który w nadzwyczaj solennych czasach staje się coraz trudniejszy.

Andrzej Bursa, zdjęcie niedatowane

ARCHIWUM MICHAŁA BURSY / ZNAK

Reporter na parowozie

Wyznam od razu: z „Dziełami (prawie) wszystkimi", wyborem utworów Andrzeja Bursy przygotowanym przez Wojciecha Bonowicza, mam problem, nie znalazł się w nich bowiem blok tekstów, bez których trudno zrozumieć dramat tego pisarza. W niewielkiej, ale różnorodnej i skomplikowanej niby labirynt kłączasty bibliografii Bursy niemały fragment zajmują bowiem prace dziennikarskie, pisane w połowie lat 50. dla „Dziennika Polskiego". Podobno sam pisarz nie cenił ich zbyt wysoko, uznając po prostu, że to zwyczajna forma pracy zarobkowej, skarżył się też, że redakcja bez jego wiedzy wprowadza do artykułów zmiany. Bursa przywrócony przez Znak to poeta, prozaik, autor prób dramatycznych – dziennikarza zabrakło. Moim zdaniem niesłusznie, dlatego że obecność form z gazety codziennej pokazywałaby jeszcze dobitniej napięcie widoczne w biografii i twórczości autora „Luizy".

Sięgnijmy zatem do wydanych w 1982 r. (to było już trzecie wydanie, co świadczy o trwałej popularności Bursy) „Utworów wierszem i prozą" pod redakcją Stanisława Stanucha. Znajduje się w nich jedenaście reportaży z Krakowa i okolic, pisanych klasyczną stylistyką produkcyjną pierwszej powojennej dekady. Weźmy trzy z nich, wszystkie z roku 1955. Młody, wysłany w teren dziennikarz z szacunkiem pochyla głowę przed ludźmi ciężkiej pracy, piętnuje pijaństwo i bumelantów, rozmawia z mieszkańcami Nowej Huty.

Żeby zrozumieć fizyczny trud, jedzie parowozem w stronę Katowic, przyznając się do sromotnej inteligenckiej porażki – zaduch okazał się tak nieznośny, że reporter wysiadł już w Trzebini. „W Prokocimiu, stanowiącym pierwszy etap naszej drogi, drobny, szczupły Bachuła z uśmiechem rozpina bluzę: – Spójrzcie. – Koszula jest czarna i mokra od potu, podszewka bluzy nasiąka wilgocią jak gąbka". „– W pierwszych dwóch kwartałach bieżącego roku zaoszczędziliśmy 6915 ton węgla, a planowaliśmy zaoszczędzić przez cały rok tylko 5400... – mówi instruktor". „– Psiakość – mówię zawstydzony – wiedziałem, że praca maszynisty jest ciężka, ale żeby aż tak...".

Albo sobotni wieczór po wypłacie: nawet w reportażu produkcyjnym nie sposób ukryć, że miasto wpada wtedy w alkoholowy trans. Spomiędzy słusznych ideologicznie wersów wyraźnie przebija obraz społeczeństwa trawionego pijaństwem. „W poniedziałek znów staną do pracy na swoich placówkach i będą pracować, szkolić się, brać udział w zebraniach. Ale w sobotę po wypłacie odbierze nam ich s t a r e. Znów będą wylewnie ściskać się z przypadkowo poznanymi kombinatorami i pozwolą się zaprowadzić ↦

↦ do mieszkania »panienki«. Cóż, odcinek walki o naszą sobotę był jednym z najtrudniejszych odcinków naszej walki politycznej".

I w końcu wyjazd do Nowej Huty, która dyskutuje o „Poemacie dla dorosłych" Adama Ważyka, opublikowanym właśnie na łamach „Nowej Kultury": „Jest już noc, gdy dyskusję podsumowuje poseł Polewka. Mówiąc o specyfikach każdego utworu poetyckiego polegających na tym, że może on być rozmaicie odczytany, osobiście ustosunkowuje się do »Poematu« surowo. Wskazuje na jego mieszczańskie pozycje klasowe. Polewka wyraził w jasnych słowach to, co większość dyskutantów czuła, tylko nie mogła sobie jasno uświadomić lub precyzyjnie wypowiedzieć". Po Ważyku pozostaje w Nowej Hucie, zdaniem Bursy, „paląca rana urazy i oburzenia".

Cytuję obficie teksty, których w nowym wyborze Bursy zabrakło, nie po to, by demaskować zaangażowanie autora „Pantofelka" w budowę PRL-u. Wydaje mi się jednak, że bez tego dopełnienia nie sposób zrozumieć poezji Bursy, która jest przynajmniej w części rozpaczliwą ucieczką od strasznej Polski lat 50., Polski opisywanej przez jego przyjaciela Stanisława Czycza w „Nie wierz nikomu", Polski brudnej, zmęczonej, pijanej, głodnej, Polski w głębokim cieniu wojny, rozpiętej pomiędzy wiarą w komunizm i żarliwym katolicyzmem, żyjącej życiem podwójnym. Właśnie radykalna próba wyzwolenia się z owej podwójności, połączona z przedwczesną śmiercią, nadaje Andrzejowi Bursie tak tragiczny rys.

ARCHIWUM MICHAŁA BURSY / ZNAK

Rysunek Andrzeja Bursy

Miejsca schronienia

Drogi ucieczki, co wyraźnie pokazuje twórczość Bursy, prowadziły w różnych kierunkach.

Pierwsza sytuuje go jako spadkobiercę klasycznego nurtu poezji polskiej. Bursa, szczególnie na początku swojej krótkiej drogi artystycznej, trzyma się rytmu, rymu i tradycyjnego wersowania, chwilami na tyle konsekwentnie, że tworzy wiersze brzmiące jak gotowy materiał do piosenek. Dużo w tej poezji przyrody, spokojnej wędrówki, prowincjonalnych obrazów, wielkiej wrażliwości i tęsknoty za wolnością. Czytelnicy wraz z poetą kroczą przez pagórki, „wąwozy, ścieżki, szosy".

Nie podejmę się odpowiedzi na pytanie, czy owa tęsknota ma charakter głębszy, egzystencjalny, czy też jest oczywistą reakcją na atmosferę połowy lat 50. – być może obie odpowiedzi są prawidłowe. Nie ulega jednak wątpliwości, że już nostalgia otwierającego „Dzieła (prawie) wszystkie" wiersza „Prowadziły nas lata tamtego niedziele..." jest przeszywająca i bolesna, jak gdyby ucieczka przed opresją była możliwa tylko na chwilę. Puentą wielkiego dnia, gdy „stukało serce mocno jak wesoły dzięcioł / W rezerwacie, gdzie chodzić nie wolno pod bronią", jest powrót do przypominającego czołg miasta (gdzie indziej „Miasto jak pięść pancerna grozi").

To doświadczenie braku, poczucia przebywania nie na swoim miejscu, straty przewija się przez twórczość poety nieustannie. Ucieczki przynoszą chwilową tylko ulgę, ale są konieczne, dlatego Bursa umyka w fantazję, rojenia, świat wyobraźni, w którym nie ma miejsca na opisywaną przez Czycza „odcharkniętą plwocinę" wycelowaną w konterfekt Stalina. Czym, jeśli nie próbą zbudowania czegoś w rodzaju poetyckiego schronienia, jest wielki poemat „Luiza" – fajerwerk stylistyczny, mieszanina kosmologicznych obrazów i egzotycznych tęsknot, spiętych w całość postacią mitycznej i nieodgadnionej kochanki.

Mimo szczupłego dorobku Bursa jest również – kto wie, czy nie jednym z najważniejszych w literaturze polskiej – kronikarzem tych miejsc, gdzie młodość ściera się z dojrzałością. Naiwność miesza się w nich z powagą, pierwsze uczucia wybuchają z niespotykaną siłą, spomiędzy słów i obrazów wyłania się świadomość bezpowrotności istnienia. Jak w „Fińskim nożu" – jednocześnie melancholijnym i skocznym hymnie ku czci czasów, kiedy jeszcze wszystko zdaje się możliwe. Nie bez kozery przywołuję właśnie ten wiersz – ponadczasowy, pozornie prosty, stał się mottem znakomitego i dzisiaj już nieco zapomnianego filmu Andrzeja Barańskiego „Nad rzeką, której nie ma", opartego na równie melancholijnej prozie Czycza:

Miałem błyszczący fiński nóż
Z napisem „Made in Finland"
Gdy zmierzch podmiejskich sięgał wzgórz
We flechtach krew tętniła

Bawoła mogłem zabić nim
Ciąć na ogniska trzaski
A gdy się wlókł już gęsty dym
Rzeźbić psi łeb na lasce

Aż raz gdy noc zapadła już
Szmer obcy w krwi zatętnił
Więc chciałem sięgnąć po swój nóż
Gdy stanął przy mnie księżyc

Piętnastoletnich głupich ust
Uściski wśród bzów mokrych
I zgasł jak świeczka fiński nóż
W szufladzie rdzą się okrył

Miałem błyszczący fiński nóż
Bawoła bym nim zabił
Gdy zmierzch podmiejskich sięga wzgórz
Dobywam go z szuflady

W kącikach flechtów wieczór już
lśni jak porzeczka krwawa

Ukradkiem z rdzy wycieram nóż
I między bajki wkładam

Tę drogę ucieczki puentuje w sposób symboliczny „Piosenka chorego na raka" – jeden z najbardziej przejmujących momentów w twórczości Andrzeja Bursy, rozgrywająca się „w błękitnym brzęku lata o zmierzchu" paradoksalna opowieść o radości życia w sytuacji ostatecznej. Owszem, „rak jest chorobą nieuleczalną", ale perspektywa bliskiego kresu nie zwalnia z czujności wobec świata, miłości do detalu i całkiem przyziemnych obowiązków – podpowiada poeta, jak gdyby przeczuwając swoją niespodziewaną śmierć.

Spacer po dnie piekła

Pięknie napisana melancholia nie wyjaśnia jednak wszystkich przyczyn legendy Andrzeja Bursy. Jej źródeł należy upatrywać gdzie indziej: w poszukiwaniu dróg ucieczki pisarz ruszył w kierunku wówczas bluźnierczym i niezbadanym. Był pierwszym powojennym poetą gniewu i wściekłości. Przerwana w pół zdania erupcja talentu do dzisiaj wywołuje wrażenie, ponieważ widać w niej próbę brutalnego zerwania z koniecznościami narzuconymi poezjiczy szerzej: sztuce – przez system. Pisałem wcześniej o braku, ale nie wykluczam, że dla większości czytelników pozostanie on niezauważalny: lukę dziennikarską wypełniają po raz pierwszy opublikowane w „Dziełach (prawie) wszystkich" juwenilia i rękopisy, w których również odbija się duch epoki. W roku 1948 młody Bursa pisze:

Sztandar zrodzony z ubogich skargi
Na szczytach zapłonął teraz
Widzę cię znowu, spieczone wargi
Skręcony w palcach papieros

Znój stutonowy zwilżył ci skroń
Dyszą żywioły uległe
Glob ziemski niosą twe mocne dłonie
Dumnie z rozwagą jak cegłę
(...)
Ty o zmęczonej skroni
Żywioły ci uległy
Świat niesiesz w mocnej dłoni
Jak stupudową cegłę

Przestrzeń wtworzona w szyny
Rzeźby ujęcie w beton
Dziś patos to jedyny
Co śpiewać mu poetom

Niecałe dziesięć lat później wnosi do literatury polskiej ton zupełnie inny, przepojony sarkazmem, ironią (również autoironią), drwiną. Także wściekłością. Rymy znikają, sypie się metrum, rwie się klasyczna fraza, po melancholii nie pozostaje ślad. Poeta wraca z prowincjonalnych sztucznych rajów do dużego miasta, żeby podważać, prowokować i obrażać, żeby wyzywać od skurwysynów, wyśmiewać kaleki, szydzić tak z ministrów, jak i urzędników niższego szczebla. Bursa-dziennikarz opisuje świat, w którym stare mocuje się z nowym, dymią kominy kombinatów, a robotnicy są zmęczeni, ale koniecznie szczęśliwi. Bursa-poeta spaceruje po dnie piekła, nienawidzi świata, obnaża sztuczność poetyckich póz, ale też bez złudzeń spogląda na klasę robotniczą. Po pracy zmienia się w obrazo-Bursę. Jego myśli krążą wokół noży, sztyletów, pisze brutalną powieść „Zabicie ciotki", która wygląda jak przepisany na język *danse macabre* „Obcy" Alberta Camusa.

Że istnienie owego pęknięcia nie jest wyłącznie intuicją, świadczy wstęp Stanisława Stanucha do przywoływanego już zbioru. Stanuch tak charakteryzuje atmosferę literacką lat 50. w Krakowie: „Nim młody człowiek zdołał zdać sobie sprawę z tego, czy ma cokolwiek do powiedzenia o świecie jako pisarz, już był włączony w chwiejną profesjonalną orbitę »zobowiązań«, zadań i planów. Rozum, który miał być towarzyszem naszej młodości, nie miał nic wspólnego z racjonalizmem, ani tym bardziej z Apollinaire'owskim »rozumem płonącym«. Żyliśmy więc, rozdarci, między imponującą dynamiką rzeczywistości naszego kraju a towarzyszącą jej jak cień atmosferą duszności sączącej się dzień po dniu z książek, czasopism, radia, sal sądowych i plotek".

Bursa postanawia owe „zobowiązania" odrzucić. Jak w słynnym wierszu „Sobota", którego fragment wszedł na stałe do polszczyzny:

Boże jaki miły wieczór
tyle wódki tyle piwa
a potem plątanina
w kulisach tego raju
między pluszową kotarą
a kuchnią za kratą
czułem jak wyzwalam się
od zbędnego nadmiaru energii
w którą wyposażyła mnie młodość
możliwe
że mógłbym użyć jej inaczej
np. napisać 4 reportaże
o perspektywach rozwoju małych
miasteczek
ale
mam w dupie małe miasteczka
mam w dupie małe miasteczka
mam w dupie małe miasteczka!

Z dzisiejszej perspektywy ów gest może wydawać się szczeniacki, jeśli jednak zdać sobie sprawę, w jakich okolicznościach wiersz został napisany, nabiera bluźnierczego ciężaru i brzmi jak manifest artysty próbującego za wszelką cenę wydobyć się ze „zobowiązań". „Mieć w dupie małe miasteczka" oznaczało wówczas obojętność dla losów prowincji, gospodarki, partii i wypisanie się ze społecznego krwiobiegu. Bursa, w poszukiwaniu wolności, najwyraźniej był na to zdecydowany. Jego bunt, wściekłość i furia nie mają w naszej literaturze zbyt wielu odpowiedników i okazują się wciąż na nowo aktualne. Także dzisiaj, kiedy nasz kraj znów stał się podwójny.

Ale jest coś jeszcze. Andrzej Bursa nadal pozostaje wielkim kronikarzem trudnej przemiany młodości w wiek dojrzały. Przypomina o podmiejskich wypadach, sercu, które stukało jak wesoły dzięcioł, gościńcach, małych miasteczkach, wszystkich jesiennych spacerach, zimowych powrotach, a nade wszystko o fińskim nożu schowanym w kącie szuflady, zachęcając, by raz na jakiś czas wytrzeć go z rdzy.

© MICHAŁ OLSZEWSKI

Korzystałem z: Andrzej Bursa, „Dzieła (prawie) wszystkie", opr. Wojciech Bonowicz, Znak, Kraków 2018; Andrzej Bursa, „Utwory wierszem i prozą", opr. Stanisław Stanuch, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982; Stanisław Czycz, „Nie wierz nikomu", Korporacja ha!art, Kraków 2016.

Wydawnictwo Znak przygotowało darmowy fragment „Dzieł (prawie) wszystkich" Andrzeja Bursy dla członkiń i członków naszej **facebookowej grupy dyskusyjnej o książkach „Book's not dead".** Mogą go Państwo pobrać pod adresem powszech.net/bursa.

PIOTR@KROCHMAL.EU / MATERIAŁY PRASOWE

Próba spektaklu operowego „ahat ilī – Siostra bogów", reż. Pia Partum, sierpień 2018 r.

Czekając na zmierzch bogów

JAN BŁASZCZAK

Najgłośniejszym wydarzeniem tegorocznego festiwalu Sacrum Profanum będzie premiera „ahat ilī – Siostra bogów" – opery Aleksandra Nowaka z librettem Olgi Tokarczuk.

Twórczość Olgi Tokarczuk dawno wykroczyła poza literaturę, znajdując gościnę w filmie i teatrze. W tym roku za sprawą Daniela Chmielewskiego zawitała w komiksie, a lada moment usłyszymy jej powieść przekształconą w operowe libretto. Pisarce ten muzyczno-literacki gatunek nie jest bynajmniej obcy jako słuchaczce, ale jeszcze kilka lat temu nie wyobrażała sobie, że mogłaby go współtworzyć. Opera wydawała się jej światem fascynującym, ale zamkniętym i niedostępnym.

Nie dziwi to Krzysztofa Pietraszewskiego, kuratora festiwalu Sacrum Profanum. – Historia opery potrafi ciążyć twórcom. Bywa onieśmielająca nie tylko dla nich, ale i dla widzów. W końcu to dzieła wielkiego formatu, powstające na styku różnych sztuk. Wydaje się, że będą trudne do przyswojenia ze względu na tę interdyscyplinarność. W rzeczywistości jest odwrotnie. Z tych samych powodów opera jest gatunkiem tak atrakcyjnym i tak komunikatywnym: bo oferuje coś więcej, coś, za czym łatwiej podążać. Ukonkretnia najbardziej abstrakcyjną ze sztuk – muzykę.

Krakowski festiwal nie kończy na deklaracjach. W ostatnich latach prezentowano tu dzieła, które – mam wrażenie – ukazywały operę jako wdzięczną platformę dialogu pomiędzy twórcami z różnych obszarów kultury. „Opera o Polsce" łączyła muzykę Artura Zagajewskiego z filmem dokumentalnym Piotra Stasika. Bliski dramatu muzycznego „Król Lear" nazywany był przez Pawła Mykietyna „musicalem". Panteon niekojarzonych na co dzień z operą gwiazd (Bałka, Chyra, Sikorska-Miszczuk) pracował nad głośną „Czarodziejską górą", której warstwę muzyczną – w dużej mierze elektroniczną – realizowano z taśmy. Za sprawą takich festiwali jak Sacrum Profanum i Malta opera coraz chętniej sięgała po artystów wizualnych, ludzi kina czy teatru. Być może upomniałaby się i o Olgę Tokarczuk, ale to ona wykonała pierwszy ruch. Ku własnemu zaskoczeniu.

Owad w operze

W marcu 2015 r. Tokarczuk odwiedziła Teatr Wielki w Poznaniu. Przyjechała tam ze względu na Georgiego Gospodinowa – bułgarskiego pisarza i swojego dobrego znajomego, który napisał libretto do prezentowanej tamtego wieczoru „Space Opery" Alka Nowaka.

– To było bardzo ożywcze przeżycie – wspomina Tokarczuk. – Znałam oczy-

wiście klasyczne opery, ale Georgi i Alek zrobili coś, co mnie zaskoczyło i zmieniło moją perspektywę. Przecież „Space Opera" jest o muchach, które załapawszy się przez przypadek do rakiety, lecą w kosmos! Nie temat nieszczęśliwej miłości, zdrady, władzy – ale muchy w kosmosie. Dzisiaj opera jest przestrzenią niezwykle twórczą, zmieniającą się i nieprzewidywalną. Ta wolność wydała mi się bardzo atrakcyjna. Do tej pory sądziłam, że do opery mogę przyjść jako widz i napawać się nią z trzeciego rzędu. Tutaj poczułam, że mogę w to włożyć coś swojego.

Autorka poznała Nowaka jeszcze tego samego wieczoru. Kompozytor ucieszył się ze spotkania, bo twórczość Olgi Tokarczuk była mu bliska od dawna. Wydany w 1996 r. „Prawiek i inne czasy" był dla niespełna 40-letniego dziś twórcy jedną z pierwszych dorosłych książek. Prozę Tokarczuk zapamiętał jako momentami mistyczną, wykazującą pewne podobieństwa z twórcami realizmu magicznego. Nie zdziwiło go więc zapewne, kiedy usłyszał, że literacką bazą opery miałby być mit. Przeciwnie, pomysł, by sięgnąć po opartą na sumeryjskiej opowieści „Annę In w grobowcach świata", od razu wydał mu się trafny.

– Olga miała przekonanie, bardzo słuszne, że w operze mit zawsze odgrywał szczególną rolę – mówi Nowak. – Wiele dzieł albo się z mitów bezpośrednio wywodzi, albo się do nich odwołuje. Opowiadała mi też, że pisanie tej książki było dla niej rodzajem włączenia się w pewien zewnętrzny proces. Ta historia opowiadała się w jakiś sposób sama. Wiązało się to nie tyle ze świadomym konstruowaniem, co z podążaniem za przeczuciem. Muzyka funkcjonuje podobnie. Nawet jeśli jej pisanie wiąże się do pewnego stopnia z kalkulacją, a słuchanie z analizą, to ostatecznie płynie jako pewien pozaracjonalny nurt, który ma sens tylko wtedy, kiedy się w niego włączyć.

Twórcy szybko podjęli decyzję o współpracy. Rozpoczął się etap kalkulacji.

Mit założycielski

„Orfeusz i Eurydyka" Glucka, „Dafne" Straussa, „Persefona" Strawińskiego, „Hercules" Händla – długo można wymieniać tytuły oper bazujących na mitach. Mity zaś biorą swój początek z glinianych tabliczek, na których Sumerowie zapisywali opowieści niemal pięć tysięcy lat temu. Elementy tamtej mitologii są nieustannie obecne w literaturze.

– W mojej twórczości mit zawsze był ważny – przyznaje Tokarczuk. – Zawsze też zdawałam sobie sprawę, że człowiek, społeczeństwo nie mogą bez mitu funkcjonować. To podstawowa siatka naszego rozumienia świata, relacji w nim zachodzących. Myślenie mitem mamy głęboko wdrukowane w psychikę. Już jako dziecko fascynowałam się różnymi mitologiami i szukałam między nimi podobieństw, odpowiedniości, powiązań.

Dlatego z ochotą przyjęła propozycję brytyjskiego wydawnictwa Canongate, które namawiało autorów z różnych krajów, by próbowali opowiadać mity na nowo. Propozycja zbiegła się w czasie z doniesieniami z Iraku, gdzie podczas wojny odnaleziono wiele nieznanych tabliczek klinowych. Czytając kolejne opracowania poświęcone mitologii sumeryjskiej, pisarka podjęła decyzję, że to ona będzie bazą dla jej powieści.

– Tym, co absolutnie przeważyło szalę, był odkryty na tych tabliczkach tekst „Hymnu do Inanny", podpisany imiennie przez niejaką Enheduannę, prawdopodobnie kapłankę bogini. To liryczna poezja, piękna i poruszająca. Po raz pierwszy w historii człowieka tekst został podpisany, stał się więc tekstem zindywidualizowanym, posiadającym autora, w tym przypadku kobietę. Bardzo mnie to odkrycie poruszyło.

Choć mit o Inannie jest rzadziej eksploatowany przez twórców niż opowieści starożytnych Greków czy Rzymian, to sumeryjski poemat stanowi nie tylko jedną z najstarszych opowieści, ale też jedną z najważniejszych dla całego zachodniego świata. W końcu to historia o bogu, który mierzy się ze śmiercią.

– Chyba stamtąd właśnie pochodzi pojęcie zbawienia, konieczności poświęcenia się, ofiary, którą trzeba złożyć, wielki wątek śmierci i zmartwychwstania – zastanawia się Tokarczuk. – Ta historia rozprzestrzeniła się później w wielu innych kulturach, przerabiano ją, dodawano coś od siebie. Bohater (coraz częściej był to już mężczyzna, heros, bóg) schodził do podziemi, żeby skonfrontować się ze skandalem śmierci i zbadać możliwość istnienia jakiejś nieśmiertelności. Ta opowieść jest wciąż żywa i nadal działa w chrześcijaństwie.

Nawiasy i cudzysłowy

Jakkolwiek sumeryjski mit ze swoją dramaturgią i podniosłością wydaje się wręcz skrojony pod libretto, musi zaskakiwać w kontekście filozofii, której do tej pory hołdował Nowak. W głośnym artykule Andrzeja Chłopeckiego, porównującym wczesną twórczość Nowaka z początkami kariery Pendereckiego i Mykietyna, czytamy, że cechą utworów młodego twórcy jest „życiopisanie". Rzeczywiście, wiele dzieł Nowaka podejmuje wątki biograficzne. Bez patosu, unikając przesadnego liryzmu i nachalnej symboliki. Dołączane do utworów notki mają zwykle charakter zgrabnych literacko anegdot i obserwacji.

Dla przykładu: kompozycji „Ciemnowłosa dziewczyna w czarnym sportowym samochodzie" towarzyszył taki zapisek: „Pewnego dnia zatrzymałem się na czerwonym świetle obok ciemnowłosej dziewczyny w czarnym sportowym samochodzie. Patrząc przed siebie, kiwała lekko głową w rytm muzyki z radia. Chyba też nuciła coś, ale niewiele dało się usłyszeć przez szum miasta. Po chwili, nie spojrzawszy w moją stronę, odjechała". W rozmowie z Janem Topolskim Nowak wspominał, że szczególnie zadowolony jest z komentarza do utworu „Król Kosmosu znika" (2009). Brzmi on tak: „W szkole podstawowej znałem chłopaka, który twierdził, że jest Królem Kosmosu. Zwierzył mi się w tajemnicy, że wkrótce przybędzie po niego na Ziemię statek, którym odleci, by objąć władzę nad wszechświatem. Po którychś z kolei wakacjach nie zjawił się w szkole i nigdy więcej o nim nie słyszałem. Jak dotąd".

Pamiętałem wspomniane komentarze, a także kosmiczną operę, w której kluczową rolę odgrywały muchy, zdziwił mnie więc entuzjazm, z jakim Nowak potraktował mit o Inannie. – Myślenie o tej sferze, o rzeczach, powiedzmy, ostatecznych nie jest mi obce, przeciwnie – tłumaczy kompozytor. – Zawsze jednak pociągało mnie stawianie cudzysłowów i nawiasów. Niedopowiadanie i nienazywanie pewnych spraw po imieniu. A jeśli już, to z pewną dozą przekory. Tutaj musiałem się zmierzyć z treścią, która ma bardzo bogatą i zobowiązującą historię interpretacji, oraz z tekstem, który jest mocny i wyrazisty; sam w sobie stanowi autorski, głęboki komentarz. Długo miałem paraliżujące poczucie, że potraktowanie go z dystansem czy żartobliwie będzie fałszywe, a z drugiej strony umuzycznienie go bardzo wprost grozi banałem i nudą. ↦

Wierne podejście do tekstu nie oznaczało jednak mniejszej pracy, którą należało wykonać, przygotowując libretto. Konieczne były zmiany na poziomie językowym, uproszczenie niektórych wątków, a przede wszystkim redukcja, redukcja i jeszcze raz redukcja.

Muzyczna bibliografia

Aby pomóc pisarce w przygotowaniu libretta, Nowak przesyłał jej rejestracje swoich ulubionych oper współczesnych. Tokarczuk w pamięci zostało np. „Written on Skin" brytyjskiego kompozytora George'a Benjamina. Słuchając kolejnych dzieł, szybko się zorientowała, że każdy wers w operze jest wypowiadany jakieś trzy razy dłużej niż w filmie. Niezbędne było więc skracanie opowieści, wyciąganie z niej kwintesencji. – Nie miałam doświadczenia w posługiwaniu się takim językiem – przyznaje. – Bo czym jest libretto? Bliżej mu do poezji niż do czegokolwiek. Próbowałam złapać szczególny rytm opowiadania, pamiętać o tym, że moje słowa będą śpiewane, że będzie im towarzyszyła muzyka, gest sceniczny, scenografia. Tutaj słowo jest tylko częścią układanki. W powieści musi być za siebie całkowicie odpowiedzialne.

Oboje podkreślają, że w tym trudnym procesie mieli dla siebie wiele zrozumienia i zaufania. Nawet wtedy, kiedy Nowak podał librecistce dokładną liczbę wersów, jakiej od niej oczekuje. Sam rozumie, że dla pisarza, który wcześniej nie obcował z operą, tak nikła objętość tekstu musi być szokująca. Tokarczuk jednak nie protestowała, również wtedy, gdy kompozytor przestawiał szyk jej zdań ze względów na muzyczną frazę. Wyrozumiałość mogła wynikać z szacunku, jakim od dawna darzy operę.

– W tym współczesnym świecie udało się jej zachować bardzo specyficzne, wyjątkowe miejsce – mówi Tokarczuk. – Wciąż posługuje się podniosłym głosem, koturnem, czasami też patosem, podczas gdy cała reszta świata może zaledwie sięgać po ironię albo sarkazm, bo nie ma już dostępu do takich podniosłych sposobów wypowiedzi. W ogóle boimy się powagi, a patosu boimy się jak ognia. Poza tym opera używa wielopoziomowej komunikacji: jest muzyka, aktor, scenografia, energia orkiestry i zgromadzona w jednym miejscu publiczność. Działanie opery jest potężne.

Inna sprawa, że muzyka od początku towarzyszyła pisarce podczas prac nad kolejnymi powieściami. – Kiedy piszę, słucham sporo muzyki, zakorzeniam się w niej. Mogłabym odtworzyć właściwie całą sferę muzyczną towarzyszącą powstawaniu każdej mojej powieści. Ona otwiera mi wyobraźnię, buduje nastrój i scenografię.

Tokarczuk chętnie opowiada o utworach, które towarzyszyły jej wieloletniej pracy nad „Księgami Jakubowymi". Słuchała wówczas głównie muzyki z epoki, wyobrażając sobie, że świat, który próbuje przedstawić, jest nią wypełniony. Niezależnie od tego, że jej bohaterowie nie bywali na salonach i koncertowych salkach. Jak wspomina, motywem przewodnim tej powieści szybko stała się Händlowska sarabanda, a lejtmotywem dotyczącym Jakuba Franka – Mozartowski „Marsz turecki". Rola tej „ścieżki dźwiękowej" dla procesu twórczego jest za każdym razem tak znacząca, że Tokarczuk zastanawiała się nawet nad dołączaniem płyt do swoich książek.

Sacrum w profanum

Kiedy Tokarczuk starała się podchwycić język opery, Nowak prześwietlał kolejne wątki i postaci „Anny In w grobowcach świata". Struktura powieści, prosta i przejrzysta, nie stanowiła problemu. Kompozytor szukał jednak takiego wymiaru opowiedzianego w niej mitu, który pozwoliłby mu się z nim utożsamić. Zastanawiał się, która postać tudzież wątek wywoła możliwie najgłębszą reakcję publiczności. Ostatecznie zasugerował, aby centralną postacią opery uczynić Ninę Szubur – służącą bogini, a także jedynego człowieka wśród głównych bohaterów.

– Opera ukazuje dramat osoby, której wydaje się, że może oswoić czy udomowić *sacrum* – tłumaczy Nowak. – Co kończy się dla niej przykrymi konsekwencjami w sferze *profanum*. Decyzja, że to jest temat główny, pozwoliła mi mocno ruszyć do przodu. Nawiasem mówiąc, takie odczytanie tej historii wydaje mi się bardzo aktualne.

W rezultacie wszystkie wydarzenia, jakie rozgrywają się w „ahat ilī – Siostra bogów", mają swój początek w jedynej ludzkiej bohaterce opery. Komponując muzykę, Nowak nieustannie zadawał sobie pytanie o rolę i sposób odbierania boskich postaci w tej opowieści. – Czy zakładamy, że one są realne, czy symboliczne, czy w ogóle nie pytamy o nie? Ja nie znam jednej odpowiedzi na to pytanie. I dlatego ontologia czy realność wszystkich postaci, które nie są ludźmi i pojawiają się na scenie, jest niejasna.

Ta koncepcyjna praca, którą wykonał kompozytor, szukając punktu zaczepienia dla swojej muzyki, pomogła również pisarce, która położyła główny nacisk na pojawiające się w micie relacje bogów i ludzi. Na próbę wpływania przez człowieka na sfery, które pozostają poza jego doświadczeniem. Tokarczuk szukała odpowiedzi na to, jak istota ludzka odnajduje się w takiej relacji. – Zastanawiamy się jak, tworząc religię i mitologię, człowiek staje się twórcą tego wszystkiego. To jest, powiedziałabym, bardzo dzisiejsze podejście do rozumienia *sacrum*. Kiedy człowiek odczuwa konieczność wzięcia na siebie części tego, co zwykle przypisywaliśmy bogom.

Premiera opery Aleksandra Nowaka na podstawie libretta Olgi Tokarczuk odbędzie się już 16 września podczas krakowskiego festiwalu, którego nazwa – Sacrum Profanum – mogłaby z powodzeniem stanowić alternatywny tytuł tego dzieła.

© JAN BŁASZCZAK

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Piotr Flin

Astronom

Zmarł 1 września 2018 r., przeżywszy 73 lata.
Prochy Jego zostały złożone w grobie rodzinnym na cmentarzu Rakowickim,

o czym zawiadamia

Rodzina

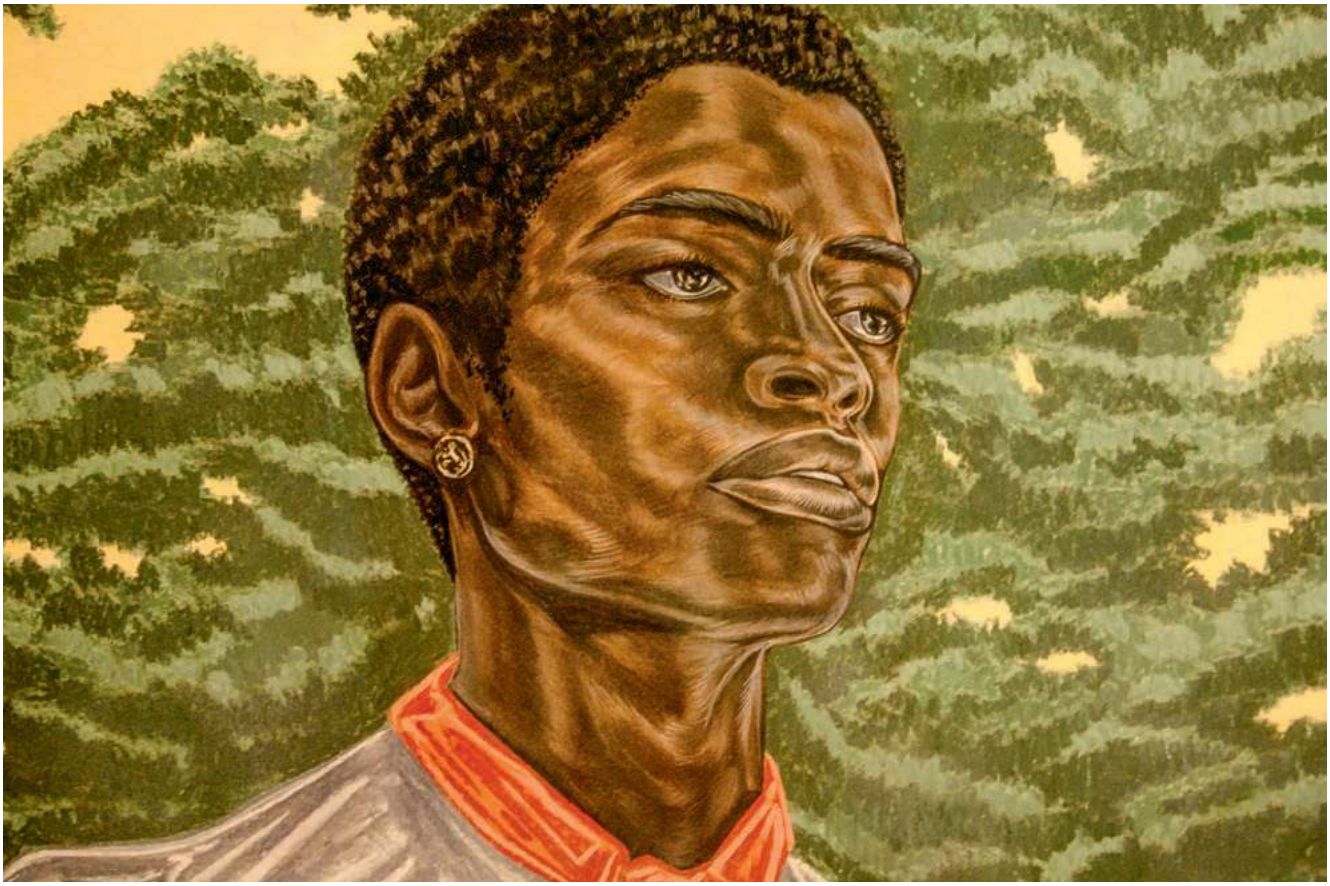

PIOTR KOSIEWSKI X3

Toyin Ojih Odutola, z serii „Scenes of Exchange", pastel, 2018 r.

Ogród planetarny

PIOTR KOSIEWSKI

Manifesta 12 w Palermo to jedno z najważniejszych wydarzeń artystycznych ostatnich lat. Pokazuje, że sztuka może powiedzieć coś ważnego o rzeczywistości.

To biennale nietypowe, bo nomadyczne. Stworzone w 1994 r., miało pomóc w poznaniu jednoczącej się Europy. Przyglądać się kolejnym miejscom, pokazywać ich kontekst polityczny, społeczny, historyczny i kulturowy. Stąd zmiany lokalizacji i wybór regionów mniej oczywistych, jak pogórnicza belgijska Limburgia czy baskijskie San Sebastian. Co dziwne, Manifesta 12 tylko dwa razy zorganizowano w naszej części kontynentu: w 2000 r. w słoweńskiej Lublanie i w 2014 r. w Petersburgu.

Niektóre wybory były nietrafione. Zaplanowane w 2006 r. Manifesta w cypryjskiej Nikozji odwołano, bo napięcie na podzielonej wyspie okazało się zbyt silne. Z kolei organizatorzy biennale w dawnej stolicy Rosji musieli się zmierzyć z następstwami rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Manifesta w Palermo na pewno zostaną zapamiętane: to jedno z najciekawszych wydarzeń artystycznych ostatnich lat. Ważne, bo stawiające istotne pytania: po co dzisiaj wielkie imprezy artystyczne? Co mogą dać miastom, w których są organizowane? Czy mają być jedynie kolejną turystyczną atrakcją? Czy mogą coś zmienić, wpłynąć na rzeczywistość? Te pytania postawił już Artur Żmijewski, przygotowując w 2012 r. berlińskie Biennale. Jego wizja wydawała się wówczas dość ekscentryczna. Jednak zaproponowany przez niego model zdaje się lepiej odpowiadać oczekiwaniom odbiorców.

Twórcy Manifesta 12 „mają ambicję, by pozostawić ślad" – podkreśla Emmanuelle Lequeux w „Le Monde". „Są realną próbą zaangażowania nie tylko w Palermo czy Sycylię, ale w południową Europę i jej granice, północną Afrykę i nie tylko" – dodaje Adrian Searle, krytyk „Guardiana". Wybór takiej formuły był zresztą wspólną decyzją czworga kuratorów i władz miasta, a sama impreza została przygotowywana we współpracy z lokalnymi środowiskami, działaczami społecznymi i artystami. Zaproponowano nawet, by zamiast określenia „kuratorzy" używać innego – „mediatorzy", negocjujący kształt imprezy, a nie narzucający własnej wizji. Biennale wyraźnie nawiązuje do rozmaitych form zaangażowania obywatelskiego, w tym do ruchu Primavera di Palermo z przełomu lat 80. i 90., który przyczynił się do ograniczenia wpływów mafii.

Wyspa klucz

Goethe w „Podróży włoskiej" zanotował: „Kto nie widział Sycylii, ten nie zrozumie Włoch. Tu bowiem jest klucz do wszystkiego". Wyspa niczym w soczewce skupia cały śródziemnomorski świat. Wybór Palermo więc nie dziwi, a sytuacja ↦

MATERIAŁY PRASOWE

Leone Contini, instalacja „Foreign Farmers", 2018 r.

Khalil Rabah, instalacja „Relocation, Among Other Things" (fragment), 2018 r.

polityczna stworzyła dodatkowy kontekst. Niedługo przed otwarciem imprezy powstał nowy włoski rząd. Wicepremier i minister spraw wewnętrznych Matteo Salvini w kampanii wyborczej zapowiadał „oczyszczenie kraju z imigrantów". Tymczasem burmistrz Palermo Leoluca Orlando, wcześniej zaangażowany w ruch antymafijny, podkreśla: „u nas nie ma migrantów, ponieważ ci, którzy przybyli do miasta, są palermianami". I mówi o mobilności jako o prawie człowieka.

W Galleria d'Arte Moderna można zobaczyć „Widok na Palermo" Francesca Lojacona z 1875 r. Przestawia on typowy sycylijski krajobraz. Wydaje się zwyczajny, wręcz stereotypowy – dzisiaj podobnie wyglądają okolice miasta. Jednak rośliny przedstawione na tym obrazie pierwotnie nie rosły na Sycylii. Eukaliptus trafił tu z Australii, opuncja z Meksyku, agawa z Ameryki Środkowej, nieśplik z Japonii, mirt z południowej Afryki, wreszcie drzewa cytrynowe, symbol wyspy – z Azji, sprowadzone w czasach arabskiej dominacji. Nawet drzewa oliwne mają azjatyckie pochodzenie.

Dzieło Lojacona stało się dla twórców Manifesta 12 symbolem Palermo jako miasta, w którym od wieków krzyżują się drogi ludzi, zwierząt i roślin. W którym wszystko jest swojskie i nieswojskie zarazem. Co więcej, podkreśla Hedwiga Fijen, założycielka Manifesta, „Palermo symbolizuje zmieniające się DNA Europy. Umożliwia nawet zobrazowanie tych zmian, od imigracji po zmiany klimatu". Obraz sycylijskiego pejzażysty skojarzył się też kuratorom z ogrodem jako miejscem, w którym różnorodne formy życia mieszają się i przystosowują do współistnienia.

W 1997 r. francuski botanik oraz architekt ogrodów Gilles Clément, autor m.in. paryskich parków André Citroën i przy Musée du quai Branly, nazwał świat „ogrodem planetarnym", a człowieka ogrodnikiem. To ryzykowana metafora, gdyż ta profesja kojarzy się z ingerencją i podporządkowywaniem człowiekowi natury. Jednak Clément podkreśla inny jej aspekt: odpowiedzialność. Według niego ogrodnik to człowiek odpowiedzialnie korzystający z natury.

W przypadku Manifesta 12 ogrodnikami stali się artyści. Dzieła 50 twórców i kolektywów artystycznych podzielono na trzy opowieści: Garden of Flows (Ogród Przepływów), Out of Control Room (Poza sterownią) oraz City on Stage (Miasto na Scenie). Prezentowano je w 20 punktach miasta: zajęto pałace i kościoły, oratoria, ogrody i place, miejsca rzadko otwarte dla publiczności lub dla niej niedostępne. Na przykład Palazzo Butera, imponujący barokowy pałac w historycznej dzielnicy Kalsa. Oratorio di San Lorenzo ozdobione niezwykłymi sztukateriami Giacoma Serpotty z przełomu XVII i XVIII w. (to tu znajdowały się też skradzione w 1969 r. i nigdy nie odnalezione „Narodziny" Caravaggia). Położone na przedmieściach Volpe Astuta, dawne ogrody przejęte przez mafię, a następnie skonfiskowane w 1983 r. przez sędziego Giovanniego Falcone.

Miejsce i przeszłość

Za wyborem miejsc nie przemawiała ich turystyczna atrakcyjność, lecz przede wszystkim ich przeszłość. Również prace artystów najczęściej odwołują się do konkretnych miejsc, wydarzeń, osób. Z tych prac ułożyła się opowieść o Palermo, o Sycylii, ale też o współczesnej Europie.

Kubanka Tania Bruguera zbiera dokumentacje protestów przeciwko bazie amerykańskiej w Niscemi, znajdującej się pośrodku ostatniego lasu korkowego na Sycylii i będącej częścią MUOS (Mobile User Objective System), czyli satelitarnego systemu łączności wojskowej. Irlandczyk John Gerrard wraca na autostradę w pobliżu austriackiego Parndorf, gdzie w sierpniu 2015 r. odnaleziono porzuconą ciężarówkę z ciałami 71 imigrantów. Kader Attia, Francuz z algierskimi korzeniami, przypomina historię mieszkańca podparyskich przedmieść Théo Luhaka, który w lutym 2017 r. został pobity i zgwałcony przez policjantów.

Jednak to ogrodom na Manifesta 12 wyznaczono szczególną rolę. Zwłaszcza jednemu: założonemu w 1789 r. i otwartemu sześć lat później Orto Botanico. W jego przestrzeń wpisano dzieła artystów. Włoch Leone Contini w części, w której dawniej aklimatyzowano rośliny z innych kontynentów, zasadził cucuzzę – tykwę, roślinę z rodziny dyniowatych, niezbędną w kuchni sycylijskiej. Obok rosną bengalskie, chińskie, filipińskie, lankijskie i tureckie jej odpowiedniki. Rośliny, które wraz z osobami z tych krajów przybyły do Włoch i są elementem ich tożsamości. Fragment Orto Botanico stał się miniaturą współczesnej, coraz bardziej wieloetnicznej włoskiej społeczności.

Matilde Cassani, instalacja „Tutto" (fragment), 2018 r.

Z kolei Palestyńczyk Khalil Rabah zebrał rozmaite przedmioty sprzedawane na targowiskach i wystawił je w jednym z ogrodowych pawilonów niczym dawne naukowe kolekcje rzadkich roślin, minerałów i skamielin. Zwykłe, codzienne, często banalne rzeczy zmieniły się w cenne eksponaty. Ogrody bywają miejscem rozkoszy, jak w osobliwym wideo „Pteridophilia" Chińczyka Zhenga Bo, przedstawiającym sceny intymnych kontaktów młodych mężczyzn z... paprociami. Mogą też być miejscem groźnym. Pochodząca z Afryki Południowej Lungiswa Gqunta na drzewach zawiesiła butelki napełnione benzyną. Uroczy zakątek w każdej chwili może zamienić się w piekielną pułapkę.

Sztuka, która działa

Giardino dei Giusti to niewielka przestrzeń w centrum dzielnicy Kalsa, otoczona ścianami budynków zburzonych podczas II wojny, dziś poświęcona Sprawiedliwym wśród Narodów Świata (w tym Janowi Karskiemu). Kolektyw Cooking Sections przekształcił ją w przestrzeń spotkań. A wspomniany już Gilles Clément zajął się opuszczonym terenem w Zona Espansione Nord. ZEN, zaprojektowana przez Vittoria Gregottiego w 1969 r., miała być przykładem nowatorskiej dzielnicy mieszkaniowej – zbudowano ją jednak niezgodnie z założeniami, dziś jest przeludniona i w części zdegradowana. Clément wspólnie z mieszkańcami próbuje ożywić jej zapuszczony fragment i uczynić go przestrzenią, którą lokalna wspólnota uzna za własną. Jeżeli to się nie powiedzie, teren ponownie zamieni się w ugór.

Biennale w Palermo pokazuje, że impreza artystyczna może mieć znaczenie społeczne, może próbować zmienić lokalną rzeczywistość za pomocą sztuki. Artyści nie tylko weszli swoimi działaniami w przestrzeń publiczną, ale też zaangażowali zwykłych mieszkańców. Mówią o poważnych sprawach, ale też bawią. Miasto zmieniło się w spektakl, którego częścią są pochody czy procesje, nawiązujące także do ważnych na Sycylii uroczystości religijnych.

Są w Palermo prace, które powinny być na długo zapamiętane, jak wielowątkowa instalacja wideo Uriela Orlowa „Wishing Trees" (2018) w Palazzo Butera, opowiadająca o trzech sycylijskich drzewach związanych z historią wyspy. Pierwszym jest cyprys posadzony na obrzeżach Palermo przez św. Benedykta zwanego il Moro, żyjącego w XVI w. w Palermo syna afrykańskich niewolników, dziś patrona miasta (oraz Afroamerykanów). Drzewo drugie, olbrzymi figowiec wielkolistny, rośnie nieopodal dawnego domu dwojga ofiar mafii: sędziego śledczego Giovanniego Falconego i jego żony Franceski Morvillo. Trzecie to drzewo oliwne w południowo-wschodniej części wyspy, pod którym we wrześniu 1943 r. podpisano zawieszenie broni. W ich dzieje wpisane są współczesne opowieści o imigrantach czy antymafijnym ruchu obywatelskim. Przeszłość, przypomina Orlow, nieustannie wpływa na współczesność, może ograniczać ludzi, ale też dawać im siłę.

Z kolei w niewielkim, ukrytym wśród roślin budynku w Orto Botanico znalazły się pastele pochodzącej z Nigerii Toyin Ojih Odutoli: wnętrza, portrety, podpatrzone intymne zdarzenia. Jesteśmy w świecie Zachodu, ale jego częścią stała się Afryka – ludzie i przedmioty stamtąd pochodzące. Tożsamości się przenikają, uzupełniają, tworzą nową rzeczywistość, w której imigranci lub ich potomkowie mają pełnoprawny udział. Wreszcie w Casa del Mutilato (Domu Inwalidów), dobrym i świetnie zachowanym przykładzie architektury faszystowskiej, zaprojektowanym w 1936 r. przez Giuseppego Spatrisana, umieszczono wielokanałową instalację wideo Hiszpanki Cristiny Lucas „Unending Lightning".

Artystka udokumentowała naloty – symbol nowoczesnej wojny – od pierwszego, podczas wojny włosko-tureckiej w 1911 r., po współczesność. Są tu obie wojny światowe, wojna domowa w Hiszpanii, Korea i Wietnam, wojny w dawnej Jugosławii, w Czeczenii i na Bliskim Wschodzie... Suche fakty skonfrontowane z archiwalnymi zdjęciami: kto bombardował, kto zginął, bez oceny – kto był agresorem, a kto napadniętym. Casa del Mutilato, gmach, w którym celebrowano wojenne męstwo, stał się swoistym archiwum cierpień. Lucas opowiada o przemocy, bólu, ale też o kruchości istnienia. O przeżyciach jednostek i doświadczeniach zbiorowych.

W Palazzo Forcella de Seta znalazła się rzeźba wspomnianego już Kadera Attii, jednego z najciekawszych artystów współczesnych. To pęknięty kawałek drewna połączony ponownie zwykłymi zszywkami. Forma wydaje się abstrakcyjna, ale można w niej dostrzec tors człowieka. Niepozorna praca przykuwa uwagę: jej struktura wydaje się stabilna, ale przecież zszywki łatwo mogą odpaść i całość się rozsypie, krucha jak ludzkie ciało.

W Palermo udało się połączyć sprzeczności: zaangażowanie polityczne z przyjemnością obcowania ze sztuką, elitarną publiczność z masowym odbiorcą, powagę z zabawą. Szacunek dla tradycji i otwartość na zmiany. Być może to zapowiedź kierunku, w którym pójdą wielkie imprezy artystyczne.

© PIOTR KOSIEWSKI

Współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI

MANIFESTA 12. THE EUROPEAN NOMADIC BIENNIAL, *The Planetary Garden, Palermo, do 4 listopada br., kuratorzy: Bregtje van der Haak, Andrés Jaque, Ippolito Pestellini Laparelli, Mirjam Varadinis.*

Kolor głosu

ANITA PIOTROWSKA

Afroamerykanin i Żyd jako piąta kolumna w Ku Klux Klanie? – to mógł wymyślić tylko reżyser, który zjadł zęby na walce ze stereotypami i potrafi przekuć je we własną broń.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Czarne Bractwo. BlacKkKlansman"

Nie od dziś wiadomo, że fryzura afro jest deklaracją polityczną. Im bardziej bujna, tym silniej manifestuje tzw. czarną dumę. Kiedy Michelle Obama po raz pierwszy zaprezentowała się publiczne z naturalnie kręconymi włosami, spłynęły na nią gratulacje i pochwały. Wcześniej sugerowano złośliwie, że to dzięki używaniu prostownicy pomogła małżonkowi zdobyć prezydencki fotel.

W najnowszym filmie Spike'a Lee czarnoskórzy bohaterowie dumnie obnoszą się ze swymi kędzierzawymi kopułami. Lata 70. XX w. to bowiem w Stanach Zjednoczonych czas ruchów emancypacyjnych i równościowych, w tym także radykalnych, jak Partia Czarnych Panter. Reżyser, który co najmniej trzy dekady temu – czyli zanim stało się to modne – upominał się o reprezentację Afroamerykanów i ich problemów na ekranie, wykorzystuje stylizacje z epoki disco, by opowiedzieć o Ameryce jak najbardziej współczesnej. Po filmach niezależnych („Ona się doigra", „Czarny blues", „Malaria"), po zaangażowanych dokumentach (jak nominowane do Oscara „Cztery małe dziewczynki") czy portretach czarnoskórych artystów i sportowców, ale też po licznych flirtach z kinem typowo mainstreamowym, Lee postanowił na dobre wyjść z getta i jednocześnie pozostać wierny swojej sprawie. Grand Prix na festiwalu w Cannes tudzież nagroda Jury Ekumenicznego potwierdziły słuszność tej decyzji. Twórca, mający dotychczas na koncie przede wszystkim Czarne Szpule, przyznawane Afroamerykanom zasłużonym w branży filmowej, nakręcił brawurową komedię, którą celuje nie tylko w widownię dzielącą z nim kolor skóry czy polityczne sympatie. Sądząc po wynikach kasowych, z nie najgorszym skutkiem.

Afroamerykanin i Żyd jako piąta kolumna w Ku Klux Klanie? – to mógł wymyślić tylko ktoś, kto zjadł zęby na walce ze stereotypami i potrafi przekuć je we własną broń. Ale to nie Lee jest autorem tej absurdalnej historii. „Czarne Bractwo. BlacKkKlansman" powstało na podstawie wspomnień niejakiego Rona Stallwortha, pierwszego czarnego policjanta w Colorado Springs. W 1979 r., z pomocą białego kolegi po fachu, udało mu się rozpracować lokalne struktury rasistowskiej organizacji. Nowojorski reżyser odświeża i po swojemu koloryzuje tamte zdarzenia, zahaczając nawet o wojnę secesyjną. Urodzony, podobnie jak Martin Luther King, w Atlancie, mateczniku Głębokiego Południa, na początku filmu przywołuje słynne panoramiczne ujęcie z „Przeminęło z wiatrem" (1939), w którym Scarlett O'Hara błąka się pośród rannych konfederatów. Bo to m.in. filmowy kanon, szczególnie zaś cytowane w innym miejscu „Narodziny narodu" D.W. Griffitha z 1915 r., przez lata konserwował mitologię białej Ameryki, którą dziś wielu chciałoby „uczynić znowu wielką". Reżyser ośmiesza więc nie tylko palących krzyże ekstremistów w szpiczastych czapkach, ale i tych, którzy nie wstydzą się sięgać po ich retorykę w oficjalnym dyskursie.

Karykaturalny, w podwójnym znaczeniu czarno-biały, z doklejonym na końcu dosłownym manifestem – wszystko to można zarzucić „Czarnemu bractwu". Lee potrafi jednak z takim wdziękiem opowiadać o wkręcaniu przywódców Ku Klux Klanu w sensacyjno-polityczną in-

trygę, że łatwo mu wybaczyć nadużycia. John David Washington (syn Denzela) w roli Rona i towarzyszący mu Adam Driver jako Żyd Flip Zimmerman tworzą tu symboliczny duet, w którym przedstawiciele mniejszości, pierwszy – dyskryminowanej, drugi – tej rzekomo uprzywilejowanej, w dodatku „promującej multikulti", toczą wojnę hybrydową z głoszącymi nienawistne hasła przedstawicielami białej większości. Ci ostatni, ze swoim kultem broni, ciasnotą umysłową i pogardą dla kobiet, pokazani zostali prawem politycznej satyry niczym odrażające przeciwieństwo młodych, modnych i seksownych działaczy Black Power. Lecz im również w filmie się obrywa. Kiedy Ron na początku policyjnej kariery wnika w szeregi czarnych ekstremistów, gdzie poznaje mocno wywrotową studentkę Patrice (w tej roli Laura Harrier), dochodzi do zderzenia dwóch różnych opcji związanych z walką o równouprawnienie. Postulujący wojnę ras „romantycy" stoją naprzeciw „pozytywistów", próbujących małymi kroczkami zmieniać społeczną świadomość. Lee, jakkolwiek słynie z ostrych agitacji i niewyparzonego języka, deklaruje swym filmem, że mimo wszystko bliższa jest mu ta druga postawa. Za co zresztą też zdążył się już spotkać z krytyką: zdaniem niektórych jego film traktuje nazbyt łagodnie amerykańskich stróżów prawa, cieszących się w dobie kampanii #BlackLivesMatter wyjątkowo złą sławą.

Przed oskarżeniami o tendencyjność Lee ucieka w paradoksy. Oto zasymilowany Żyd podszywający się w jego filmie pod Afroamerykanina, który z kolei udaje „białego" przed „bardzo białymi", zaczyna dzięki spotkaniu z Ku Klux Klanem odkrywać na nowo swoją tożsamość. Rasowe mistyfikacje w amerykańskim kinie mają zresztą bogatą tradycję. Wystarczy przywołać choćby „Śpiewaka jazzbandu" (1927), pierwszy w historii film dźwiękowy, w którym syn nowojorskiego kantora malował sobie twarz na czarno, by zaistnieć na scenach Broadwayu. „BlacKkKlansman" poprzez komiczne przebieranki i wielopiętrowe *qui pro quo*, bardziej nawet niż przez swą nachalną aluzyjność czy jawną publicystykę, artykułuje swój sztandarowy przekaz: świat, w którym człowieka definiuje jego zewnętrzna powłoka, w tym przypadku kolor skóry, skręt włosów albo głos (Lee wykpiwa także sztuczne rozróżnienie na głosy „białe" i „czarne"), jest światem z gruntu szalonym. I właśnie temu szaleństwu Lee przystawia krzywe zwierciadło. Jakby wierzył, że jedynie dobra, godząca we wzajemne uprzedzenia rozrywka może przebić odwieczny mur. ©

CZARNE BRACTWO. BLACKKKLANSMAN
(„BlacKkKlansman") – reż. Spike Lee. Prod. USA 2018. Dystryb. UIP. W kinach od 14 września.

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".**
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

WARTO ZOBACZYĆ W TV [15 – 21 IX]

1. 120 uderzeń serca

Dramat, reż. Robin Campillo, Francja 2017, Cineman VOD

Łącząc gniewne kino społeczne z intymnym melodramatem, obsypany nagrodami film opowiada o działalności francuskiego ruchu ACT UP. Na początku lat 90. skupieni w nim młodzi ludzie, głównie z kręgów LGBT, rozpoczęli walkę o powszechny dostęp do informacji, leków i profilaktyki AIDS.

2. Pomniejszenie

Komedia/s.f., reż. Alexander Payne, USA 2017, Cinemax, 16 IX, 20.00, 17 IX, 11.05, 18 IX, 20.00, 19 IX, 9.25, 21 IX, 21.55

Twórca „Bezdroży" i „Nebraski" próbuje sił w futurystyce. Grany przez Matta Damona bohater poddaje się naukowemu eksperymentowi, w wyniku którego zmniejsza się do rozmiarów lalki i zamieszkuje w idealnym świecie, wolnym od materialnych trosk. Efektem jest gorzka satyra krążąca wokół wątków ekonomicznych, ekologicznych i humanitarnych.

3. W czterech ścianach życia

Wojenny, reż. Philippe Van Leeuw, Belgia/Francja/Liban 2017, Ale kino+, 17 IX, 20.10

Wojna w Syrii oglądana z perspektywy mieszkania i żyjącej w nim rodziny. Kobieta, której bliscy znaleźli się na celowniku snajpera, walczy z zagrożeniem i niedostatkiem, stając także naprzeciw moralnych dylematów. Belgijskiego reżysera nie interesuje polityka, ale sytuacja cywilów próbujących przetrwać wojenny koszmar.

4. Wszystko o mojej matce

Teatr TV, reż. Michał Borczuch, Polska 2018, TVP Kultura, 18 IX, 20.20

Transmisja z nowohuckiego Teatru Łaźnia Nowa przypomni głośne przedstawienie nagrodzone m.in. na festiwalu Boska Komedia. Z luźnej inspiracji filmem Almodóvara, ale przede wszystkim na podstawie osobistych przeżyć twórców, powstał spektakl o matkach i synach, o chorobie i odchodzeniu, zanurzony w klimatach Polski późnych lat 80. i 90.

JAN

Klata:
Do rozpuku aliści

Procter&Gamble jest dużym koncernem, ale oczywiście chce być koncernem jeszcze większym. Kto nie maszeruje, ten ginie, a maszerować można tylko do przodu, z postępem, z przytupem, zagarniając, co się da. Koncern zatem uważnie omiótł wzrokiem tę część rzeczywistości, której jeszcze nie zdążył skonsumować, i ze żmudnych badań wyszło mu, że potencjalni konsumenci (czytaj: ludzie) posługują się teraz internetem, wysyłają wiadomości o treści skróconej, że język się dynamicznie zmienia. A zatem Koncern postanowił pożreć język. Do odpowiednich amerykańskich urzędów wpłynął jego wniosek o zastrzeżenie do wyłącznego użytku Koncernu skrótów LOL i WTF. Znaczenie wymienionych trzyliterowców znałem, natomiast przyznaję, że nie wiedziałem, co znaczą dwa kolejne, do których prawo własności uzurpuje sobie Koncern: NBD (no big deal) oraz FML (f... my life).

Jak się odnieść do zakusów Koncernu? LOL, WTF czy raczej NBD? Ja wybieram profetyczne FML. Natomiast bez zbędnych a frymuśnych skrótów, przenosząc sprawę na polskie podwórko, oto 52 najpopularniejsze polskie wyrazy do zastrzeżenia przez lokalny oddział Koncernu:

się; i; w; nie; na; z; do; to; że; a; o; jak; ale; po; co; tak; za; od; go; już; jego; jej; czy; przez; tylko; tego; sobie; jeszcze; może; ze; kiedy; pan; ich; dla; by; gdy; teraz; ja; ten; który; nawet; bardzo; przed; tu; jednak; pod; coś; tam; wszystko; przy; więc; nic.

Prędzej czy później taki wniosek wpłynie i Polakom pozostanie bezkarne używanie jedynie wyrazów coraz bardziej niszowych, w rodzaju tych, które wszyscy ludzie prezydenta Dudy wyrzucili Żeromskiemu z „Przedwiośnia": tudzież, wara, ni-ni, pasy drzeć, wnet, ohydne, azali, aliści, przaśny, zażywny, ancymon... Oraz wszystkie epitety. Chociaż nie: akurat epitety będą zapewne wkrótce w Polsce całkowicie zabronione, być może nie bez kozery. Tak czy owak, amerykański Wysoki Urząd ma czas na werdykt do stycznia 2019 r. Polski Wysoki Urząd ma czas do wyborów, a nawet o wiele dłużej. ©

Lektor:
Wolność radykalna

▪ *Jerzy Pilch*
ŻYWEGO DUCHA
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, ss. 200.

Apokaliptyczna wizja? Nieoczekiwane spełnienie pochopnie sformułowanego życzenia („Uważaj, o co prosisz, możesz to dostać")? Metaforyczne studium samotności? Kronika rozpadu? A może obraz pułapki autotematycznego pisania? Mówi do nas leciwy i schorowany, ale w pełni świadomy Jerzy Andrzej Kubica z Sigły, ewangelik i syn pastora, mąż pięciu kolejnych żon. Jedyny, który ocalał z niewiadomego kataklizmu, ostatni człowiek na Ziemi, „Pan i władca Europy, najprawdopodobniej Pan świata całego". Teraz jego życie toczy się w idącej powoli w ruinę Warszawie, między historycznym hotelem Paryż a Galerią Gold, w której co tydzień zmienia swój przyodziewek, oraz fantasmagorycznymi Termami Arcyksięcia, między księgarniami i sklepami papierniczymi a mieszkaniem na Hożej. Inni ludzie zniknęli w sensie ścisłym, nie pozostawiając ciał, śladem ich istnienia są jedynie stroje. Gniją i rozpadają się tony żywności, wody przybierają, żłobiąc coraz to nowe koryta, miasto zielenieje od roślin i rozbrzmiewa zwierzęcymi głosami, wśród których wyróżnia się chichot hien.

Chaotyczny, a zarazem mistrzowski językowo jest ten monolog pisarza, który sam sobie musi teraz być czytelnikiem, sam przed sobą dokonuje morderczej autoanalizy, bez nadziei na innego odbiorcę – choć powtarza: „We własnym towarzystwie czuję się najlepiej". Wszelkie możliwości stoją przed nim otworem, ale też ich realizacja straciła sens. Wraca do tekstów, które podobny scenariusz zapowiadały, poczynając od „Wydarzenia", krótkiej powieści włoskiego pisarza Guida Morsellego, wypisuje z nich stosowne fragmenty, studiuje ulubione obrazy, ze szczególnym uwzględnieniem „Statku szaleńców" Boscha. Wplata w swój monolog strzępy fabuł, jak epizod z Żeńską Akademią Wokalną imienia Jezusa Chrystusa i jej studentką Cezareą Cwigun. Notuje halucynacyjne sceny spotkań z innymi rzekomo ocalonymi, tropi znaki, które mogliby pozostawić: „Udawałem sam przed sobą, że nie zauważam, iż książkę (»Historia łaźni parowych«) wyniesioną z ciemnych i z wolna – niczym opuszczona kopalnia – kruszejących salonów Empiku zostawiłem na innej stronie otwartą, inaczej ułożoną (...). Pełne brunatnego atramentu kałamarze Montblanc stały wczoraj na półce, a dziś ani śladu...". Rozwiązania tej zagadki – ani żadnej innej – nie będzie. Pozostaniemy bezradni wewnątrz dziejącej się apokalipsy. ©℗

TOMASZ GUZIK, autor tekstu w dziale Nauka, będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 12 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 MHz | Ostrów 87,6 MHz | Radom 89,1 MHz | Ostrołęka 100,8 MHz | Płock 101,9 MHz | Siedlce 103,4 MHz oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**
RDC POLSKIE RADIO

PAWEŁ

Bravo:
Bachanalia polskie

Sto dwanaście. Taką liczbę wykroczeń odnotowała policja w Zielonej Górze podczas pierwszej doby Winobrania. Oto, czego można dowiedzieć się z największej polskiej gazety na temat największej polskiej imprezy, świętującej dokonania coraz mocniejszej polskiej branży winiarskiej. Ani słowa o tym, jacy byli wystawcy, ile wśród nich nowych, ciągle walczących o stabilną jakość pionierów, a ile winnic mających już naprawdę porządny dorobek.

A byłoby o czym opowiadać. Trochę z powodu globalnego ocieplenia, trochę dzięki istotnym postępom nauki, trochę dzięki trendom z Zachodu, gdzie winiarstwo staje się powoli jedyną jako tako rentowną gałęzią rolnictwa – Polska przeszła w ostatniej dekadzie solidną ewolucję. Robi się u nas bardzo różne, ciekawe, nieraz wybitnie pijalne wina, i to w miejscach, gdzie do niedawna jedynie bielała gryka i pałała rumieńcem dzięcielina. Już nie tylko Ziemia Lubuska, która się historycznie z winnicami kojarzy, i nie tylko małopolski przełom Wisły, gdzie w III RP jako pierwsze zaczęły się pojawiać próby sadzenia winnej latorośli od zera. Nie tylko Kraków, gdzie kameduli puścili w dzierżawę winiarzom kawałek swego wzgórza – oby ten melanż widokowy równych rzędów winorośli i dumnego baroku trwał jak najdłużej i nie poddał się presji deweloperów. Można przecież sporo znaleźć na Podkarpaciu, oczywiście na Dolnym Śląsku, gdzie ciepło i szalona geologia tworzą wiele enklaw, które aż się proszą o to, by objąć je słowami Wergiliusza o Bachusie miłującym rozległe pagórki. Ale nawet Pomorze Zachodnie ma parę świetnych miejsc, na czele z największym bodaj pod względem inwestycji przedsięwzięciem winiarskim w kraju, firmowanym nazwiskiem znanego pieśniarza. Robią tam wina echt po niemiecku, powściągliwe, dążące do ideału stalowej kwasowości i krystalicznie czystego, niewybujałego, lecz wyrafinowanego owocu. Ale obiegowa opinia, że jako kraj jesteśmy w ogóle zbyt zimni na porządne czerwone wina, już dawno przestała mieć sens w stosunku do siedlisk w południowych województwach.

Coraz bardziej udają się tu uprawy tradycyjnych szczepów winorośli szlachetnej, zamiast tzw. hybryd, czyli krzyżówek z azjatyckimi odmianami, znacznie bardziej odpornymi na mrozy i na choroby typowe dla zimnej, wilgotnej aury. Chociaż to nie jest tak, że hybryda jest z konieczności czymś gorszym – dobrze prowadzona może dawać zupełnie przyzwoite wyniki – różnica jest raczej w niskich rejestrach. O ile średnio udane wino ze szlachetnego szczepu jeszcze jako tako daje się wypić, o tyle źle zrobiona hybryda ma często nieznośne, „lisie", jak to się mówi fachowo, posmaki (ponieważ każdy z nas ma okazję regularnie wąchać lisy i ich legowiska, to wie, o co chodzi).

Nie tylko przybyło w tych latach miejsc i pojętnych ogrodników, którzy nauczyli się swojej gleby, swojego klimatu i swoich roślin, przez co efekt w butelce nie jest już tak bardzo zależny od przypadku – panowanie nad procesem poprzez nagromadzoną wiedzę to było to, czego zawsze brakuje nowicjuszom w stosunku do ludzi parających się jakimś rzemiosłem od pokoleń. Przybyło też wina, które pojawia się na rynku w ilościach wykraczających poza skalę garażowej przygody; wina, które daje się zatem normalnie i legalnie kupić.

Dopóki potencjalny zysk ze sprzedaży był mizerny, mało komu się opłacało podejmować żmudnej procedury akcyzowej i zdobywać tysiąc koniecznych papierków, a trzeba przyznać, że nasze państwo umie, jak chce, nie być teoretyczne i skutecznie zatruwa życie maluchom, bo duzi w każdej dziedzinie sobie poradzą, choćby wynajmując prawników, niekiedy tych samych, którzy wcześniej pełniąc urzędy zagmatwali odnośne przepisy. Gdyby to od polskich urzędów i panującej w nich prohibicyjnej mentalności zależało, Grecy nie zbudowaliby swojej kultury sympozjonu – o której niebawem przeczytacie w „Tygodniku" pasjonujący wywód światowej klasy specjalisty – nie mieliby więc nam jak przekazać tego wszystkiego, co do dziś stanowi kościec namysłu nad dobrem i pięknem, a już zwłaszcza nad cnotą w życiu publicznym.

GIORGIO GALLESIO (1772-1839)/ CC BY 4.0

Zważywszy na stan tego ostatniego, można powiedzieć, że ich spuścizna całkiem na psy zeszła. Śmiałbym postawić tezę, że to dlatego, iż nasi politycy nie umieją zachować w niczym umiaru – a właśnie picie wina jest jednym z najpiękniejszych modeli umiaru, jakie zna nasza kultura. Im bliżej nas wino powstaje, im bardziej wchodzi w codzienność, tym większa szansa, że zaczniemy powszechnie rozumieć tę prawdę, iż jego picie na umór to nie tylko ryzyko dla zdrowia, ale obraza dla pracy ogrodnika i winiarza oraz szkoda dla cywilizacji. W Zielonej Górze odbywają się bachanalia na miarę naszych możliwości: może by tak więc zacząć dostrzegać w nich piękno, zamiast tylko liczyć śpiących pod płotem pijaków. ©℗

Owszem, Polska porasta winną latoroślą, ale jednak ciągle podstawą słodkiego września są sady, zwłaszcza śliwkowe. Co za węgierkowy rok! Przynajmniej na południu są słodkie i korzenne zarazem. Jeśli zdarzy nam się kupić ich za dużo i zaczynają się psuć, można je ocalić, piekąc swego rodzaju cobbler, który jest amerykańską odmianą zapiekanki znanej jako crumble. Zasada jest podobna, a różnica w cieście. Przekrawamy na pół węgierki, posypujemy je lekko cukrem trzcinowym, odrobiną cynamonu i kardamonu, odstawiamy na pół godziny. Smarujemy masłem formę 26 cm, wykładamy śliwki tak, żeby pokryły ją jedną warstwą. 120 g zimnego masła rozkruszamy w dużej misce z 200 g białej mąki, aż uzyskamy grube okruchy. Dosypujemy 100 g cukru, mieszamy szybko, dolewamy 100 ml śmietanki 30 proc., znów szybko mieszamy i dodajemy garść płatków migdałowych. Ciasto powinno mieć konsystencję bardzo gruboziarnistą, jak mokry piasek. Wykładamy je na śliwki, pieczemy w 180 stopniach 45-50 minut, aż się wierzch zrumieni.

NEGEW, CZYLI LEKCJE PUSTYNI

Beduińska zasada gościnności numer jeden: należy pomóc każdemu przybyszowi. Dziś ty podróżujesz, jutro podróżuję ja. Dziś ja cię goszczę, jutro ty przyjmiesz mnie pod swój dach.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z IZRAELA

Nocą na pustyni jest jasno. Gdy zostawi się za sobą miasta, a oczy przyzwyczają się do ciemności, księżyc pomoże odnaleźć drogę wśród piasków.

Nocą pustynia żyje. Podświetlona ultrafioletową latarką, iskrzy setkami odwłoków skorpionów, punkcików migających jak lustrzane odbicie tego, co ponad głową.

Bywa głośna, nieco upiornie, od wysokiego śmiechu hien. Zresztą cisza na pustyni też ma swoje brzmienie. Niepokojące, czasem trudne do zniesienia, bo pozostawiające człowieka sam na sam z jego wewnętrznym głosem.

Pustynia ma w sobie marketingowy potencjał. Na izraelskiej pustyni Negew rozkwitła turystyka. Poszukiwaczy przygód ściąga ofertą noclegów w beduińskich namiotach, nocnych safari i podglądania gwiazd, snowboardem na piasku, niezliczonymi trasami rowerowymi i szlakiem winnym. Miłośników przyrody – zapierającymi dech w piersiach parkami i rezerwatami, miłośników archeologii – ruinami antycznych miast. Alternatywną młodzież – pustynnym miasteczkiem wiosennego festiwalu Midburn. Spragnionych medytacji i modlitwy – sesjami pustynnej jogi, bliskością nieba i Boga, przestrzenią i słodko-gorzką ciszą.

Wszystkich bez wyjątku – szaleństwem przestrzeni.

Na południe

Negew: największa kraina geograficzna Izraela, stanowiąca ponad połowę jego powierzchni. Przecinają ją powstałe na skutek erozji „maktesze". Wśród nich największy, Ramon, izraelski Wielki Kanion, długi na 40 i szeroki miejscami na 10 km – prezentuje się majestatycznie z punktów widokowych w miasteczku Mitzpe Ramon. Okresowo na Negew pojawiają się rzeki, ożywające spektakularnie u początków wiosny – filmy z nimi zasilają potem czołówki izraelskich portali. W kwietniu tego roku jedna z takich rzek odebrała życie dziesięciorgu izraelskim nastolatkom podczas szkolnej wycieczki.

W Księdze Rodzaju Negew to ziemia dotknięta stopami patriarchów. Nic dziwnego, że wyobraźnia twórców współczesnego Izraela wracała tu wielokrotnie. Premier Izraela Dawid Ben Gurion pisał w 1956 r.: „Największym wyzwaniem naszego pokolenia nie jest walka z zewnętrznym wrogiem, lecz walka z opustoszeniem południowej krainy i Negewu, poprzez pionierstwo i naukę". Artykuł opublikował pod pseudonimem „Droma" (hebr. na południe). Negew to było jego wielkie marzenie: właśnie tam zobaczył przyszłość Izraela. Chciał, by pustynia rozkwitła. Wizja Ben Guriona spełniła się tylko w niewielkiej części: izraelska armia ulokowała tu swoje bazy, w Beer Szewie powstał uniwersytet jego imienia, ogromną wagę przywiązujący do dziedzin związanych z rozwojem pustyni, a lokalnym społecznościom nie brak energii w promowaniu innowacyjności.

Ben Gurion zazdrościł tym, którzy mieli odwagę osiedlić się na Negewie. W końcu, chcąc dać przykład, sam podjął to wyzwanie. Do dziś w kibucu Sede Boker można oglądać jego dom, w którym zamieszkał w 1953 r. wraz z żoną Polą. Tutaj są też ich groby.

Na Negewie można pomieszkać krócej lub dłużej. Izraelczycy pragnący spokoju przyjeżdżają tu do rozrzuconych na przestrzeni wielu kilometrów „zimmerów": domków typu *bed&breakfast*, wynajmowanych zwykle przez żydowskich gospodarzy. Ale młodsi i ciekawi świata wybiorą zupełnie inne doświadczenie: spotkanie z kulturą, gościnnością i kuchnią ludu pustyni – Beduinów.

I dnia trzeciego

Po beduińskich wioskach krąży opowieść: pewien człowiek miał słynną klacz, która zwracała uwagę przyjezdnych. Pytali, czy mogą ją kupić, ale odmawiał niezależnie od oferowanej kwoty. Pewien szejk wysłał mu wielką sumę pieniędzy, lecz nie zostały przyjęte. Szejk nie ustawał w próżnym wysiłku, wreszcie zdenerwował się i nasłał na Beduina złodzieja. Złodziej przyszedł do jego namiotu jako gość i przebywał w nim przez trzy dni, o nic niepytany. Obserwował, kiedy Beduin wychodzi, o której wraca, gdzie ukrył klucz od stajni. Gdy nadszedł czas opuszczenia namiotu, złodziej wykradł klucz i konia. Właściciel zbudził się i pobiegł za nim. „Stój! Zanim odjedziesz, pozwól, że coś ci powiem. Jeśli ktoś zapyta, skąd masz tego konia, powiedz mu, że ci go dałem. Bo jeśli ludzie zaczną podejrzewać swoich gości, nikt już nigdy nie przyjdzie w gościnę". Skruszony złodziej oddał konia, mówiąc: „Nie chcę być tym, który łamie święte zasady".

Beduińska zasada gościnności numer jeden: należy pomóc każdemu podróżnikowi, bo bez pomocy na pustyni trudno przeżyć. Dziś ty podróżujesz, jutro podróżuję ja. Dziś ja cię goszczę, jutro ty przyjmiesz mnie pod swój dach. Dawniej Beduini palili nocą ogniska, punkty orientacyjne, pustynne latarnie morskie, wskazujące drogę i bezpieczną przystań. I przestrzegali szczególnej zasady, wedle której gość może przebywać w domu Beduina trzy dni („i dnia trzeciego", jak mówią), nie będąc o nic pytanym. W tym czasie gospodarz jest zobowiązany zrobić wszystko, by gość odzyskał siły po ciężkiej podróży. Dopiero po trzech dniach, przed nastaniem nocy, gość powinien przedstawić swoje dalsze plany albo odejść. W nocy wędruje się trudno – zazwyczaj więc gość podejmuje rozmowę, prosząc o kolejny nocleg.

Dziś minimum beduińskiej gościnności oznacza przyjęcie podróżnego i zaparzenie mu aromatycznej herbaty z pustynnymi ziołami. Namiot jest otwarty dla każdego.

Pustynny biznes

Taką herbatę piję u Salema Al Wadja w regionie zwanym płaskowyżem Negew (Ramat HaNegew). Pięć lat temu Salem jako jeden z pierwszych wziął udział w projekcie izraelskiego ministerstwa turystyki, miasta Mitzpe Ramon i organizacji Friendly Negew Desert. Projekt miał na celu rozwój turystyki w regionie z udziałem Beduinów i obejmował krótki kurs prowadzony przez ekspertów. Pomogli Salemowi rozwinąć domowy biznes.

Zbudował obok swojego domu kilka namiotów i udostępnił je gościom. Pośrodku stanął *shig* – większy, zdobny namiot, w którym gości się przyjezdnych i parzy herbatę, w którym mężczyźni spotykają się na rozmowie. Dziś takich namiotów jest w tym regionie jedenaście. Pomiędzy nimi około 12 km tras pieszych, tworzących „szlak Negewu". Turyści wędrują między namiotami, a beduińscy właściciele pomagają im przewieźć bagaże.

U takich jak Salem trudno wcześniej zarezerwować odwiedziny. Nie mówią po angielsku, nie mają stron internetowych. Jednak nie to się liczy. Spotkanie z ludźmi i ich kulturą w najczystszej postaci składają się na bezcenne doświadczenie „beduińskiej gościnności".

Interesy prowadzą – zgodnie z beduińskimi zasadami – mężczyźni, choć u Salema telefony od gości odbiera żona. W ramach programu rozwoju rząd zaangażował też kobiety: zachęca się je, by produkowały tradycyjne beduińskie ubrania i ozdoby, a następnie je sprzedawały.

Salem opowiada o lokalnych tradycjach, trzymając na kolanach kilkuletnią córkę Tamarę. – Beduini żyją na pustyni od wieków, są nomadami, ich sposób życia jest bardzo prosty. Zimą szukają małej jaskini, która ochroni ich przed wiatrem. Gdy kończy się zima, po deszczu, przygotowują ziemię pod uprawę, sieją i organizują małe gospodarstwo. Pozostają w nim tak długo, jak chcą, zmieniając tylko w porze letnich upałów grube pokrycie namiotów na lżejsze, kozie.

Przyglądam się kozom biegającym dookoła gospodarstwa Salema, białym i czarnym. Te ostatnie to gatunek żyjący wyłącznie na pustyni: potrzebuje niewiele wody, żywi się dostępnymi tu roślinami. Salem nazywa kozy „beduińskim supermarketem". Dostarczają mleka – można z niego zrobić ser, masło, jogurt – a także mięsa, wełny i skór. Kozy, wraz z pszenicą i wodą, stanowią podstawę egzystencji Beduinów na pustyni.

Salem piecze dla nas chleb. Nietypowo, bo w ziemi. Wyrobione ciasto zakopuje w palenisku, chwilę później odkopuje upieczony już bochenek i obija go drewnianym patykiem, by strzepać popiół z wypieczonej skórki. Chleb smakuje wybornie: ze świeżą oliwą, oliwkami, z serem labaneh, przywożonym z Zachodniego Brzegu.

Pułapki cywilizacji

Gwizd wiatru zostaje na chwilę zagłuszony przez dźwięk dużo bardziej przejmujący. Nad namiotami przelatują F16 startujące z pobliskiej bazy wojskowej. To nagłe wtargnięcie cywilizacji w rozmowę Salem kwituje uśmiechem. – Urodziłem się tu, na Negew, to cały mój świat. Mógłbym zbudować murowany dom i osiedlić się w jednym z tych uznanych przez rząd beduińskich miasteczek. Ale nie chcę. Na pustyni wierzymy, że dopóki człowiek siedzi w jednym miejscu, pozostaje ubogi. Nie zmienia energii wokół siebie, nie daje szansy szczęściu. Budując dom, stajesz się jego niewolnikiem. Pracujesz całe życie, by go utrzymać i spłacić. A przecież życie ↦

ARCHIWUM FRIENDLY NEGEV DESERT

↦ jest tylko częścią wielkiej podróży. Nie umieramy – przechodzimy przez życie i idziemy dalej.

W latach 70. izraelski rząd rozpoczął budowanie miasteczek dla Beduinów. Miały pomieścić mieszkańców z rozrzuconych po Negewie namiotów i wiosek, zapewnić im stały dostęp do wody, prądu i edukacji. Dziś jest ich siedem, największe to Rahat. Po Negewie rozsianych jest też 65 wiosek nieuznawanych przez władze. Beduini nie zamierzają z nich rezygnować, choć rząd nie przyjął tłumaczenia, że ziemia, na której ulokowane są wioski, jest ich własnością. Uznał je za nielegalne, niektóre zniszczył.

Dr Shahar Shilo, specjalista ds. Negew, szef organizacji turystycznej Friendly Negew Desert: – Szkoda, że programy rządowe nie zdały egzaminu. W mojej ocenie były dobre. W reakcji na nie wśród Beduinów wybuchły zamieszki. Teraz nic nie dzieje się w tej sprawie, obie strony są urażone, a to nie jest dobre dla nikogo.

Salem: – Państwo chce uczynić z nas nowoczesne społeczeństwo. Każe zamienić tradycyjny, nomadyczny sposób życia na miejski, i to w krótkim czasie. A my tłumaczymy, że nie jesteśmy na to jeszcze gotowi. Chcemy, by nasze dzieci wchodziły w system edukacji – wiemy, że to one będą prekursorami postępu. Tylko dajmy im czas. Pozwólmy najpierw temu pokoleniu skończyć szkoły. W ten sposób wszyscy będziemy lepiej przygotowani do zmiany.

W otoczeniu Salema mieszkańcy skrzyknęli się i o pomoc w przedstawieniu rządowi swoich racji poprosili sąsiadów z żydowskich wiosek. Chcą, by zamiast na siłę umieszczać ich w miastach, rząd pozwolił im na życie bliżej natury – na wsiach. By zwrócił uwagę na to, że Beduini nie są tylko częścią świata arabskiego, lecz mają swoją odrębną, wyjątkową kulturę, która domaga się szacunku.

– Są pojęcia związane ze współczesną cywilizacją, których Beduini nie znają – mówi Salem. Na przykład żłobek. Dom starców. Szpital dla chorych psychicznie. Wierzą, że dziecko powinno być z rodzicami przynajmniej do trzeciego roku życia. Tylko wówczas zdoła z nimi nawiązać trwałe, duchowe relacje. Jeśli oddasz dziecko do żłobka, kilkadziesiąt lat później nie zawaha się oddać cię do domu starców. U Beduinów zajmowanie się starszymi jest przywilejem, zaszczytem. Wśród braci panuje konkurencja: kto zajmie się rodzicami, gdy będą starsi? Każdy chce to robić.

ARCHIWUM MARIAM ABU RKEEK

Mariam Abu Rkeek, dobrodziejka beduińskich kobiet

Śmieciowy problem

W beduińskiej społeczności mówią mężczyźni. Z pewnym wyjątkiem, który odnajduję nieopodal stolicy Negewu, Beer Szewy.

Tel Szewa: pierwsze miasteczko, jakie rząd Izraela zbudował w 1968 r. tuż po wojnie sześciodniowej, by osiedlić Beduinów. Liczy około 20 tys. mieszkańców. Kilka budynków samorządowych, szkoły, meczety, centrum kultury. Murowane, niebrzydkie domy, zaniedbane ogródki i walające się dookoła śmieci. Jest ich tak dużo, że nie sposób uciec od nich wzrokiem. Plączą się między nogami po ulicach, piętrzą się na skwerach, chodnikach, ich smród wciska się w nozdrza.

Mariam Abu Rkeek, zielarka, twórczyni linii kosmetyków Desert Daughter: – Tel Szewa jest zaniedbana, brudna, nie zachęca do osiedlania się. Nie ma zajęć pozalekcyjnych dla dzieci, szkoły są niedofinansowane. Rząd nakłania do przeprowadzki tutaj, ale wystarczy spojrzeć, jak to wygląda. Gdyby bardziej zaangażował się w rozwój tych siedmiu miejscowości, gdyby w nie inwestował, tak jak inwestuje w miejscowości żydowskie, więcej Beduinów zgodziłoby się zrezygnować z życia w namiotach na pustyni.

Dr Shahar Shilo: – Cały północny Negew ma ogromny problem ze śmieciami. Wieją tu silne wiatry, cokolwiek zostawisz na zewnątrz, od razu roznosi się w promieniu kilometrów. W beduińskich miastach to problem o tyle trudny, że ma podłoże kulturowe. Społeczeństwa nomadyczne nie są przyzwyczajone do radzenia sobie z odpadkami z prostej przyczyny – nigdy ich nie wytwarzały. Wszystko się przydawało. Gdy Beduini zderzyli się z konsumpcyjnym stylem życia, powstał problem, którego nie potrafią rozwiązać do dziś. Nikt nie sprząta miejsc publicznych, bo nikt nie jest za to odpowiedzialny. Istnieje narzucony przez państwo system wywozu śmieci, ale mieszkańcy wyrzucają je dosłownie wszędzie. Nie ma skrawka zieleni bez małych wysypisk.

Może dlatego Mariam wraz z mężem zamieszkała w jednej z pobliskich, nieuznawanych przez rząd beduińskich wiosek. Jej sąsiedzi chcą kontynuować beduińskie tradycje i sposób życia, ani myślą przeprowadzać się do Tel Szewy. Mariam przyjeżdża tu tylko dla takich jak ja – zainteresowanych jej niezwykłą historią.

Córka pustyni

Podobno pustynne rośliny są wyjątkowe. Mają w sobie mnóstwo aromatu, tym więcej, im trudniejsze jest środowisko, w którym żyją.

Mariam Abu Rkeek: – Gdy idę na pustynię, doceniam w niej to, czego inni nie zauważają. Przestrzeń, rośliny, ciszę. Nie każdy potrafi się w tym odnaleźć. Myślę, że tylko ludzie, którzy dobrze poznali siebie, wytrwają w pustynnej ciszy.

47-letnia Mariam – jak mówi o sobie, pierwsza Beduinka, która ukończyła studia zagraniczne – poznała siebie dość dobrze. Od dziecka uparta, wiedziała, że chce innego życia niż koleżanki, z którymi wychowywała się w Tel Szewie. One godziły się z tradycyjnym podziałem ról, wychodziły za mąż w wieku 18 lat, rodziły dzieci.

A ona po liceum chciała się dalej uczyć, pójść na uniwersytet. Wyjechać do innego kraju.

– Na początku mieszkaliśmy w namiocie niedaleko Tel Szewy, ale tata chciał, byśmy mieli bliżej do szkoły. Gdy pojawiła się możliwość przeniesienia do miasteczka, rodzina kupiła tam działkę. Tata przekonywał mamę: w mieście, gdy chcesz mieć wodę, nie idziesz z osiołkiem do najbliższej studni, lecz po prostu odkręcasz kurek. Jeśli chcesz światła – nie palisz ogniska, naciskasz guzik. Po długich namowach zgodziła się na przeprowadzkę.

Gorzej było z babcią, zielarką i uzdrowicielką, do której ściągali Beduini z najbliższej okolicy. Wiedziała wszystko o pustynnych ziołach, tworzyła z nich mydła, kremy i maści, leczyła nimi rany. Nie chciała zamieszkać w murowanym domu. Zgodziła się przenieść dopiero wówczas, gdy ojciec Mariam zbudował jej namiot na podwórku obok domu. Babcia mieszkała w nim aż do śmierci.

Mariam skończyła szkołę, znalazła prywatną nauczycielkę, która przygotowała ją do egzaminów z języka angielskiego. Dostała się na studia w Wielkiej Brytanii i otrzymała stypendium. Bliskich to nie ucieszyło – byli zdania, że niezamężnej młodej Beduince nie przystoi samodzielny wyjazd na zagraniczne studia. Od ojca otrzymała jednak wsparcie.

– Mama spakowała mi pudełko z rzeczami, za którymi – jak sądziła – mogę tęsknić. Były tam mydła babci, oliwki z naszego gaju, zatar, szałwia i herbata ziołowa. Pomyślałam: po co mi to w Anglii? Pudełka nie wzięłam.

Ale w Anglii ze zdziwieniem odkryła, że ludzie tęsknią za tym, co naturalne. Że pudełko od mamy byłoby lepszym prezentem dla jej gospodarzy niż kupione na lotnisku czekoladki. Że to, co zostawiła za sobą, ma niebywałą wartość. Także inne tradycyjne umiejętności Beduinów, które jej pokolenie odrzuciło.

Po powrocie ze studiów od razu pobiegła do namiotu babci. Poprosiła ją, by przekazała jej swoją wiedzę. Wymyśliła, że przekuje ją w biznes.

– Miałam 24 lata, dla beduińskiej kobiety to już wiek staropanieństwa. Odmówiłam małżeństwa aranżowanego, rodzina była wściekła. Tata zażądał, bym do czasu wyjścia za mąż została w domu. Powiedział: „Jak wyjdziesz za mąż, będziesz mogła robić wszystkie biznesy świata”.

Kosmetyki naturalne – kremy, oleje, mydła – stały się jej wybawieniem. Mogła je przygotowywać samodzielnie, w kuchni, gdzie wcześniej testowała przepisy babci. Opatrywała je prostym napisem „Krem Mariam”. Kobieta beduińska nie może bowiem dzielić się swoimi danymi z obcymi.

– Mój mały biznes rósł w oczach, ale nie mógł się porządnie rozwinąć: nie miałam biura, telefonu czy maila. W 2005 r. nazwałam swoją linię kosmetyków Desert Daughter (Córka Pustyni). I to był strzał w dziesiątkę: mogłam założyć e-mail nie podając osobistych danych. O tym, że DD to ja, rodzice dowiedzieli się dwa lata później.

Wkrótce do małego przydomowego laboratorium dołączyło *visitor's centre* – skromny barak na obrzeżach miasteczka, który Mariam zamieniła w sklep i przestrzeń dla gości. Izraelska telewizja nakręciła o niej reportaż. Wkrótce po emisji zaczęła wychodzić z długów. W 2013 r. miała 10 tysięcy odwiedzin rocznie, zatrudniała pięć kobiet. Wiedziała, że to właśnie kobietom chce pomagać, stwarzając dla nich miejsca pracy blisko domów. Bo beduiński mężczyzna może pracować daleko, a od Beduinki oczekuje się, że pozostanie blisko domowego ogniska.

– Gdy udało się rozkręcić interes, uznałam, że to dobry czas na zamążpójście. Miałam już 42 lata, ludzie pukali się w głowę: „Oszalałaś? Przecież w naszej społeczności w tym wieku kobieta zostaje babcią!”. Ale ja wiedziałam swoje. W połowie roku postanowiłam, że moje grudniowe urodziny chcę świętować z mężem. W sierpniu na konferencji poznałam mężczyznę młodszego ode mnie o 10 lat, który mi się spodobał. Pobraliśmy się dwa miesiące przed terminem, który sobie wyznaczyłam.

Desert Daughter rozwija się dalej. Mariam znalazła firmę we Francji, która reklamuje jej produkty na tamtejszym rynku. Marzy o nowym centrum odwiedzin, nie chce już przyjmować gości w rozlatującym się baraku i dziurawych namiotach. Chce też zbudować nową małą fabrykę, w której będzie mogła swobodnie produkować swoje kosmetyki (obecnie robi je w nielegalnej fabryczce w wiosce, w której mieszka).

– Każda decyzja beduińskiej kobiety, która decyduje się zadrzeć z tradycją, niesie z sobą koszt. Kulturowy, społeczny, finansowy. Wszystko, co robiłam, przychodziło mi z wielkim trudem. Nie mam dzieci, na to może być już za późno – mam przecież 47 lat. W naszej społeczności jestem odbierana rozmaicie. Niektórzy patrzą z podziwem, innych gorszy to, że mam firmę i prowadzę samochód. Nauczyłam się jednego, gdy ktoś mówi mi: „Nie dasz rady”, nie przejmuję się ani przez chwilę. Odpowiadam: „Jestem innego zdania”.

To jedna z najważniejszych lekcji, które dała jej pustynia.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

TP

BIEŃCZYK **o autostopie** ▪ ROBIŃSKI **o pszczołach** ▪ MILCZAREK **o Arktyce**
NAPIÓRKOWSKI **o plaży** ▪ OLSZEWSKI **o Mierzei Kurońskiej**
KOZIŃSKA **o koniach i o zaklinaczach roślin**

Zbiór wszystkich tekstów z naszego wakacyjnego cyklu na

powszech.net/wakacje

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz:
O młodości inaczej

Na dowód swej niedojrzałości emerytalnej Gospodarz podał ostatnio nazwiska kilku aktywnych matuzalemów w niegdysiejszej polityce, od Europy po Azję. Miała to być niejako oczywista oczywistość, że sam jest jeszcze wciąż młody, gibki i zdolny do wszelkich czynów. Nic nam do tego. Każdemu wolno mniemać na temat swoich sił i możliwości, co mu się podoba. Odnosimy jednak ponure wrażenie, że Gospodarz znalazł się albo pod wpływem sprzedawcy botoksu, bądź jakiegoś kapłana wiary w nieustającą młodość. Albo, takoż jest – tak jak i my – w stanie silnego pomieszania, dysonansu i wątpienia lecącego ku ostatecznemu zwątpieniu.

Nie ulega wątpliwości, że tego typu deklaracje czy wynurzenia zawsze są podejrzane, jak wszystkie próby rozpaczliwego czarowania rzeczywistości, by przywołać tu choćby frazę macochy Królewny Śnieżki, badającą poziom akceptacji poprzez przemawianie do lustra. Jego, Gospodarza, nawracające autogwarancje i wyznania o siłach niespożytych biorą się bezwzględnie z dręczącego go niechybnie problemu – prób znalezienia Genialnego Kontynuatora. To, jak wiemy, poza Koreą nikomu się nie udało. Jest jasne, że ktokolwiek zostanie przezeń wskazany, temu lutnia po Bekwarku zostanie rychło wyrwana, a owo pasowanie będzie na pewno podważane i lekceważone. Liczba nazwisk na tapecie – lista ta jest niby wciąż zawężana, ale i rozszerzana, jesteśmy tu w pełnej dezorientacji – wskazuje, że *de facto* nikt nie jest godzien. Morawiecki, Ziobro, Brudziński? Gdyby ich zeszyć w jedno, to i może, ale każdy z osobna? Żaden nie ma tej specyfiki, zdolności do osobliwego monologu, stosunku do pieniądza (w tym do własnej pensji), do zagranicy, obyczajowości, nowoczesności, kultury (w tym osobistej), słowem – do absolutnie czegokolwiek.

Żaden z nich – powtórzmy – nie jest w stanie dać oczekującym rzeszom czegokolwiek prócz fragmentu oderwanego od Ideału. Być może jesteśmy naiwni, ale twardo sądzimy, że nikomu z otoczenia Gospodarza nie będzie się dało napisać życiorysu aż tak od nowa, przypisać czynów oczekiwanych i nieoczekiwanych, heroizmu, zwycięstwa pod Cedynią czy – jak wiemy świetnie – dowolnych osiągnięć na polu humanistyki, językoznawstwa, przyrody, genetyki, astronomii i astronautyki – wszystko to, jak już wiemy z doświadczenia, da się łatwo zrobić, robi się, i ludzie w to raczej wierzą. Nie da się takoż sklonować owego mitycznego wyklęctwa, całkowicie niezbędnego do życia na stolcu, którym jest Prezesura Prezesa. Nikt – to oczywiste – nie może marzyć o podobnie masowo wyznawanej opinii o nieskalaniu, z racji – choćby – trybu życia. Nawet my, ludzie nieprzyjemnie szarzy, gdy definiujemy sobie domowo Gospodarza, w pierwszym odruchu, a złapaliśmy się na tym, myślimy: Asceta – choć jest to przecież skrajna bzdura i dowód naiwności, jakiegoś wręcz skretynienia pod wpływem ballad bądź pieśni dziadowskich. By skompletować braki wymienionego tu z nazwisk stada delfinów, warto też dodać, że nikt w Polsce tak jak Gospodarz nie obraca językiem, historią, ani nikt tak pięknie nie umie mówić o władzy totalnej, łamaniu praw wszelakich, przekonując tu wszystkich z sukcesem, że jest rasowym demokratą świata Zachodu. Nawiasem mówiąc, gdyby nie było to wszystko tak niepokojące, byłoby naprawdę śmieszne.

Rozumiemy zatem kłopot, w jakim znalazł się Gospodarz, i nie da się ukryć, że choć jest to jedyny kłopot, jaki ma, nie jest to sytuacja błaha. Może to bowiem być ów kij, który ma dwa – za przeproszeniem – końce. Przecież sam ów Gospodarz wsadził swemu ludowi do głów ten betonowy model, kazał go wykuć rzeszom na blachę i po wielokroć recytować na każdej akademii i w każdym publikatorze, przez każdego aplikującego do grona wyznawców. Pytanie, jak to odkręcić choć troszkę, by dało się mianować kogoś niedoskonałego? Doraźnym sposobem może być odsuwanie decyzji, obwieszczając gdzie się da: otom wciąż jest młody i krzepki. Jednak to nie rozwiąże bolesnego problemu schedy, po prostu lud uzna – jeżeli już tego nie zrobił – że Gospodarz będzie taki, po wieki wieków. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

MUZEUM HISTORII
ŻYDÓW POLSKICH POLIN

POLIN
MUZEUM HISTORII
ŻYDÓW POLSKICH

TYLKO DO 24 WRZEŚNIA

OBCY W DOMU

PRZYJDŹ POŻEGNAĆ
WYSTAWĘ CZASOWĄ
WOKÓŁ MARCA '68

WWW.POLIN.PL

OBCY W DOMU
WOKÓŁ MARCA '68

MECENAS

WSPÓŁORGANIZATOR
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

WSPARCIE
TAUBE
WILLIAM K. BOWES, JR. FOUNDATION
GEOP
Sills Family Foundation
David Goldman i Debbie Bisno oraz Fellowships at Auschwitz for the Study of Professional Ethics / Marek i Agnieszka Nowakowscy / Andrzej i Małgorzata Rojek / Jerry Wartski z rodziną / Paul Goldner i Sandy Soifer

PATRONI MEDIALNI
zwierciadło
sens
wyborcza
wyborcza.pl WARSZAWA
cojestgrane24
ams
HISTORIA
naszemiasto
empik
VIVA!

PARTNER INSTYTUCJONALNY
NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

REKLAMA

RMF CLASSIC

OD 15 LAT

NAJPIĘKNIEJSZA MUZYKA FILMOWA

TITANIC

15 RMF Classic

najpiękniejsza muzyka filmowa

www.rmfclassic.pl